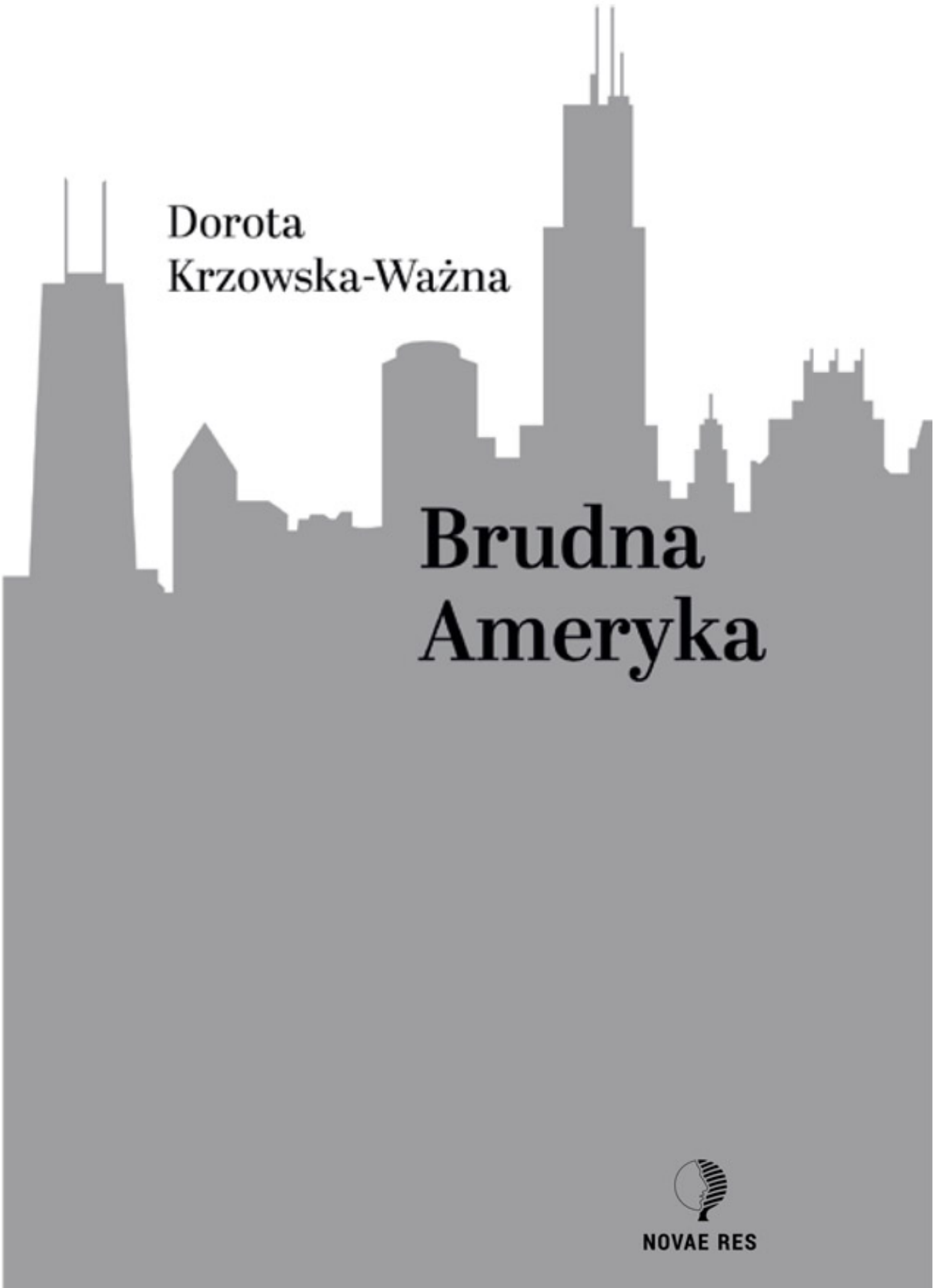


A stylized illustration of a woman dressed as a maid. She has dark hair, is wearing a white crown with red dots, a black dress with white lace trim, and a white apron. She is holding a large, light purple feather duster in her right hand and a black vacuum hose in her left. The background is a dark blue city skyline with several skyscrapers against a bright red sky. The overall style is graphic and modern.

Brudna Ameryka

Dorota
Krzowska-Ważna

NOVAE RES



Dorota
Krzowska-Ważna

Brudna Ameryka



NOVAE RES



Mojej Rodzinie

1. Początki

Dziś w Ameryce jest Dzień Niepodległości. W NBC transmitują koncert Ricky«ego Martina, za oknem już od wczoraj słycać fajerwerki, a ja szykuję się do pracy. Właśnie dzwoniła pani Basia, że jutro o 5.30 mam czekać w umówionym miejscu, skąd zabierze mnie jej mąż Zbyszek.

Nie tak planowałam wakacje. Nie miałam zamiaru pracować fizycznie. Co prawda przed rokiem zgodziłam się parę razy wspomóc chorą koleżankę, ale nie robiłam tego w celach zarobkowych. Ponadto Jasia miała wrócić do Polski, a tu – niespodzianka! Amerykańscy lekarze niemal wyleczyli ją z astmy i postanowiła zostać. Gdy tylko dowiedziała się o moim przyjeździe, natychmiast zadzwoniła rozentuzjasmowana.

– Musimy się zobaczyć, mam dla ciebie propozycję.

Spotkałam się z nią bardzo chętnie. Była w naprawdę dobrej kondycji, ponadto zdążyła zmienić pracę.

– Najlepiej, jak do mnie dołączysz. Teraz już będziesz sama zarabiać. Zobaczysz, będziesz zadowolona! Chyba nie chcesz całymi dniami siedzieć w domu, gdy twoja rodzina jest zajęta?

Wstydziałam się powiedzieć, że chciałabym po prostu trochę poleniuchować. Według Jasi to grzech. Poza tym wiedziałam, że z tą niezwykłą góralką nie będę się nudzić, i to mnie przekonało.

Jutro muszę wstać przed piątą. Z szafy wyjęłam torbę, która czekała na mnie cierpliwie od ubiegłorocznych wakacji. Umieściłam w niej swój „zestaw sprzątaczkowy”: krótkie spodenki, wygodną, za dużą bluzkę, klapki, dwie pary rękawic, gumkę do związania włosów i wodę mineralną. Jutro rano zapakuję tam jeszcze kanapkę, owoce i domowe musli. Wszystko już czeka w lodówce.

Jacek jest teraz poza domem. Poszedł na dyżur, bo nikt inny nie chciał pracować w święto. Wróci grubo po północy. Wstanie przed piątą, bo zaproponował, że będzie mnie podwoził na przystanek, po czym pojedzie do firmy i prześpi się jeszcze godzinę w samochodzie. Zaczyna o siódmej.

– To dla mnie żaden problem – zapewnia mnie mój brat. Od lat pracuje w podobny sposób i jest już zahartowany. Z żoną widzą się praktycznie tylko w weekendy, ale to los większości szczęśliwców z zieloną kartą. Trzeba w końcu spłacić kredyt na dom.

Jeszcze za wcześnie, by kłaść się spać. Siadam więc wygodnie w fotelu, zamykam oczy i wspominam.

Kiedy byłam na ostatnim roku studiów, postanowiłam zrobić sobie przerwę w zajęciach na uczelni i przynajmniej jeden dzień popracować fizycznie, do czego namówiłam również swoją przyjaciółkę Danę. Ofertę znalazłam na tablicy ogłoszeń w sklepie.

Pojechaliśmy poza miasto, i to dość daleko, bo jak się okazało po wyjściu z autobusu, musiałyśmy iść polną drogą jakieś piętnaście minut. Danka – wystrojona w nowe jeansy – od początku miała złe przecucia. Potykając się co chwilę na wyboistej drodze, głośno się zastanawiała, czy nie lepiej było iść na seminarium, co z kolei doprowadziło mnie do irytacji.

– Przecież i tak już nie wrócimy na uczelnię, więc nie ma sensu narzekać. To jest ciekawsze wyzwanie – dodałam z przekonaniem. –

Zamiast teoretycznych zajęć z romantyzmu, lepiej posłuchać autentycznych ludowych opowieści.

– A wiesz w ogóle, na czym polega praca przy brukselce? Wiesz, jak wygląda to warzywo? – Najwyraźniej w mojej przyjaciółce odezwała się wzorowa i prawie zawsze przygotowana do zajęć studentka.

Nie miałam pojęcia, ale właśnie zbliżyliśmy się do gospodarstwa, którego numer widniał w ogłoszeniu, więc zagadka miała się wkrótce rozwiązać. Instynktownie udałyśmy się w kierunku gościnnie otwartych drzwi olbrzymiej stodoły. Wystarczyło jedno krótkie spojrzenie, aby się zorientować, że jesteśmy spóźnione, i to sporo. Gospodyni była jednak dla nas wyrozumiała i za jej zgodą pospiesznie dołączyłyśmy do gromadki nowych znajomych – jak się później okazało, okolicznych mieszkańców. Ulokowałyśmy się na przewróconych skrzyniach do przechowywania jarzyn, a pan Jan, gospodarz, przyniósł spore kawałki szmat, którymi miałyśmy przykryć kolana i nogi, by zabezpieczyć przed zabrudzeniem nasze nierobocze ubrania. Dlaczego nie przyszło nam do głowy, by wziąć coś na przebranie? Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że byłam o wiele rozsądniejsza od koleżanki, której niemal zbierało się na płacz, ze względu na te spodnie. Na szczęście nasi nowi znajomi okazali się na tyle interesujący, że na dłuższy czas zapomniłyśmy o kłopotach związanych z ubraniem.

Wszyscy pracowaliśmy w jednym miejscu (wspomnianej stodole) i stworzyliśmy niewielki okrąg wokół sporej sterty brukselki. Wybieraliśmy stamtąd łodygi, z których odrywaliśmy małe, zielone kuleczki i składaliśmy je do specjalnych pojemników, a niepotrzebne części odrzucaliśmy na jedną kupkę. Praca nie należała do szczególnie ciężkich, ale nie była też zajmująca. Ciekawi okazali się natomiast ludzie. Siedząc tak blisko nich, mogłam się przyjrzeć fizjonomii moich współpracowników. Na początku

pomyliłam się, oceniając ich wiek. Odkryłam to bardzo szybko, gdy do kobiety wyglądającej jak moja babcia przyszedł mąż z czteroletnią córeczką. Uradowana tą wizytą wręczyła mu parę groszy, o które prosił.

– Wystarczy na dwa piwa – ucieszył się.

– Tylko zostaw jedno dla mnie – upomniała się o swoje młoda staruszka. – Za godzinę będę w domu! – krzyknęła za nim jeszcze, bo tak mu było spieszo do sklepu, że zapomniał powiedzieć „do widzenia”. Zresztą „dzień dobry” też nie słyszałam.

– W sezonie oni tu pracują codziennie. Niektórzy po kilka godzin, inni całe dni – dowiedziałam się od Danki, która korzystając z chwili przerwy, wdała się w pogawędkę ze swoją sąsiadką, miłą kobietą z niekompletnym uzębieniem.

– Czy ty wiesz, że ona ma siedmioro dzieci?

– Nie wygląda. Też bym chciała być taka szczupła w jej wieku, za... trzydzieści lat?

– Nie śmieję się. Naprawdę ma ciężko. Zarabia całe lato, bo córka ma krzywy kręgosłup i po operacji czeka ją długa rehabilitacja.

– O, przynajmniej jedna nie zbiera na wódkę – powiedziałam z uznaniem.

Nigdy wcześniej nie znałam takich ludzi. Nie mieli stałego zajęcia, żyli z dnia na dzień i pomimo zniszczonych rąk oraz zmęczenia pracą klepali biedę. Na dodatek nie narzekali, byli pogodni. Mężczyźni prześcigali się w opowiadaniu mało romantycznych historii, którym towarzyszyły co chwilę wybuchy śmiechu. I tak, niepostrzeżenie, minęły trzy godziny. Po zważeniu brukselki okazało się, że każda z nas zarobiła bardzo niewiele. Używając porównania naszych nowych znajomych, za tę pracę mogłybyśmy kupić po trzy piwa. Widać było, że odstawałyśmy od grupy, bo nie miałyśmy doświadczenia i w czasie studiów wyraźnie odwykłyśmy

od wysiłku fizycznego, jednak nadrabialiśmy wytrwałością. Podczas gdy większość, zadowolwszy się niewielką kwotą potrzebną na bardzo skromne przeżycie (przepicie) dnia, dziękowała po pięciu lub sześciu godzinach, my dotrwałyśmy do końca i znalazłyśmy się w wąskim gronie pracusiów.

Robiło się już ciemno, a ponieważ nie czułyśmy się bezpiecznie na wiejskiej drodze bez latarni, zmęczone, czym prędzej poszłyśmy na przystanek, skąd, niewiele mówiąc, wracałyśmy autobusem do domu.

I pomyśleć, że jeszcze rano było we mnie tyle entuzjazmu! Kipiałam energią. Przez kolejne godziny obserwowałam z zainteresowaniem ludzi i nowe otoczenie. Uważałam, że autentyczna i w pewnym sensie egzotyczna przygoda jest lepszym pomysłem na spędzenie dnia niż nauka z książek. W drodze powrotnej byłam po prostu zmęczona. Danka też narzekała na ból pleców wywołany niewygodnym siedzeniem, a jej spodnie miały tak opłakany stan, że zaczęłam mieć nawet wyrzuty sumienia. Zatęskniłam za uczelnią. Perspektywa pracy umysłowej wydała mi się wtedy bardziej nęcąca.

Zamyśliłam się... Od tamtego dnia trochę czasu upłynęło, a ja znów będę mogła zweryfikować swoje wyobrażenia o fizycznym wysiłku. Tak jak przed laty, powodowała mną ciekawość i chęć przeżycia czegoś nowego. Jak będzie, kogo poznam, czy dam radę? Incydent ze studiów zapamiętałam na długo; czy tak samo zapadnie mi w pamięć praca w USA?

Tymczasem w telewizji nadal trwa świąteczny program. Ludzie opowiadają, co im dała Ameryka: dziękują za to, że mogą pracować, chodzić do szkoły i prowadzić własne biznesy. Za oknem co chwilę wybuchają fajerwerki, od których robi się jasno jak w dzień. Przez chwilę nawet ja zaczynam marzyć o szczęściu w tym kraju. Ale robi się późno i trzeba iść spać. Jutro od rana sprzątam!

2. Pierwszy dzień w pracy

Nigdy nie zapomnę pierwszego dnia pracy w Ameryce.

Jasia czeka w umówionym miejscu. Punktualnie o 5.30 przyjeżdża po nas mój pierwszy boss – Zygi (w Polsce Zbyszek). Witam się i siadam na ostatnim miejscu, skąd dyskretnie obserwuję nowe koleżanki. Jest zbyt wcześnie na rozmowy. Niektóre kobiety korzystają z okazji, by jeszcze sobie podrzemać, inne cicho szepczą między sobą. Policzyłam, że razem ze mną do pracy jedzie dziewięć pań. Dwie na pierwszym siedzeniu to bardzo młode dziewczyny. Pewnie studentki, które – tak jak ja – przyjechały tylko na wakacje. Pozostałe osoby, jak się później okaże, sprzątają w tym serwisie od dawna. Najstarsza z nich przekroczyła już siedemdziesiątkę. Mają bardzo słodko brzmiące imiona: Jasia, Basia, Krysia, Zosia, Hania i Stasia.

Bus dynamicznie podskakuje na wybojach, po tym jak zjechaliśmy z autostrady. Nasz szef i zarazem kierowca wyraźnie się spieszy, bo musi rozwieźć wszystkie panie do różnych miejsc i odmierza precyzyjnie czas pomiędzy przystankami. Po dwóch godzinach jazdy, z których ta druga była już bardzo uciążliwa i przeciągała się w nieskończoność, przychodzi kolej na Jasię oraz mnie. Dostałyśmy do wysprzątania obszerny, dwupiętrowy budynek, którego właścicielka właśnie wybiera się na zakupy i planuje

wrócić za sześć godzin, mając zapewne nadzieję na odpoczynek w czystym domu.

Biorąc przykład z Jasi, zostawiam swoją roboczą torbę w pralni i szybko zmieniam ubranie. Z ubiegłorocznego doświadczenia zapamiętałam, że należy robić wszystko nie tylko sprawnie, ale i szybko. Przed rozpoczęciem pracy koleżanka zaopatruje mnie w ścierki i piórka do kurzu, bo jak się okazuje, ma ich spory zapas w swojej przepastnej torbie, wielkiej jak bagaż podręczny do samolotu. Wkrótce potem zabiera się za szorowanie sześciu łazienek, kuchni i jadalni. Ja dostałam w przydziale pokoje i noszenie po schodach ciężkiego odkurzacza.

Dom wygląda naprawdę okazale, ale panuje w nim nieopisany bałagan. Już samo pozbieranie śmieci z podłogi będzie nie lada wyczynem. Zaczynam od wkładania do koszy porzucanej na podłodze bielizny i ubrań (wszystko, co na podłodze – do prania). Niestety, kosze na brudy, choć znajdują się w każdej sypialni, mogą pomieścić jedynie część tego, co poniewiera się pod nogami. Pozostałe rzeczy należy dyskretnie poupychać w szafach wnękowych. Gdyby to wszystko uprać, uprasować i elegancko rozwiesić, wystarczyłoby na zapełnienie całego piętra w galerii handlowej.

Właściciele domu najwyraźniej nie mają pomysłu na to, co zrobić z dwudziestopięciocentówkami czy drobniejszymi monetami, gdyż traktują je jak śmieci i po prostu zostawiają na dywanie. Skrzętnie je podnoszę i wrzucam do olbrzymich szklanych słoików. Myślę, że zebrałam w ten sposób dwadzieścia, może trzydzieści dolarów. Zrobiłam porządek na podłodze i właśnie schyliłam się po wystające spod łóżka buty, gdy do pokoju wchodzi Jasia, zatroskana o to, jak sobie radzę.

– Ani się waż zaglądać pod łóżko – przestrzega mnie. – Tamtych rzeczy po prostu się nie rusza, jeżeli mamy się wyrobić w ciągu sześciu godzin.

Z ciekawości zaglądam. Chciałam się zorientować, jaka praca mnie ominie. Ubrania spod łóżka mogłyby się nie zmieścić w jednej szafie, ale nie ma to znaczenia, bo wszystkie garderoby i tak są już przepełnione! Przypominam sobie elegancką właścicielkę domu (fryzura, makijaż, paznokcie, perfumy) i nijak nie mogę jej sobie wyobrazić w tym zapuszczonym wnętrzu.

– Nigdy wcześniej tu nie byłaś? – pytam Jasię.

– Skąd! Sprzątamy tu regularnie co dwa tygodnie i zawsze jest to samo. Dlatego nie przejmuj się drobiazgami, oni tego nie dostrzegą.

Wskazuję na solidną komodę w sypialni, uginającą się pod stosem papierów, pudełek, nierozpakowanych zakupów i kilku peruk. Z każdej szuflady wystają fragmenty ubrań, bielizny, skarpet i trudnych do zidentyfikowania na pierwszy rzut oka elementów garderoby.

– Mam coś z tym robić?

– Spróbuj pozamykać, to będzie sukces.

Po chwili solidnego wysiłku sukces zostaje osiągnięty. Jeszcze tylko odkurzenie żaluzji, ścian i blatów, umycie luster i zasłanie łóżka przed odkurzeniem mięciutkiej, puszystej wykładziny, którą teraz dostrzegam w całej okazałości i podziwiam.

– Musisz zmienić pościel – przypomina mi nieoczekiwanie Jasia. – Już idę ci pomóc.

Łóżka są olbrzymie, więc trudno samemu to zrobić. Okazuje się, że zwinięte, zmięte szmaty, leżące przy wejściu do niektórych pokoi, to czyste powłoczki na zmianę. A ja je powrzucałam do koszy z brudną bielizną! Teraz pospiesznie naprawiam błąd i przy pomocy koleżanki przemieniam barłóg w pięknie zasłane łóżko z górą poduch i poduszeczek. Już nie widać, że pod drogą narzutą (ma metkę!) ukrywa się niewyprasowana i dziurawa

pościel. Uff, odkurzam jeszcze raz i spoglądam na swoje dzieło z uznaniem – pokój naprawdę przeszedł metamorfozę.

Nie ma czasu na odpoczynek, to dopiero początek dnia. Na tym piętrze są jeszcze dwa pokoje dziecięce i gabinet ojca. Wyobrażam sobie mężczyznę, który urzęduje w tym „królestwie”. Ma biurko do pracy i laptop, na ścianach wisi mapa z amerykańskimi stanami, na półkach stoją książki. Wśród warstwy kurzu i porozrzucanych wokół rzeczy natykam się na dwie pary eleganckich, wypastowanych butów w rozmiarze, na oko, czterdzieści sześć. Wyglądają na drogie, poza tym widać, że są zadbane. Umieszczono je starannie na prawidłach. Ktoś tu dba tylko o obuwie.

Jest jeszcze jeden but – damski, stojący na wysokości mojego wzroku, tuż przed ekranem telewizora. Szpilka dziwnie wygląda w tym otoczeniu, ponadto będzie ograniczać widoczność potencjalnemu telewidzowi, ale jej nie przesuwam. Wycieram tylko dokładnie kurz z każdej strony buta i na półce. Gdybym tego nie zrobiła, gospodarze mogliby mieć pretensje. Kurzu ponoć nie znoszą.

Próbuję przesunąć i trochę uporządkować leżące na komodzie sterty gazet, reklam, wizytówek i folderów. Wśród nich są jeszcze krawaty i skarpety. Spomiędzy śmieci wysuwają się elegancko zapakowane, drogie męskie perfumy. Ile tu leżą zapomniane? Miesiąc? Rok? Może dłużej? Jestem niemal pewna, że właściciel nie ma pojęcia o ich istnieniu. Najwyraźniej nie są mu potrzebne, więc chowam znalezisko, niewyjęte nawet ze sklepowej torebki i nierozpakowane, do bezpiecznej kryjówki.

Zaglądam za rolety, żeby przetrzeć okno i śmiać mi się chce mimo zmęczenia. Ktoś wpadł na pomysł, by przemaalować na biało piękną, mahoniową futrynę, ale już po dwóch pociągnięciach pędzla zmienił zdanie. Efekt tego eksperymentu może wywołać uśmiech na twarzy nawet bardzo smutnego człowieka. Chyba już podoba mi się sprzątanie

w Ameryce. Jest wesoło! Zaczynam sobie wyobrażać, co przyniesie kolejny dzień. Tymczasem męski pokój jest gotowy – to znaczy przypomina pomieszczenie, w którym mieszkają ludzie.

Mam nadzieję, że przede mną przyjemniejsza część pracy – porządkowanie pokoi dziecięcych. Układam olbrzymie pluszaki na kolorowych, dziewczęcych łóżkach. Zbieram z podłogi książki i stawiam na biurku. Wyrzucam do śmieci pozostawione w nieładzie, ledwie napoczęte zestawy śniadaniowe z McDonalda. Czyszczę poplamione kredkami blaty i przecieram lustro. Wciskam na przepełnione półki nowe ubrania, niedbale rzucone w kąt, nawet nie wyjęte z toreb na zakupy. Ukrywam metki nieoderwane od narzut i poduszek zdobiących łóżko.

– Dlaczego nikt ich nie usuwa? – pytam Jasię, wskazując na kartoniki Macy’s z niebotycznymi cenami.

– Bo za miesiąc, dwa, pani zanieś je z powrotem do sklepu i weźmie nowe – słyszę.

W pokojach dzieci – za radą koleżanki – rozpylam piękny, kwiatowy spray. Wszędzie używa się tu zapachów.

W połowie pracy robimy przerwę na lunch. Mamy kanapki i owoce. Z torebki Jasi wypada zdjęcie syna.

– To młodszy? Widziałam go na innych fotografiach w ostatnie wakacje. Wtedy wyglądał jeszcze jak dziecko...

– Teraz zmężniał. Może będzie się żenił, bo chce dom remontować. Zostałam jeszcze ten rok, żeby mu pomóc. On mało zarabia. Wiesz, jak jest w Polsce, nie? – dodaje dla usprawiedliwienia.

– Rok to bardzo dużo. Nadal będziesz wdychać chemiczne środki, to dla ciebie niebezpieczne!

– Nie umiem inaczej. Nudzę się...

– To dlatego zmieniałaś serwis na taki, gdzie jest jeszcze więcej roboty?

– Tak się tylko wydaje. Dzięki pani Basi można więcej zarobić. To ona rozmawia z klientami i planuje pracę.

– A mąż?

– Nie zna angielskiego, chociaż jeździ od lat po amerykańskich drogach. Gdy firma zaczęła się rozkręcać, właścicielka wyszła za niego – wcześniej był tu tylko kierowcą.

– Praktyczna osoba. A miłość?

– Może przychodzi razem ze stanem konta...

Wracamy do pracy. Na dole, w salonie podziwiamy zdjęcia, na których kobieta widziana przeze mnie rano przybiera różne pozy w towarzystwie męża i dwóch córek. W pierwszej chwili mam wrażenie, że te fotografie zostały wykonane w skali 1 : 1. Niewiele się mylę.

Tutaj czuję się różnie, bo między kuchnią, gdzie krząta się koleżanka, a salonem nie ma drzwi. Możemy sobie miło gawędzić. Jasia przynosi mi specjały ze spiżarni, abym koniecznie spróbowała amerykańskich delicji. Ją częstuję tym, co jeszcze zostało z Polski. W kuchni robimy sobie kawę.

– W tym domu można. Czasami do kawy jest też zostawione na stole jakieś ciastko. Nigdy nie jem, bo za słodkie, ale zawsze zabieram ze sobą; może inni skorzystają.

Na dole nie ma takiego bałaganu jak w sypialniach, tylko podłoga jest niemilosiernie brudna. Pełno tu psiej sierści.

– Amerykanie kochają zwierzęta – słyszę. Olbrzymi kojec umieszczony w salonie jest pusty, co oznacza, że ktoś dla świętego spokoju wyprowadził psa na czas sprzątnia.

Zerkam na zegarek. Jeszcze dwie godziny i przyjedzie nasz „superwajzer”. Wreszcie będę mogła odpocząć – czeka mnie dwugodzinny powrót do domu. Może się po drodze zdrzemnę? Z rozmarzenia wyrывa mnie głos Jasi:

– Słuchaj, dobrze nam idzie, to może jeszcze z grubsza ogarniemy bejsment? Tylko odkurzanie – dodaje prosząco, widząc moją zdziwioną minę. I usprawiedliwia się na koniec: – Z reguły tam nie sprzątam, ale niech mają! Będzie im przyjemnie.

Podziwiam siłę i zapał Jasi, starszej ode mnie i schorowanej. Nie podzielam natomiast nadgorliwości, ale na razie zostawiam te uwagi dla siebie. Wspólnie odkurzamy cały dół.

Po sześciu godzinach wyczerpującej pracy z ulgą idę się przebrać. Okazuje się, że nasz szef już przyjechał, samochód widać przez okno. Jasia bierze ze stołu czek na dwieście dolarów i wręcza mu ze słowami:

– Szkoda, że właścicielka jeszcze nie wróciła. Zobaczyłybyśmy jej zadowoloną minę.

– No, nie byłbym taki pewny. Wiesz, jakie cwane są te bogate kobiety. Wynajdą sto powodów, żeby ci nie dać napiwku.

Tymczasem Zygi odlicza pieniądze, które wręcza Jasi. Zarobiła sześćdziesiąt dolarów, tak jak się spodziewała.

– A Dorotka? – dopytuje moja koleżanka. Jest zdziwiona nie mniej ode mnie, bo szef spokojnie rusza z parkingu, uznając najwidoczniej wszystkie sprawy finansowe za zamknięte. Kobiety, które skończyły pracę przed nami i odpoczywają w samochodzie, też przerwały rozmowę, a teraz ze zdziwieniem patrzą jedna na drugą.

– Dorota jest pierwszy raz i dziś się uczyła, dlatego nic nie zarobiła.

Jeszcze do mnie nie dociera, że to, na co zapracowałam z takim trudem, w całości zagarnął pan Zbyszek.

Wokół słyszę szmer oburzenia. Silnik i hałasy z ulicy zagłuszają szepty kobiet, z których boss i tak nic sobie nie robi. Zaciskam zęby, żeby nie dać po sobie poznać, co czuję. Nie odzywam się. W tych warunkach to nie miałoby sensu – mam krzyczeć do pleców? Nagle ktoś dotyka mojego

ramienia. To Jasia. Trzyma zwitek banknotów, który wciska mi do rąk ze słowami:

– Bierz. Dzielę się z tobą, bo inaczej nie mogłabym spokojnie spać.

– Co ty? Nie trzeba!

– Nie dyskutuj. – Jest stanowcza i uparta bardziej ode mnie. – Pracowałam tak samo, więc ci się należą.

Zaciskam zwitek i trzymam tak przez całą drogę powrotną, oszołomiona tym, co się stało. Dopiero po wyjściu z busa otwieram zaciśniętą dłoń i oglądam lepkie od potu trzydzieści dolarów. Mój pierwszy amerykański zarobek.

3. Lekcja sprzątanania

Stoję przed piękną, zgrabną i bardzo bogatą kobietą. Przez chwilę przyglądamy się sobie i chyba obie mamy tremę. Ona – bo po raz pierwszy korzysta z serwisu sprzątającego. Ja – bo nie jestem profesjonalną, doświadczoną sprzątaczką, a to moja pierwsza samodzielna praca. Ona o tym nie wie i nie może się dowiedzieć. Kobieta podaje mi rękę i mówi, że ma na imię Sophie. Następnie pyta, od czego chciałabym zacząć, więc wyszkolona przez Jasię oznajmiam, że najpierw chcę się przebrać, a potem zobaczę, jak duże jest mieszkanie. Wskazuje mi najbliższą łazienkę.

– Potrzebuję kilku minut – informuję.

– Oczywiście. – Mówiąc to, uśmiecha się uprzejmie. Od samego początku sprawia wrażenie uległej wobec mnie.

Gdy wychodzę, ona czeka cierpliwie na dalszy ciąg zdarzeń. Sophie zachowuje się inaczej niż Amerykanki, które obserwowałam dotychczas, pracując z Jasią. Poświęca mi zdecydowanie więcej uwagi.

Razem wchodzimy do kolejnych pokoi – wszędzie panuje bałagan i jest brudno. W najgorszym stanie są podłogi. Dla mnie to nic nowego. Widziałam już eleganckie kobiety w domach, które do nich nie pasują.

– Czy ma pani specjalne życzenia? – pytam uprzejmie.

Chyba nie bardzo wie, czego może wymagać. Bezradnie rozkłada ręce. Po prostu mam zrobić porządek, najbardziej zależy jej na podłogach.

Widzę, że jesteśmy zgodne. W najgorszym stanie są deski w pokoju, przez który przechodzi się na taras i do legowiska psa. Przypuszczam, że mogły nie być nigdy myte. To znaczy przez jakieś dwa–trzy lata. Dom wygląda na nowy.

– Pranie też będę robić? – upewniam się jeszcze przed rozpoczęciem pracy, bo muszę wiedzieć, jak zaplanować czas.

– Nie, oczywiście, że nie! – Sophie jest wyraźnie zaskoczona takim pomysłem. – Sama piorę swoje rzeczy – mówi z uśmiechem, który rozbraja. Zaczynam ją lubić. – Jeśli coś sobie jeszcze przypomnę, dam znać w trakcie porządków – słyszę.

To znaczy, że powinnam już zaczynać. Jeszcze tylko trzeba mi pomóc w opróżnieniu pełnego śmieci odkurzacza – z takim nie miałam do czynienia w mojej krótkiej praktyce.

– Nie ma sprawy. – Właścicielka jest wyraźnie dumna, że to potrafi, i nawet nie irytuje jej moja niewiedza. Mam szczęście, to mogło skończyć się gorzej.

Zaczynam sprzątanie od najdalszych pokoi, tak by nie przeszkadzać gospodyni. Robię wszystko to, co dotychczas, tylko że bez Jasi: zmieniam pościel, ścieram kurze, czyszczę łazienkę, poleruję lustro, odkurzam dywany. Składam, przestawiam, usuwam, w skrócie: zaprowadzam porządek. Systematycznie odmieniam kolejne miejsca tak, by zmiana od razu robiła wrażenie. Jeśli gdzieś lśni i pachnie, to znaczy, że już tam byłam. Tymczasem Sophie chodzi za mną jak cień i nie ukrywa, że przygląda się porządkom z dużą ciekawością. Mówi nawet:

– Dobra robota.

Chociaż jeszcze nie skończyłam! To kolejny dowód, że jest niedoświadczona w kwestii korzystania z serwisu. Sprytni właściciele mogliby to wykorzystać, podwyższając opłatę za usługi.

W czasie gdy robię sobie przerwę na lunch, siada przy stole naprzeciw mnie. Widzę, że jest zainteresowana moim posiłkiem.

– To moje ulubione danie. Musli z naturalnym jogurtem i owocami.

– Sama to robisz? – pyta z niedowierzaniem. Chyba jestem pierwszą osobą w jej życiu, która nie kupuje gotowych posiłków. Ciągle mam wrażenie, że Sophie pozostaje trochę zakłopotana tą nową sytuacją, w której się znajduje, ale ciekawość wygrywa z tremą i kobieta towarzyszy mi przez cały lunch; ja jem, a ona siedzi ze mną przy stole.

Moje koleżanki mi nie uwierzą – myślę sobie, a jednocześnie układam w głowie jakieś sensowne i proste pytania po angielsku, bo nie możemy tak siedzieć bez słów. Sophie jest szybsza; chce wiedzieć, skąd pochodzę, czym się zajmuję w Polsce i na jak długo przyjechałam. Słucha z uwagą, jak dobry uczeń nowej lekcji. Niewiarygodne! Nie jest skoncentrowana na sobie, tylko skupiona na mnie! Interesuje ją, kim ja jestem! Wzrusza mnie ta ciekawość, więc chcę się odwdzięczyć tym samym. Pytam o pracę i rodzinę. Okazuje się, że ta młoda, śliczna i delikatna kobieta jest naczelniczką w więzieniu.

– Chyba wszyscy się tam w tobie kochają? – Nie potrafię ukryć zdumienia.

– Już nie – śmieje się. – Na początku dawałam sobie wchodzić na głowę, ale teraz jestem surowa.

– Zdarzają się dobrzy ludzie w więzieniu?

Zastanawia się tylko przez chwilę.

– Tak. Niektórzy złamali prawo z powodu biedy. Takich więzienie nie naprawi.

To chyba tak jak w Polsce – myślę.

Nie zapominam, po co tu przyszłam. Pora na lunch dawno się skończyła. Wracam do pracy, a Sophie nie przestaje mnie zdumiewać:

– Pokażesz mi, jak czyścić podłogę? Muszę się tego nauczyć!

Przez chwilę mam niemądrą minę i nie wiem, co powiedzieć. Myślę o tym, czego ja chciałabym się nauczyć, na przykład podstaw krav magi. Ale żeby poznawać tajniki mycia podłogi? Nie wiedziałam, że można tego nie umieć! Sophie nie wyglądała na osobę, która teraz żartuje. Przeciwnie: zachowuje się, jakby wreszcie odczuła ulgę, że wydusiła z siebie to ekstrazadanie dla mnie, a ja nie odmówiłam. Chyba bardzo liczy na pomoc: nakłada rękawiczki (gumowe, seledynowe, z imitacją brylantu na serdecznym palcu) i bierze do ręki mop, tak jak ja.

– No to zaczynamy – wydaję komendę.

– Czy musimy używać tyle wody? – Amerykanka jest wyraźnie przestraszona, gdy widzi, jak stawiam na podłodze pełne wiadro. – Myślałam, że wystarczy to. – Wskazuje na butelkę z octem.

– Najpierw musimy umyć z brudu. Nie można tego zrobić bez wody. Później wysuszę i powtórzę to kilka razy, aż będzie czysta. Wtedy użyjemy octu, żeby podłoga ładnie lśniła.

Sophie mi ufa i posłusznie odstawia swój amerykański specyfik. Zamiast tego szoruje podłogę wodą, tak jak ja. Widać, że sytuacja ją bawi, bo kilka razy powtarza za mną komendę: „Do roboty”. Ach, szkoda, że nie można tego nakręcić...

Pracujemy razem przez dłuższą chwilę. Nieźle, jak na pierwszy raz. Kończę już sama, ale mam wrażenie, że nauka nie pójdzie w las. Tym bardziej że po dzisiejszym dniu podłogi nie są jeszcze perfekcyjnie doczyszczone i w najbliższym czasie czeka mnie kolejna wizyta w tym domu.

– Wtedy też użyję wody, ale już nie zamoczę tyle razy podłogi – uspokajam właścicielkę. – Za to kiedy stanie się naprawdę czysta, wystarczy ją systematycznie odkurzać i przecierać octem raz w miesiącu.

Będzie ładnie lśniła, bez smug. – Mówiąc to, zastanawiam się, skąd u mnie taka wiedza.

Sophie, na wszelki wypadek, dzwoni przy mnie do pani Basi. Zależy jej na wynajęciu serwisu w dogodnym dla siebie terminie. To musi być znowu wtorek, bo z kalendarza pani naczelnik wynika, że właśnie wtedy ma kolejny nocny dyżur. Udało się. Wkrótce spotkamy się raz jeszcze.

– Do tego czasu trzeba będzie obciąć psu pazury. – Wskazuję na podłogę w miejscu, gdzie jest najbardziej podrapana. – Twój pupil nie może niszczyć naszej pracy.

Sophie patrzy z niedowierzaniem na ślady, które wcześniej przykrywał brud.

– Masz rację. Rzeczywiście są za długie, dopiero teraz to widać. Obiecuję, że tego dopilnuję.

– Liczę na twoją pomoc – śmieję się. Czuję, że wreszcie dopisuje mi szczęście, po niefortunnym pierwszym dniu, za który nie dostałam zapłaty.

Przed wyjściem mam jeszcze okazję poznać córkę Sophie; szesnastolatka przyjeżdża ze szkoły razem z koleżanką, ale wyraźnie ociąga się z wejściem do domu. Widzę, że zniecierpliwiona matka wychodzi naprzeciw niej do garażu i po chwili wraca ewidentnie czymś wzburzona. Nie ośmielam się pytać, co takiego zrobiła córka, ale bez wątpienia matka musi wyrzucić z siebie złość.

– Dopiero od tygodnia ma prawo jazdy i już zdążyła porysować cały bok. Dobrze, że nic jej się nie stało, ale najwyraźniej w ogóle się tym nie przejmuje. Śmieje się jak gdyby nigdy nic.

– To masz kłopot – współczuję jej, ale zaraz dodaję: – Taka młoda osoba ma już prawo jazdy? Nie za wcześnie? W moim kraju to niemożliwe.

– Ona może jeździć tylko określoną trasą: ze szkoły do domu. Na dodatek jest z nią zawsze starsza koleżanka.

Dziewczyny wchodzą z garażu z dużymi pudełkami pizzy i czymś jeszcze. Obie najwyraźniej dobrze się czują w swoich rozmiarach XXL, bo bez zbędnych ceregieli zabierają się do pałaszowania, zaczynając od lodów i słodczy. Zachowują się beztrosko i hałaśliwie, nie sprawiają wrażenia przejętych ani zaaferowanych wcześniejszym incydentem. Lśniaca przed chwilą jadalnia w ciągu kilku minut zmienia się za sprawą rzuconych niedbale ubrań, plecaków i toreb z zakupami. Na stole pojawiają sterty opakowań z popularnej pizzerii i ciastkarni. Patrząc na to i myśląc, że resztki jedzenia wylądują za chwilę w koszu i zostaną tam NA PEWNO aż do następnego sprzątnięcia! Plastikowe kubki z gazowanymi napojami stoją obok telefonów komórkowych i porozrzucanych pieniędzy. Kiedy kończę pracę i przychodzę do kuchni, by się pożegnać, trzy kobiety siedzą przy zavalonym śmieciami stole jakby nigdy nic i wesoło rozmawiają. Zapomniały już o sprzątnięciu i porysowanym samochodzie.

– Do zobaczenia za tydzień – mówię do Sophie, a ona odpowiada uprzejmie jak zawsze i przesyła mi promienny uśmiech.

Została nam jeszcze tylko jedna lekcja sprzątnięcia. Nie wiem, czy to wystarczy.

4. Piękny dom

W pierwszym tygodniu pracy sprzątałam piękny dom, jak na mój gust jeszcze ładniejszy i bogatszy niż te z filmów o bogatych Amerykanach. Położony w Downtown, niedaleko jeziora Michigan, a zarazem w miejscu ustronnym i spokojnym. Posiadłość otaczał duży, stary ogród.

Przyszłam tu w zastępstwie za chorą koleżankę i już w progu, po minie gospodyni, orientuję się, że nie jestem mile widziana. Potwierdzeniem był telefon do właścicielki serwisu.

– Ciągłe przychodzi tu ktoś nowy, a potem giną różne rzeczy – mówi z pretensją w głosie. Jednak zostaję, bo dwie osoby do cotygodniowego sprzątania tego domu przez osiem godzin to stanowczo za mało.

O 8.00 domownicy jeszcze śpią (moje koleżanki dobrze znają ich zwyczaje), więc po przebraniu się na samym dole, gdzie znajdują się głównie pomieszczenia gospodarcze, zabieramy potrzebne urządzenia i ruszamy na górę – do sypialni i łazienek dla gości.

– Dziś twoja kolej noszenia odkurzacza – słyszę.

Obładowane do granic możliwości wspinamy się kuchennymi schodami na drugie piętro. Dziewczyny niosą ze sobą najróżniejsze ścierki, szczotki, wiaderka i miotłki do kurzu w aż trzech rodzajach, a ja idę z odkurzaczem, na który one już nie mogą patrzeć. Po drodze na zapleczu kuchni

dostrzegam sprzęt na oko lżejszy, ale koleżanki uprzedzają moje pytanie, zaznaczając, że sprawdza się wyłącznie w kuchni.

Na samej górze czekają na mnie dwie łazienki, z których w tygodniu najwidoczniej nikt nie korzystał, bo nie ma w nich żadnych śladów użytkowania. Mimo to muszę starannie przetrzeć wszystko wokół mnie: drzwi, ze szczególnym uwzględnieniem klamek, wanny z wmontowaną osłoną na prysznic, armaturę, płytki, szafki, sedesy, umywalki, lekko podgrzewane posadzki (na zewnątrz jest dziewięćdziesiąt stopni Farenheita), dywaniki. Łazienki nie były brudne, gdy do nich weszłam, ale najwyraźniej miały lśnić jeszcze bardziej! Czyściłam więc to, co czyste, i chyba rzeczywiście stało się dzięki temu jeszcze bardziej lśniące. Podobnie dziewczyny odkurzały nieużytkowane pokoje i duży salon, który chyba służył gościom do różnego typu aktywności; był tam porozkładany sprzęt do ćwiczeń, ale też konsola do gier i olbrzymi telewizor.

W czasie gdy pracujemy na górze, moje koleżanki dyskretnie obserwują, co dzieje się piętro niżej. Ciągłe panuje tam cisza, co znaczy, że domownicy śpią, więc możemy odpocząć dziesięć minut nadprogramowo, gdyż udało nam się skończyć przed zaplanowanym czasem. W takiej sytuacji właścicielka zwykle wynajduje dodatkowe zajęcia: znieść na dół worki z makulaturą, sprawdzić, czy kilkadziesiąt par butów znajduje się w pudełkach z odpowiednim zdjęciem, pomagającym w identyfikacji, przesadzić kwiaty w doniczkach i tak dalej. Zdarza się też dodatkowe prasowanie obrusów i serwet, ale nie dzisiaj. Siedzimy więc i cieszymy się własnym szczęściem. Potem musimy minąć pierwsze piętro, bo czteroosobowa rodzina wciąż śpi. Moje koleżanki nie są zadowolone, gdyż lubią sprzątać, jak to mówią, „za kolejną”, a tymczasem trzeba będzie wrócić ponownie na górę, dźwigając raz jeszcze cały „clinning staff”. Przynajmniej wiemy już, dlaczego nikt do tej pory nie wstał. W dużym holu stoi

kilkanaście walizek, co oznacza, że ich właściciele wrócili w nocy z wakacji. Przy okazji podziwiam okazałe główne wejście do domu (my korzystałyśmy z innego, kuchennego), szlachetne marmury na ścianach i podłodze, eleganckie, szerokie schody prowadzące na górę, olbrzymie kryształowe żyrandole i stół z kości słoniowej, do czyszczenia którego trzeba używać specjalnej emulsji. Zabieramy się do sprzątanía parteru, gdzie jest kuchnia, dwa olbrzymie salony oraz elegancki gabinet, a w nim na jednej z półek zdjęcie gospodarza w serdecznym uścisku z prezydentem Barackiem Obamą, który – jak wynika z kolejnych rozwieszonych fotografii – jest tu mile widzianym gościem.

– Był tu co najmniej dwa razy – słyszę. – Raz nawet sprzątałyśmy ekstra przed taką wizytą. Po zdjęciach, które są jeszcze w innych pokojach, widać, że dobrze się znają. Pani Basia mówiła nam, że razem studiowali.

Koleżanki pozwalają mi odkurzyć gabinet z olbrzymią liczbą książek, ale mogę tu zostać tylko przez chwilę. Już wiem, skąd tyle różnych miotełek do kurzu. Sufity są tu tak wysoko, że aby dostać się do najwyższych półek, trzeba korzystać ze schodków i miotełek z długimi trzonkami. Z prawdziwą przyjemnością odkurzam stare księgi stojące tuż pod sufitem, ale już wkrótce muszę wrócić do mojego głównego zajęcia. To polerowanie kuchennych schodów, które ciągną się przez całe dwa piętra! Tymi schodami znosi się z góry brudną pościel i dostarcza produkty niezbędne w kuchni z magazynów znajdujących się w piwnicy. Myślę, że domownicy nimi zbyt często nie chodzą, więc czuję się bezpiecznie. Odkurzam wykładzinę, która przykrywa je tylko częściowo, potem myję podłogę, a następnie, już po jej wyschnięciu, pastuję ją specjalną pastą. W poręczce wcieram biały krem pachnący orzechami i poleruję je bawełnianą ściereczką. Teraz są błyszczące, gładziutkie i mają ładny zapach. Listewki przy ścianie, które stanowią ozdobne wykończenie

schodów, smaruję bardzo tłustą oliwką o intensywnie czarnym kolorze. Wystarczy mała kropla, by zaimpregnować parę metrów. Staram się, jak mogę, by nie zabrudzić ściany tłustą mazią.

Praca jest żmudna i mało pociągająca. Wolałabym czyścić salon z mnóstwem obrazów i fortepianem lub ten drugi pokój, do którego tylko zajrzałam, z olbrzymim stołem na środku. Tymczasem z powodu braku doświadczenia nie wolno mi odkurzać nawet głównych schodów. Za to na pierwszym piętrze, przy wejściu, czeka na mnie mała łazienka. Muszę bardzo uważać, by nie zniszczyć paru drobiazgów na umywalce, bo każdy z nich znacznie przewyższa mój dzienny zarobek. Na przykład mydelniczka.

– Jak ci idzie? – zagaduje Zosia, która przerywa pracę, by nastawić już drugie, odkąd tu jesteśmy, pranie.

– Chyba dobrze – odpowiadam niepewnie; ten luksus trochę mnie onieśmiela.

– Jak skończysz, odkurz dywan przy wejściu, i ten w holu. Jeszcze jeden mały odkurzacz stoi na półce w pralni.

Kiwam głową, że zrozumiałam.

– Aha, zerkaj, proszę, czy nikt mnie nie szuka, bo zaraz idę zapalić.

Zosia jest nałogową palaczką i ma z tym czasem problem. Musi się ukrywać w różnych dziwnych miejscach i palić w ekspresowym tempie. Nawiasem mówiąc, jest to umiejętność bardzo amerykańska: wszystko, łącznie z jedzeniem, robi się tu ekspresowo, by móc dłużej pracować!

Za chwilę pójdzie na tył domu i zostawi otwarte drzwi, a ja trochę dłużej posprzątam w ich okolicy. Teoretycznie już to ćwiczyłyśmy.

Teraz orientuję się, że w tym domu jest drugie tylne wyjście, od strony ogrodu.

– Tędy będziemy wychodzić, gdy skończymy. Drzwi zatrząskują się same – mówi Zosia, gdy wraca z przerwy na papierosa.

– To nikt nie mówi wam „dziękuję” i „do widzenia”?

Koleżanka wykonuje wymowny gest świadczący o tym, że jestem naiwna.

Na wielkiej ławie przy wejściu leżą pięknie zapakowane słodczyce, na które patrzę z zaciekawieniem. Widać, że to prezent.

– Ktoś przyniósł gospodarzom przed rokiem i tak leżą, już chyba przeterminowane. Sprzątać tego nie wolno – oświadcza Zosia.

– Dlaczego?

– Nie wiadomo. Widocznie to taka ozdoba.

Uff, dziewczyny zmagają się jeszcze z kuchnią, więc spieszę do nich, by pobyć chwilę w luksusie. Tu też czeka na mnie ciekawe zadanie: czyszczenie kojca dla psa. To niemalże apartament z mnóstwem gadżetów, z którego może w każdej chwili wybiec do ogrodu. Spieszymy się, bo rodzinka – z tego, co słyszę – chciałyby już zejść do jadalni na śniadanie. Zostaję uprzedzona, że w tym domu nie ma zwyczaju rozmawiania z ludźmi takimi jak my, toteż nie próbuję o nic pytać. Wszystkiego się domyślamy, obserwując rozwój sytuacji. Wzmógłony ruch na górze oznacza na przykład, że trzeba opuścić lśniące po naszej wizycie pierwsze piętro. Tak też robimy. Za chwilę będę robić porządki w pokojach młodych mężczyzn, którzy są już studentami. Właśnie tam przeżywam największe tego dnia zaskoczenie: to miejsce wygląda jak pobojuwisko!

– Naprawdę sprzątacie tu co tydzień? – Nie mogę się nadziwić. Dziewczyny kiwają głowami.

Pościel jest wymięta i porwana. Porozrzucana po całym pokoju, jakby ktoś z nią walczył, a nie w niej spał. Na podłodze leżą rzucone byle jak buty i kurtka. Centy są rozsiane po poplamionym dywanie. Na nocnym stoliku

leżą niedojedzone porcje z fast foodu, które mam wyrzucić do kosza, chociaż można by je wstawić do lodówki. Z ledwie napoczętymi napojami muszę zrobić to samo. Ekran laptopa lepi się od brudu – to zapewne efekt zjedzonej w łóżku czekolady i ukrytych w pościeli emenemsów. Rzeczy osobiste nie mieszczą się na półkach w garderobie, więc leżą zwinięte na podłodze i w różnych częściach sypialni. Na kanapie znajduje się duża sterta upranych koszulek i spodni. Większość z nich mam tylko złożyć, część uprasować. Kilkadziesiąt czystych skarpet połączyć w miarę możliwości w pary. Pojedyncze odłożyć do pudła przy oknie. Zaglądam: jest już po brzegi wypełnione.

– Jeśli zdążysz, to zrób z tym porządek – słyszę.

Nie ma mowy. Czuję niechęć do tych niby-cywilizowanych chłopaków, chociaż ich nawet nie widziałam. Ciekawe, że w pokojach studentów praktycznie nie ma książek, za to innych rzeczy – zatrzęsienie. Przy każdym z dwóch pomieszczeń jest jeszcze jedna garderoba, wyłącznie na buty. To kilkadziesiąt par, które trzeba poukładać. Niektóre są bardzo brudne, ale na szczęście nie muszę ich czyścić. Jestem przekonana, że ktoś wyrzuci je wkrótce do kosza. Właściciel jeszcze tego nie zrobił, bo trzeba by podjąć wysiłek: wziąć do ręki i przenieść parę metrów. Dla kogoś, kto nie umie wyjąć ani włożyć do pralki swoich rzeczy, złożyć koszulki lub powiesić jej na wieszaku, wrzucić brudnych ubrań do kosza, umieścić butów na półce i tak dalej, to może być problem.

Dziewczyny kończą już swoją pracę, gdy nagle słyszę podniesiony głos kobiety, która stoi nad nimi, wymachując energicznie poszewką trzymaną w ręce. Otóż zginęła druga, do pary! To już kolejny raz w ostatnim czasie! Nerwowo szukamy zguby, ale bezskutecznie. Może jest wśród tych pojedynczych skarpet? – przychodzi mi do głowy. Albo w którymś bucie?

Po wyjściu na zewnątrz oddychamy z ulgą i delektujemy się świeżym powietrzem. Ze zdziwieniem odkrywam, że dziewczyny nie zmartwiły się wcale posądzeniem o kradzież poszewki.

– Wszyscy, łącznie z naszym bossem, wiedzą, że to taki wybieg, żeby nam nie dać napiwku. Ta poszewka znajdzie się kiedyś w stercie pościeli, podobnie jak znalazły się inne, rzekomo zaginione, rzeczy. Nikt wtedy nie powie „przepraszam”.

Z ulgą opuszczam bogaty dom. Mam nadzieję, że więcej tu nie wrócę.

5. Amerykańska nastolatka

Kilka razy próbowałam nawiązać kontakt z tą kilkunastoletnią dziewczynką – bezskutecznie. Na początku tylko pukałam do drzwi, potem zajrzałam, mimo braku zaproszenia. Zareagował jedynie pies, leżący w łóżku obok pani. Nastawił ciekawie uszy i podniósł łeb. Ona nawet nie odwróciła głowy w moim kierunku, dlatego pomyślałam, że śpi. Teraz, kiedy skończyłam sprzątanie całego piętra w domu, który należy do jej rodziców, nie mam innego wyjścia: wkraczam tam bardziej zdecydowanie, choć nadal bez zaproszenia. Leży w takiej samej pozycji jak przed dwiema godzinami: tyłem do wejścia, wśród kolorowej pościeli i poduszek, które nie mieszczą się na łóżku, więc zalegają w różnych miejscach pokoju. Panuje w nim nieopisany bałagan i czuć dziwny, słodkawy zapach, dlatego chcę natychmiast zacząć porządkowanie. Najlepiej od otwarcia okna.

– Jestem z serwisu. Przyjechałam, aby tu posprzątać – mówię, ale dziewczyna energicznie protestuje.

– Później!

– Kiedy? – Postanawiam być bardziej natarczywa.

– Za pół godziny.

Tyle może mi zająć zaplanowane wcześniej czyszczenie schodów, więc postanawiam dać jej jeszcze jedną szansę. Po wyznaczonym czasie wchodzę do pokoju, mimo że nadal nikt mnie nie zapraszał. Ciągle widzę

głównie plecy z kolorowym napisem „Jane” – niesymetrycznie ułożone litery tworzą wesołą kompozycję. Zdaje się, że ubranie właścicielka założyła tył na przód i akurat ostatniej nocy służyło jej do spania.

Postanawiam więcej nie zwlekać. Niepewnie rozglądam się, by ustalić, od czego zacząć: na pewno nie mogę zmienić pościeli, choć wiem, że na tym bardzo zależało matce. W pokoju są jeszcze: stylowo oprawione dwa brudne lustra, zakurzona toaletka, zasypana śmieciami komoda, nocna szafka, pozostawione w kącie tekturowe pudełka oraz plakaty niedbale rzucone na podłogę. Pastelowe, romantyczne meble i pluszowe misie nie pasują do napisu na szkolnej tablicy zawieszanej na ścianie: FUCK OFF! Nie biorę tego do siebie, zwłaszcza że pies właśnie zbliżył się do mnie i zaczął machać ogonem na znak radości, szczęśliwy, że wreszcie coś się dzieje. Uczynił to w momencie, gdy podeszłam do okna, by je uchylić i zrobić porządek z zasłonami. Stojąc tyłem do pokoju, mam jeszcze nadzieję, że dziewczynka opuści swoje królestwo. Pozostaje jednak niewzruszona. Gdy odwracam się w jej stronę, ma na uszach słuchawki. Nie zdejmując ich, bez słowa podaje mi tablet z jabłkiem na różowej obudowie i pokazuje na ekran:

– Wyczyścisz?

Zamurowało mnie – ekran lepi się od brudu, który zalega na nim warstwami. W pierwszej chwili zobaczyłam ślady po tuszu i pomadce, ale po chwili odnoszę wrażenie, że drogi wyświetlacz beztróska dotykały wszystkie brudne przedmioty znajdujące się wokół.

– Masz płyn do czyszczenia?

Ignoruje mnie zupełnie, zajęta swoimi myślami, więc myję drogi gadżet w łazience, gąbką moczoną w ciepłej wodzie. Efekt nie powala, ale dla dziewczyny nie ma to znaczenia: chodziło przecież o to, by pozbyć się mnie

na jakiś czas. Kiedy po dłuższej chwili wracam do pokoju, znowu cieszy się tylko pies.

– Muszę zmienić pościel – mówię wprost.

– Nie chcę. Już jest czysto.

W jej głosie nawet nie słyszę złości, tylko błaganie. Czuję się dziwnie. Po krótkiej chwili znowu widzę wyłącznie plecy. Dziewczynka wyjmuję z szuflady nocnej szafki dużą paczkę z napisem „Snacks” i najwyraźniej szykuje się do śniadania.

Poddaję się. Najwyżej przyjdę tu jeszcze raz, gdy posprzątam na parterze. Idąc do wyjścia, zbieram z podłogi najbardziej rzucające się w oczy śmieci i duży, wypełniony po brzegi kosz. Uff. Przynajmniej tyle. Czuję się, jakbym wygrała mały pojedynek. Ale prawdziwa bitwa dopiero przede mną.

Tymczasem na parterze wiele się dzieje: na samym dole schodów, które przed chwilą myłam, ktoś ustawił skrzynki z narzędziami. Meble w jednym z pokoi są pozsuwane, a zwinięte dywany leżą pod ścianą. Część kuchenna, w której od rana trwa jakiś remont, została oddzielona od pozostałych pomieszczeń kilkoma warstwami folii i zasłon. Za tym przepierzeniem najwyraźniej zaprowadzane są radykalne zmiany, bo co jakiś czas słychać rozmowy robotników, odgłosy przesuwanych mebli, stukanie, wiercenie, kucie i takie dudnienie, że przez moment i mnie aż dzwoni w uszach. Odkurzam wszystkie dostępne miejsca, jem lunch i zastanawiam się, jak po raz kolejny zaatakować pokój nastolatki. Przez cały ten czas co chwilę zaglądam na górę z nadzieją, że może akurat będzie się myła, ale zbyt krótko korzysta z łazienki. Miałam już nawet w pogotowiu odkurzacz i słysząc dźwięk odkręconego prysznica, byłam gotowa błyskawicznie wykorzystać sytuację, jednak wycieczka do toalety to fałszywy alarm.

Nie mam innego wyjścia – czekam. Mogę co prawda skorzystać z telefonu awaryjnego do właścicielki serwisu, a ona poinformowałaby gospodarzy o tym, że mam problemy z posprzątaniem jednego pokoju, ale to ostateczność. Przez chwilę liczyłam na to, że hałasy zdołają wypchnąć „Jane” z domu, ale widocznie ma dobre słuchawki. Zastanawiam się też nad podstępnym wywabieniem psa, w ślad za którym poszłaby właścicielka. Pierwsza część wydaje się prosta w realizacji: wystarczy uchylić drzwi. Ale co potem? Nie dane mi jest poznać odpowiedzi na to pytanie, bo nieoczekiwanie w domu pojawiają się rodzice. Interesuje ich przede wszystkim remont, jednak na szczęście znajdują również czas na sprawdzenie, jak sobie radzę.

Mam powody do zadowolenia. Po pierwsze: niespecjalnie zdziwili się, że były kłopoty w porozumieniu się z nastolatką. Po drugie: z uznaniem odnieśli się do mojej dotychczasowej pracy. No i są skuteczniejsi ode mnie – po głośnej wymianie zdań dziewczynka przenosi się na czas porządków do ich sypialni. Wychodząc z pokoju, spogląda na mnie z nienawiścią, ale czego mogłam się spodziewać?

Po raz kolejny tego dnia trafiam do jej królestwa, czując się jak intruz. Pociuszające jest to, że rodzice najwyraźniej postanowili dłużej zostać w domu i w razie czego mogę liczyć na ich pomoc. Zmieniając pościel, zastanawiam się, jak długo jeszcze będą tu dominowały jasne barwy, maskotki i inne kolorowe gadzety.

Bo na przykład toaletka przypomina bardziej sanktuarium dojrzałej osoby. Ilość kosmetyków robi wrażenie; to cały arsenał lakierów, pudrów, tipsów, ozdób do paznokci i sztucznych rzęs. Pomalowane kredkami lustro, stojące po drugiej stronie łóżka, też nie przypomina dziecięcej zabawki.

– Długo jeszcze? – przerywa mi nagle dziewczynka.

Pół godziny, wynegocjowane z takim trudem przez rodziców, już prawie minęło.

– Jeszcze tylko odkurzę dywan. – Mówiąc to, widzę, jak nastolatka podchodzi do komody i przesuwa rzeczy, jakby nowy porządek ją drażnił. Na koniec chowa do szuflady niewielkie pudełko i wychodzi, nie oglądając się za siebie.

Wiem, że w pudełku jest marihuana, bo trudno było nie poczuć charakterystycznego zapachu nawet z pewnej odległości. Dziwi mnie nagłe ożywienie nastolatki. Narkotyk ten jest w stanie Illinois powszechnie dostępny i legalny, a rodzice musieli już dawno zauważyć „pachnącą” zawartość metalowej szkatułki. W tej sytuacji przychodzi mi do głowy jedyne logiczne wytłumaczenie jej niespodziewanej aktywności: widocznie boi się, że ukradnę jej działkę i będzie musiała ruszyć się z łóżka w poszukiwaniu następnej. Pospiesznie kończę sprzątanie. Gdy gramolę się po schodach z całym ekwipunkiem, słyszę, jak pospiesznie wraca do siebie i z impetem zamyka drzwi.

Tymczasem na dole czeka mnie jeszcze niespełna godzina pracy. Jeden zupełnie pusty pokój został już pomalowany. Jakiś mężczyzna ściąga folię ochronną z podłogi i okna, co znaczy, że za chwilę będzie można sprzątać. Przed wyjściem niespodziewanie zwraca się w moim kierunku:

– Jesteś Polką?

Bardzo mnie cieszy to pytanie. Mogę zamienić z kimś parę słów po polsku!

– Tak...

– Jak długo pracujesz?

– Tylko przez wakacje – tłumaczę nieśmiało, zaskoczona rozmową z rodakiem. W pierwszej chwili nawet się zawstydziłam, że widzi mnie

w tak niedbałym stroju, a do tego z „zestawem sprzątaczkii” w ręce. Szybko zmieniam zdanie, bo nagle mnie olśniewa:

- A ty pewnie mieszkasz w Ameryce od lat?
- Mhm. Od dziesięciu. Ale chcę już wracać.
- W Polsce jest lepiej?
- Pod warunkiem, że najpierw się tu zarobi.
- To powodzenia!

Wracamy do swoich zajęć. Wcale mnie nie szokuje, że po raz kolejny spotykam w Ameryce rodaka. W Chicago zdarza się to prawie codziennie: nad jeziorem, w śródmieściu, w metrze, w dzielnicy robotniczej, wszędzie słyhać język polski. W większości przypadków to bardzo przyjemne spotkania, ale zdarzają się wyjątki; widziałam Polaków proszących o dolara na bułkę.

Z zamyślenia wyrywa mnie prośba gospodyni: mam wykonać jeszcze parę drobnych czynności związanych z remontem. Teraz dopiero mogę się naocznie przekonać, jak wiele musiało się tu zmienić w ciągu kilku godzin. Odslonięta część kuchenna naprawdę robi wrażenie, podobnie jak połączony z nią salon. Wszędzie pachnie nowymi meblami i świeżością. Robotnicy nadal pracują w tempie, które podziwiam, tak samo jak efekty ich fachowości.

Kończę już swoje zlecenie, ale przed odejściem, zanim dostanę czek, właścicielka jeszcze raz dokładnie sprawdzi, czy niczego nie pominęłam. Kiwa głową na znak, że jest dobrze i dodaje:

- Jeszcze tylko zobaczę, jak ci poszło na górze.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że od ostatniej głośnej wymiany zdań rodzice nie widzieli córki. Ciekawe, co robi?

– Ona często w nocy nie śpi, dlatego w dzień jej nie przeszkadzamy – mówi mi matka usprawiedliwiającym się tonem, jakby czytała w moich

myślach.

Udaję, że to dla mnie codzienność.

Po krótkiej chwili kobieta wraca.

– Dobra robota. Jedno tylko musiałam po tobie poprawić, ale nie wołałam cię, żeby nie zbudzić córki.

Domyślam się, o co jej chodzi, ale robię zdziwioną minę

– Coś było nie tak, naprawdę?

– Napis na tablicy. Dlaczego go nie starłaś?

– Myślałam, że to bardzo ważne – odpowiadam szczerze.

6. Dziwna kobieta

Nasz samochód zatrzymuje się w małym miasteczku Geneva, przed niewielkim domem z werandą, na której czeka siwowłosa kobieta. W Ameryce to widok rzadko spotykany (w każdym razie rzadziej niż w Polsce). Z reguły ludzie, którzy jeszcze nieźle trzymają się na nogach, nie wypoczywają przed południem, a zwłaszcza w dzień roboczy.

Ta kobieta, mimo siwych włosów, nie wygląda staro, ale zachowuje się jak osoba niedołączna. Kiedy na nią patrzę, niezdarnie przewraca długim kijem stertę gazet i reklam, które poniewierają się wokół niej. Na mój widok ucieszyła się co prawda, ale okazuje to dość niemrawo, jakby w zwolnionym tempie.

Swoją pracę zaczynam od wrzucenia do kosza wszystkich papierowych reklam. Robię to oczywiście na polecenie właścicielki. Jedno z wielu, jakie mam tego dnia usłyszeć.

Kiedy dociera do mnie, że jest dziwna? Chyba wówczas, gdy prosi o wspólny spacer wokół domu. Opierając się mocno na moim ramieniu, kilkakrotnie przemierza tę samą trasę. W pewnym momencie wypatrzyła poniewierający się w trawie stary garnek czy nocnik i chce, bym zaniósł go na werandę, którą dopiero co uprzątnęłam ze śmieci. Jest to naprawdę bezużyteczny rupieć, który nadaje się tylko do kosza, ale umieszczam go na wyraźną prośbę właścicielki w kącie drewnianej balustrady. Zanim

wejdziemy do środka domu, starą miotłą wymiatam z przydomowych zakamarków zeschnięte liście, które na początku lipca przypominają o zeszłej jesieni. Usuwam pajęczyny spomiędzy drewnianych szczelin i grudy zaschniętej ziemi ze schodów. Kobieta siedzi tymczasem nieruchomo w miejscu, gdzie ją zastałam na początku wizyty, jakby bez pomysłu na to, co mogę dla niej jeszcze zrobić. Pracuję niespiesznie, ciesząc się, że powietrze jest tego dnia wyjątkowo nieuciążliwe. Mija sporo czasu, zanim Dziwna uświadamia sobie, że nie jest sama. Z pewnym ociąganiem zaprasza mnie do środka i wtedy odkrywam, dlaczego nie chce tam być. Wnętrze nie kojarzy się z domem. Przypomina opuszczoną rudere, do tego szczelnie odgradzoną od świata zamkniętymi oknami, zasuniętymi roletami i zasłoniętymi zasłonami. A mówiąc precyzyjnie: szmatami w oknach. W pomieszczeniach jest ciemno, duszno, a jednocześnie wieje nieprzyjemnym chłodem jak z miejsca, w którym od dłuższego czasu nie ma życia. Żadnych domowych zapachów. Brudna, wytarta podłoga z grudami ziemi jak na werandzie, a na niej pozostawione garnki, łyżki, gazety, ubrania, stary telewizor, olbrzymi wiatrak i narzędzia ogrodnicze wśród damskich butów. Brudny i zagracony stół, nieużywana kuchenka i lodówka z dużym kartonem mleka oraz zeschniętymi warzywami.

Chcę to jakoś uprzątnąć; w ciągu kilku godzin intensywnej pracy można by wiele zmienić, ale kobieta najwyraźniej ma wobec mnie inne oczekiwania. Owszem, w kuchni przestawiam słoiki, jednak nadal mają one zostać na stole. Narzędzia ogrodnicze zamierzałam wynieść przed dom, ale Dziwna nie zgodziła się na tę samowolę i grabie zostają w kuchni, tyle że w innym kącie. W pośpiechu zabieram z podłogi kilka naczyń, lecz niewiele to zmieni i zapewne na krótko. Zauważam, że moje starania, by przywrócić kuchni jej podstawową funkcję, tylko irytują właścicielkę, więc w końcu poddaję się jej sugestiom i zaczynam przekładać wskazane

przedmioty z kąta w kąt, co jest całkowicie pozbawione sensu. Na szczęście w tym pomieszczeniu nie zabawiamy długo. Moja chlebodawczyni ciągnie mnie za sobą w głąb domu, który tylko z ulicy wyglądał jak jeden z wielu; teraz wydaje mi się coraz bardziej tajemniczy. Zgodnie ignorując brud i bałagan panujące w ciasnym przedpokoju, docieramy do celu. Innych pomieszczeń nie dane mi jest zobaczyć – być może na szczęście. Prawdopodobnie ominęła mnie praca w łazience i co najmniej w jednej sypialni. Z tego, co zauważyłam, nikt poza kobietą nie zamieszkuje tego dziwnego lokum, więc sypialnia i łazienka prawdopodobnie przypominają kuchnię, o ile w ogóle istnieją. Równie dobrze Dziwna może spać w pomieszczeniu, w którym się właśnie znalazłyśmy. Zdaje się, że to jest jej ulubiony pokój i chyba spędzimy w nim kilka godzin, mimo że nie ma tu żadnego typowego dla domu mebla, za wyjątkiem jednego starego krzesła. Całe pomieszczenie wypełniają duże, stojące wieszaki, na których piętrami wiszą ubrania. Część uchwytów jest tu wmontowana na stałe, większość można teoretycznie przesuwac, pod warunkiem, że jest się dostatecznie silnym lub pozbędzie się połowy zawartości. Jednak byłoby to działanie bezsensowne, zważywszy, że na wieszakach znajduje się tylko część garderoby; znaczna większość zajmuje resztę pokoju: wszystkie kąty i parapety okienne. Na samym środku podłogi właścicielka utworzyła okazałą stertę z najróżniejszych przedmiotów i różnobarwnych tkanin. Leżą wśród innych tymczasowo bezużyteczne wieszaki, staromodne torebki, paski, a nawet buty, które, być może, znalazły się tu przez przypadek, bo olbrzymia część damskiego obuwia wypełnia plastikowe kontenery. Jednak kilkanaście sztuk ktoś kiedyś uporządkował: stoją grzecznie parami, niepasujące do tego bałaganu.

Niektóre ubrania zostały umieszczone w pudłach. Część z nich (kilkadziesiąt? Ponad sto?) trafiła tu prosto z pralni. Są czyściutkie,

wyprasowane i wiszą w szeleszczących celofanowych workach. Na pierwszy rzut oka jest to wyłącznie damska garderoba, ale w ciągu kilku godzin „sprzątania” napotykam kilkanaście sztuk męskich ubrań. Dziwna kobieta towarzyszyła mi niestrudzenie od początku do końca pobytu w tym pomieszczeniu, dlatego mogę stwierdzić z całą pewnością, że ten pokój jest jej ulubionym miejscem. Tu, nie ruszając się z krzesła, spędziła cztery szczęśliwe godziny. Teraz siedzi niczym na tronie, zdecydowanie bardziej odprężona i spokojniejsza niż wcześniej. Z dużym zaangażowaniem wskazuje mi różne ubrania, które ogląda z daleka lub bardzo bliska. Czasem decyduje, by powiesić je na którymś wieszaku, innym razem rozkazuje zostawić w tym samym miejscu. Na widok niektórych rzeczy wyraźnie się ożywia i uśmiecha. Trzyma je dłużej na kolanach, zbliża do oczu, jakby chciała wyczytać z nich coś więcej. Zapamiętała plamę z ważnego przyjęcia? Przetarcie? Podarty rękaw? Może coś zwęzła lub poszerzała? Dziwna nie zwierza mi się, tylko wspomina w ciszy. Podziwia, gładzi delikatnie dłońmi, patrzy ze zdumieniem i niedowierzaniem, czasem wacha, a innym razem po prostu każe coś rzucić na podłogę. Muszę to robić – za to mi płaci. Z czasem zaczyna się tworzyć sterta ubrań konkurencyjna do tej, która już wcześniej tu była. Dziwna niekiedy się myli. Prosi o powieszenie ubrania na wieszaku, a potem, nieoczekiwanie, każe je rzucić na stertę. Albo odwrotnie: ze sterty jednak przenieść na wieszak. Po godzinie orientuję się, że niektóre rzeczy miałam już w rękach, a mimo to trzeba je będzie ponownie przekładać. Po kolejnej godzinie wiem już na pewno, że odzież, która leży, wcale nie jest gorsza od tej wiszącej. Moja praca nie ma sensu. Przestaję mieć złudzenia, że zdołam zaprowadzić tu jakikolwiek porządek. Zostały jeszcze dwie godziny sprzątania, a ja bezmyślnie przekładam ubrania z kąta w kąt. Nie zanoszę na zmiany. Postanawiam więc heroicznie bronić uporządkowanych butów,

by nie znalazły się w zasięgu wzroku kobiety – ma to sens i na krótko staje się moim celem. Z czasem zaczynam wybierać co ciekawsze, według mnie, elementy garderoby i prezentować przed właścicielką, zachwalając ich atuty, co czyni moją pracę bardziej twórczą. Niestety, moje wybory nie przypadły Amerykance do gustu!

Oglądając garderobę, wyobrażam sobie bujną przeszłość właścicielki. Była kiedyś trochę szczuplejsza i lubiła krzykliwe kolory. Chodziła na bale – wśród rzeczy znalazłam wyjątkowo dużo długich, balowych sukni i błyszczących ubrań na wielkie uroczystości. Widziałam też męskie stroje, jakby na tę samą okazję. Kobieta wyraźnie nie lubiła czarnego koloru. Nawet buty wolała w pastelowych barwach, a do tego błyszczące, z klamerkami. Zdaje się, że nie nosiła nigdy wysokich szpilek. Miała duże, krzykliwe torebki: błyszczące, plastikowe, haftowane, z miękkiego aksamitu z falbankami albo całe z koralików. Nawet kopertówki były wyjątkowo duże. Kiedyś nosiła różnobarwne szale. Dziś też owinęła się rudym, szerokim pledem; może to dawne przyzwyczajenie, a może po prostu ochrona przed nieprzyjemnym chłodem panującym w domu? Zerkam na jej nogi: nosi rozczłapane, nieestetyczne kapcie, w których bezustannie się potyka, więc nie ma mowy o żadnym obcasie. Zaczynam się zastanawiać, ile ma lat. Nie wygląda staro, nawet z bardzo bliska, ale widać, że teraz zupełnie nie zależy jej na wyglądzie. Ani na domu. Zmierzwione, siwe włosy, zero makijażu, wyciągnięty dres i życie w miejscu, z którego chce się jak najszybciej uciec. Z pewnością ma pieniądze, bo stać ją na regularne korzystanie z serwisu. Za każdym razem, jak się później dowiedziałam, ma to samo życzenie: przekładanie ubrań z miejsca na miejsce. Systematycznie, przez kilka godzin raz w miesiącu, od roku.

– Może jest chora psychicznie i potrzebuje pomocy? – pytam pod koniec dnia właścicielkę serwisu.

– Albo po prostu jest samotna i nieszczęśliwa – słyszę w odpowiedzi. – Chociaż ma rodzinę, chyba dwie córki, tu niedaleko, w Chicago. Obie kontaktują się z matką, ale nie zdołały jej nakłonić do zmian, począwszy od przemeblowania domu.

– Czy to córki załatwiły jej sprzątanie? – Byłam bardzo ciekawa.

– Nie, ona sama. Wbrew pozorom w kontaktach z urzędami jest rzeczowa, zachowuje się zwyczajnie. Regularnie płaci rachunki. Z tego co wiem, sąsiedzi też się na nią nie skarżą. A co robi w swoim domu, to już wyłącznie jej sprawa.

Po czterech godzinach przebywania z Dziwną w jednym dusznym pokoju jestem wykończona i mam dość jej towarzystwa. Nie mogę przeboleć tego, że mój sześciogodzinny wysiłek na nic się nie przydał, przynajmniej tak mi się wydaje. Dom jest w prawie takim samym stanie, w jakim go zastałam. Kiedy wreszcie przyjeżdża po mnie kierowca, nie posiadamy się ze szczęścia. Tylko moja chlebodawczyni nie podziela tej radości. Nie rozumie, że muszę już iść, co wnioskuję po jej niezadowolonej minie. Ciekawa jestem, jak długo jeszcze mogłaby tak siedzieć bez jedzenia i picia. Z prawdziwą ulgą mówię jej „do widzenia”, ale kobieta nie rusza się ze swego królestwa, nie odprowadza mnie nawet do drzwi. Nie odpowiada też na pożegnanie, tylko siedzi sztywno na swoim tronie, rozczarowana, że tak szybko minęła jej podróż do przeszłości.

Gdy wreszcie oddycham głęboko świeżym powietrzem, robi mi się jej szkoda. Jest samotna. Większość czasu spędza w tych odrażających czterech ścianach. Nie ma zwierząt. Przed ludźmi gra rolę uprzejmej starszej pani.

A co najgorsze, prawdopodobnie będzie szczęśliwa dopiero za miesiąc, przez sześć godzin, płatnych po dwadzieścia dolarów za każdą.

7. Para staruszków

W serwisie od rana wyczuwa się pośpiech i nerwową atmosferę, bo jedna z kobiet zasnęła i mamy piętnaście minut opóźnienia. Po nieprzyjemnej awanturze, którą zrobił jej pan Zbyszek, nastąpiła chwila spokoju. Jednak widać, że bossa dręczy sumienie.

– Już zapomnieliście, jakie byliście zadowolone z wczorajszych zarobków? Dziś wam już takie niepotrzebne?

– Potrzebne, a jakże – odzywa się Jasia. Jej synowie mają duże wydatki.

– No to nie dziwcie się, że wymagam punktualności.

Cóż, musimy zwiększyć tempo, by dziś też wyrobić ponad sto procent normy i zgarnąć do kieszeni około sto trzydzieści dolarów – wszystko jest możliwe.

Po kilku dniach znam już zasady funkcjonowania firmy, w której „jest lepiej niż w innych”. Oczywiście, żeby coś działać, trzeba pracować. Kierowca musi wstać o 4.30, by jak najwcześniej rozwieźć sprzątaczkę do wszystkich miejsc. Sprytne kobiety starają się uporać ze sprzątnięciem domów szybciej, niż zaplanowano w umowie z właścicielami. Dzięki temu w praktyce mogą zarobić więcej, niż się teoretycznie zakłada, obsługując cztery, a nie trzy lokale w ciągu ośmiu godzin. Właściciele płacą za godzinę pracy każdej sprzątaczkę oddzielnie, a czterdzieści procent zarobku zabiera szefowa, stąd jej pomysł na to, by sprzątać więcej. Panie są jednak

szczęśliwe, bo „mogą dużo zarobić”. Pan Zbyszek sprawnie przewozi kobiety, oszczędzając czas na dojeździe. Dzięki tym wszystkim zabiegom, dostając tylko dziesięć dolarów na godzinę, sprzątaczkі zarabiają przeciętnie sto dolarów dziennie i są wolne już o szesnastej.

Czasami zdarzają się ludzie, którzy przebywają w domu i pilnują ustalonych godzin, ale i na nich znajdą się sposoby. Jeden poznałam rano: przywieziona do pracy na ostatnie pół godziny udawałam, że byłam z koleżankami cały czas.

– Już dzwoniłem do Stasi, ma ci otworzyć tylne drzwi – zakomunikował pan Zbyszek.

– Co mam robić, jak wejść?

– Zachowuj się tak, jakbyś była od samego początku. Zostawiam ci wolną rękę, ale pospiesz się!

Widziałam zdumienie w oczach właścicielki, gdy zastała mnie pochłoniętą składaniem dużej sterty dziecięcych ubrań. Musiałam być przekonująca, kobieta otworzyła bowiem przede mną szafę z kolejnymi rzeczami do poskładania.

– Mogłabyś ubiegać się o gażę aktorską za tę scenę – śmiała się Stasia. Dzięki mojemu popisowi zaoszczędziłyśmy godzinę. Nie muszę dodawać, że Amerykanka była ze sprzątanania zadowolona, więc pożegnałyśmy się w bardzo dobrych nastrojach.

Zbyszek już czekał, by przewieźć nas dalej.

Właśnie skręciliśmy w leśną drogę i kilkadziesiąt metrów jedziemy po ubitym dukcie, w głąb prawdziwego lasu. Samochód trzęsie się na wybojach, a Jasia aż podskakuje z radości po tym, jak się zorientowała, gdzie jesteśmy.

– Jedziemy do fajnych staruszków!

Ta radość w głosie oznacza, że miejsce jest godne uwagi. Już z daleka widzę obszerny, drewniany dom z werandą stojący w środku lasu. Wsiadamy obie, a Zbyszek nawet nie sprawdza, czy ktoś nam otworzy. Spieszy się, bo musi zawieźć do pracy jeszcze dwie kobiety.

– Tylko pamiętaj – zwraca się do Jasi – nie możecie tam siedzieć trzy godziny, postarajcie się zrobić wszystko w czasie dwóch.

– A jak będzie zamknięte? – Odwracam się z niepokojem w stronę koleżanki.

– To mało prawdopodobne. Oni już nie mają siły nigdzie jeździć.

Rzeczywiście. Kobieta niespiesznie otwiera nam drzwi, gdyż jest w podeszłym wieku i porusza się z balkonikiem, który odstawia na chwilę, by gościnnie uściskać Jasię. Mnie też traktuje po przyjacielsku. Nie zostaje z nami dłużej. Pokazuje bolącą nogę i tłumaczy, że musi odpocząć. Każdego dnia przychodzi do niej pielęgniarka. Nie wiem, czy to z tego powodu starsza pani ma starannie ułożone włosy i przypudrowaną twarz.

Zostajemy same w imponującej części kuchennej, w której zatrzymał się czas. Duże, drewniane okno nie jest niczym zasłonięte. Wystarczy je otworzyć, by poczuć zapach lasu. Widać z niego wydeptaną ścieżkę w trawie, przy której stoją różne karmniki dla ptaków. Obok drewnianej ramy wiszą półki na przyprawy: kilkadziesiąt słoiczków niejednakowej wielkości, podpisanych starannie i odręcznie. Tuż obok, przy szybie, zwisają spod sufitu gliniane figurki.

– Wszystko to się kurzy i trzeba dokładnie wycierać – sprowadza mnie na ziemię Jasia. Oglądam się w jej stronę. Kuchnia i salon są połączone, tworząc dość ekscentryczne pomieszczenie. Zatrzymuję wzrok na niepospolitym, bujanym krześle, a potem co chwilę zachwycam się czymś nowym: wiklinowymi koszami o dziwacznych kształtach, pomysłowo

wyeksponowaną starą maszyną do szycia, nawet skrzypiącą podłogą. Jasia też na moment zapomina, że mamy się spieszyć.

– Chodź, pokażę ci, ile tu jest obrazów – woła. – Nawet w łazience!

Kolekcja jest rzeczywiście imponująca: zajmuje też dwie ściany w salonie i cały przedpokój.

– Mój ulubiony portret. – Wskazuje na duży obraz w złotej ramie. – To jakiś dawny król. Musi to być ktoś z ich rodziny – stwierdza zachwycona.

Oglądamy kompozycję pięknych przedmiotów, a przy okazji je czyścimy. Trzeba przyznać, że z dużą przyjemnością. Po godzinie takiego zajęcia ja też mam już swój ulubiony gadżet! To nocnik dla dziecka w kształcie miniaturowego tronu, wyrzeźbiony w drewnie. Zajmuje honorowe miejsce w przedpokoju i idealnie pasuje do otoczenia. To dom pięknych, starych rzeczy – myślę.

W kuchni pojawia się starszy pan. Macha do nas na powitanie, uśmiechając się znad dużego stołu w kącie, który jest chyba jego ulubionym meblem. Błat opiera się na półkach wypełnionych arsenałem majsterkowicza, ale nie tylko: oprócz narzędzi widzę stare radio i płyty. Jedną z nich mężczyzna włącza, a Jasia dziękuje mu po angielsku.

– Skąd wiesz, że to dla nas?

– Kiedyś pan zaproponował mi „na migi”, że włączy muzykę. Pytał uprzejmie, więc wolałam odpowiedzieć *yes*, i tak już zostało. W ten sam sposób dogadaliśmy się, że po skończonej pracy mogę wypić kawę na tarasie! Chyba ostatnio nie jest zbyt często używany, bo chorzy dużo czasu spędzają w łóżkach.

– No tak, ale dzisiaj się spieszymy i zdaje się, że nic z tego nie będzie. Szkoda. To takie ładne miejsce...

– Dzisiaj musimy się pospieszyć – przyznaje Jasia tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Zostały nam jeszcze sypialnie.

Pokoje, do których wchodzimy, bardzo różnią się od stylowych kuchni i salonu. Ta część domu to inny świat: pełen medycznej aparatury, pachnący lekami, niemalże sterylne. Bez zbędnych ozdób i cieszących oczy drobiazgów. Jest tu też praktyczna łazienka z antypoślizgową posadzką, prysznicem bez kabiny, za to z wygodnym siedziskiem i uchwytami do podtrzymania się. Myślę o tej, którą podziwiałam wcześniej, z romantyczną wanną i umywalką. Właścicielom nie może już służyć, ale jest przepiękna.

W każdej z dwóch sypialni stoi jedno łóżko. Pokoje wyglądają trochę jak szpitalne sale: stojak na kroplówkę, inhalator, duża szafka z lekami i drabinka do rehabilitacji przy ścianie.

– Mało tu romantycznie – wypalam.

– Za to pozostała część wygląda jak z bajki. Chciałabym mieszkać w takim domu na starość – marzy Jasia. – Co chwilę wstawać z łóżka, iść do kuchni, popatrzeć przez okno, zajrzeć do łazienki, podziwiać ptaki...

– Najpierw musiałabyś przestać pracować i wrócić do Polski. Pospiesz się, żeby nie było za późno!

– W tym roku już chyba wrócę...

Nie komentuję. Słyszałam, że Jasia już kilka razy planowała kupno biletu, żeby w ostatniej chwili się rozmyślić.

Po dwóch godzinach, zgodnie z planem, jesteśmy gotowe do odjazdu.

– Starsi ludzie nie sprawdzają, ile czasu zajęły porządki. Jeśli jest czysto, możemy spokojnie wyjść – mówi Jasia.

Tak jak przypuszczałam, nie mamy dziś czasu na delektowanie się widokiem z domowego tarasu... Gdy mijają planowane dwie godziny, widzę, że pan Zbyszek już stoi na parkingu i patrzy niecierpliwie w naszą stronę, co jeszcze bardziej mobilizuje Jasię do pośpiechu. Odchodząc, z zalem oglądam się za siebie...

8. Basia

Tego dnia wchodzę do busa sama, bo moja przyjaciółka robi badania i musiała wziąć wolne. Basia siedzi na swoim ulubionym miejscu, przy oknie tuż za kierowcą. Już rano ma zmęczoną twarz, jakby nie przespała nocy, ale jej duże, piwne oczy w ciemnej oprawie, chociaż smutne, i tak robią spore wrażenie. Siadam obok i odbieram telefon – dzwoni Jacek, jak zwykle. Po skończonej rozmowie słyszę:

– Przysuń się trochę w moją stronę, bo widzę, że nie masz miejsca.

– Nie, jest w porządku – odpowiadam i bardziej zdecydowanie przylegam plecami do oparcia fotela.

– Upał dziś straszny, ale co zrobić? Ja biorę sobie zawsze butelkę z lodem, żeby mieć lodówkę w torebce i bezpiecznie przewozić jedzenie.

Kiwam głową z uznaniem, myśląc równocześnie, że to dla mnie zbyt pracochłonne zajęcie. Pozostanę przy podziwianiu.

Basia, jak się okazuje, jest bardzo rozmowna i nie przeszkadza jej moje milczenie.

– Wiesz, jak tak ciągle rozmawiasz z kimś przez telefon, przypomina mi się mój mąż. On też był dla mnie taki dobry i nieustannie dzwonił, gdy byłam w pracy. Najpierw pytał, czy dojechałam, a potem jeszcze kilka razy: co słychać, jak się czuję itepe. Tak było codziennie. Aż do jego śmierci. On zmarł dwa lata temu i ciągle nie mogę się otrząsnąć.

– To smutne. Chorował na coś? – Sama się sobie dziwię, że tak wypytyuję obcą osobę o sprawy osobiste, ale najwyraźniej ona potrzebuje o tym opowiedzieć.

– Nie, zmarł nagle, na serce. Pojechał do pracy pierwszego dnia po urlopie. Tydzień byliśmy nad jeziorem, bo oboje kochamy naturę. Do dziś, gdy patrzę na las czy łąkę, przypomina mi się Grzesiek, bo tak miał na imię. Najbardziej lubił, gdy zwracałam się do niego „Grzesiu”. Widzisz ten ogródek za oknem? Ktoś tak ładnie posadził niecierpki, że powstał kolorowy dywan z kwiatów. My też tak sadziliśmy kwiaty.

Każdego dnia jechałyśmy do pracy około dwóch godzin, więc można było w tym czasie opowiedzieć kawałek życia. Słucham dalej, podczas gdy większość kobiet po prostu drzemie.

– Po urlopie Grzesio wstał pół godziny wcześniej, żeby być w pracy przed czasem. Pojechał jeszcze na stację benzynową zatankować i zasnął przy wysiadaniu z samochodu. Miał pięćdziesiąt dwa lata.

– Wiem, że trudno pogodzić się z nagłą śmiercią.

– Bardzo trudno. Na szczęście on często śni mi się w nocy. Przychodzi do mnie, rozmawiamy sobie, a czasem po prostu się tulimy. Dziś na przykład śniło mi się, że mnie całował, i to w środku miasta. Trochę mnie krępowała ta intymna sytuacja, bo ludzie na nas patrzyli, ale pomimo wstydu byłam szczęśliwa.

– A kiedy się budzisz, nie jest ci smutno, że to tylko sen? – Dopiero po wypowiedzeniu tych słów uświadamiam sobie, jaką przykrość mogły sprawić Basi. Na szczęście tak nie jest.

– Nie, doskonale wszystko pamiętam i cieszę się, że choć przez chwilę z nim byłam – mówi z zapalem. – Wiesz, wydaje mi się, że ja te sny już w sobie wyćwiczyłam, bo tak intensywnie o nich myślę przez cały dzień i oczekuję ich wieczorem z takim napięciem, że muszą przyjść.

Powoli zbliżamy się do celu podróży. Pierwsze kobiety z wyraźnym westchnieniem ulgi opuściły już nasz pojazd i zniknęły za drzwiami posiadłości, ukrytej przed światem w gęstym lesie. Basia mówi dalej, właściwie bez ustanku, coraz szybciej, jakby się bała, że będzie musiała przerwać w bardzo ważnym momencie.

– Jestem romantyczką. Lubię gwiazdy, świece. Mój mąż też lubił. Uwielbiałam oglądać z nim romanse. Nieraz płakałam bardzo rzewnie i wtedy Grzesio mówił, że wyłączy telewizor, bo za bardzo przeżywam. Teraz, gdy go nie ma, często oglądam romanse i odkrywam te historie na nowo. Lubię się wzruszać. Tak. Taka już jestem. Będę się już zbierać, bo to mój przystanek. Do zobaczenia jutro.

Po wyjściu Basi milczące dotąd kobiety się ożywiają:

– Opowiedziała ci już historię swego życia? Jak mąż umarł? Jak przychodzi do niej w nocy i rozmawiają?

Jestem zaskoczona.

– Może jej lepiej, gdy tak się wyżali – odpowiadam.

– Ale my to słyszymy codziennie od dwóch lat! Ona jest nudna z tym ciągłym rozpamiętywaniem, zamęcza nas.

– Jej mąż pewnie też miał dosyć tego gadania, dlatego umarł – dorzuca któraś z przekąsem.

– Ona tylko czeka na takie nowe jak ty, którym może od początku wszystko opowiedzieć, bo nas się już trochę boi. Dlatego tak cicho mówiła, ale i tak słyszałyśmy. Znamy to na pamięć.

Dopiero wtedy dociera do mnie, dlaczego tylko koło Basi było wolne miejsce, gdy wsiadłam do busa.

Następnego dnia Basia z samego rana częstuje wszystkich owocami. Robi wrażenie cieplej i serdecznej osoby. W pewnym momencie nachyla się do mego ucha i mówi prawie szeptem:

– Mój mąż robił mi zawsze sałatkę z owocami na śniadanie. Często przynosił mi śniadanie do łóżka. Tak, miałam dobrze. Teraz to tylko wspominam.

Czuję, że będę tych smutnych historii słuchać do końca tygodnia – Jasia miała wrócić dopiero w poniedziałek. Do tego czasu trudno będzie znaleźć pretekst, by uniknąć towarzystwa Basi. Zresztą, czy naprawdę mi przeszkadza? Może jest troszkę męcząca, ale to dobry, szczerzy, uczynny człowiek. Jej koleżanki też to przyznały.

– Kupował mi też dużo rzeczy – kontynuuje historię, której początek musiałam przeoczyć. – Ostatnia rzecz, którą od niego dostałam, to elegancki kostium. Seledynowy. Byliśmy razem w sklepie i przymierzyłam kilka rzeczy. Ten kostium bardzo nam się spodobał. Obojgu, bo zawsze byliśmy zgodni. Teraz go nie noszę, bo spódnice tej długości są niemodne.

– To może skrócisz?

Nie doczekałam się odpowiedzi. Basia najwyraźniej nie dosłyszała pytania, pochłonięta swoimi marzeniami, albo zignorowała moje niepraktyczne rady.

– Teraz, gdy go nie ma, nie przywiązuję wagi do stroju. Sukienkę zakładam raz w tygodniu, do kościoła. W zwykły dzień wystarczą mi spodnie i bluzka. Jedyne, co często zmieniam, to kolczyki, ale dziś nawet tego nie zrobiłam.

Jakby na potwierdzenie swoich słów Basia dotyka ucha pozbawionego ozdób.

– Wiesz, w mojej sytuacji bardzo pomaga mi muzyka. Słuchałaś piosenek księdza T.?

– Ale one są bardzo smutne. Przy nich pewnie jeszcze bardziej płaczesz. Nie wiem, czy powinnaś słuchać takich tekstów.

– Ksiądz T. jest bardzo przystojny, można się w nim zakochać – słyszymy głos z tyłu.

– Owszem, jest. Może młode dziewczyny się w nim kochają, ale mnie to nie interesuje – odpowiada Basia. – Zresztą, wygląd w przypadku księdza nie jest tak istotny jak charakter, wewnątrz. Dla mnie jego piosenki są bardzo życiowe. Czasem specjalnie je sobie włączam, żeby popłakać. Taką mam potrzebę – ucina.

Po wyjściu Basi z samochodu pada komentarz:

– Widziałyście, że dziś nie miała kolczyków?

Kolejne dni przypominają te, które już minęły. Bardzo szybko orientuję się, że Basia jest na swój sposób lubiana przez koleżanki z pracy. Potrafią docenić przede wszystkim jej dobre serce.

– Ona sama nie zje, a z tobą się podzieli.

– Własne córki ją wykorzystują. Haruje dla nich, a często nie usłyszy nawet „dziękuję”.

– Jest za dobra dla innych. W pracy na przykład wszystko musi być zrobione dokładnie, a nie każdy tego potrzebuje i to doceni.

Tak o niej mówią.

Kiedy Basia kolejnego już dnia zaczyna wspominać męża, udaję, że jestem śpiącą. Po jakimś czasie rzeczywiście ucinam sobie krótką drzemkę, ale docierają do mnie strzępy informacji.

– Jeździłam tą drogą z mężem. Głównie to on prowadził, ale czasem, gdy wracaliśmy od znajomych, a on wypił kieliszek, nie więcej, to ja byłam kierowcą. Nie lubię teraz jeździć sama, gdy go nie ma. Nie wybieram się nigdzie dalej, tylko do banku i sklepów u nas, w Burbank. Śpisz? No to śpij sobie.

Gdy wracamy do pracy po weekendzie, opowiadam Jasi o wyprawie z rodziną nad jezioro. Byłam na przepięknej plaży; do wody wchodziło się

niemalże wprost z bardzo ładnego zagajnika. Wokół spokój, cisza, soczysta zielona trawa. Nieopodal ciepły, nagrany słońcem piasek, a zaraz za nim ukryty w cieniu parking. Dla nas – raj po bardzo pracowitym tygodniu.

– Szkoda, że mój mąż nie żyje. Na pewno byśmy tam pojechali – włącza się do naszej rozmowy rozmarzona Basia. – Kiedy on był na świecie, wszystko miało sens. Teraz nie chce mi się nigdzie jechać. Mnie też córka chciała zabrać wczoraj nad jezioro, ale powiedziałam, że jestem zajęta. Tak naprawdę nic nie robiłam.

W drodze do domu zajmuję miejsce tuż za Basią, która natychmiast odwraca się w moją stronę.

– Wczoraj wieczorem oglądałam *Trędowatą*. Znasz?

Kiwam głową bez entuzjazmu.

– Bardzo mi się podoba, szczególnie ta pierwsza wersja filmu. Książka bardzo życiowa.

– A mnie się wydaje, że trochę baśniowa – ośmielam się zaprotestować.

– Ja lubię takie historie. Jest piękna. Oglądałam, jedząc sałatkę z pomidorów. Tak kiedyś z mężem oglądaliśmy filmy. Dziś też muszę kupić pomidory, bo jem codziennie. Właśnie się skończyły.

– Nie możesz ciągle mówić o swoim mężu. Jesteś młoda, znajdź sobie kogoś. – Nie wytrzymuje jedna z kobiet.

– Nie, ja już nikogo nie chcę. Chcę żyć wspomnieniami. Niech inni szukają sobie kolejnych mężów. Nikomu nie bronię.

Mówiąc to, Basia trzyma w ręku klucze, które przed chwilą wyjęła z torebki. Jest gotowa do wyjścia.

Robi tak codziennie. Chce jak najszybciej znaleźć się w swoim domu i zamknąć za sobą drzwi. To nic, że nikt tam na nią nie czeka. Koleżanki wiedziały, dlaczego tak jest: Basia lubi swój dom, bo tam każdy szczegół przypomina jej męża. Podłoga, po której chodził, książki, które wspólnie

czytali, łożko, ulubiony kubek – wszystko stało się świętością, skrupulatnie pielęgnowaną i zawzięcie chronioną przed światem.

– Ciekawe, co dziś jej się przyśni – słyszę, gdy kobieta znika za zakrętem.

9. Korona miss

Dzisiaj sprzątam w domu miss stanu Illinois z 2002 roku. Tak jest napisane na pamiątkowej szarfie, która starannie złożona, leży w przeszklonej gablocie w pobliżu lśniącej, srebrnej korony, zajmującej całą najwyższą półkę. We wspomnianej już witrynie znajdują się też liczne maskotki, drobne pamiątki, wycinki z gazet dotyczące wyborów i zdjęcia; te ostatnie, oprawione w ramki, stoją w różnych miejscach i można je wziąć do ręki, w odróżnieniu od pozostałych akcesoriów zamkniętych na klucz.

Miss na razie nie ma w domu, więc podziwiałam ją tylko na zdjęciach.

Nie jestem sama, na szczęście towarzyszy mi Jasia, która już od progu oznajmiła, że czuje się tu jak u siebie i tak jest traktowana.

– To jeden z pierwszych domów obsługiwanych przez serwis pani Basi, jeszcze w czasach, gdy ja w nim nie pracowałam. Znamy się z właścicielami od lat – słyszę. Jakby na dowód tego olbrzymi, kudłaty bernardyn, który wyrósł nagle jak spod ziemi, zaczął radośnie machać ogonem i ocierać się o nogi Jasi, najwyraźniej witając się z nią jak z dobrą znajomą.

– Pikuś, kochany piesku, stęskniłeś się za mną? Zaraz pójdziemy się pobawić do ogrodu.

Pikuś? Do amerykańskiego psa? Co za pomysł – pomyślałam, ale nie od razu zdążyłam o to zapytać, gdyż Jasia uznała za konieczne wyjaśnić mi,

skąd ta miłość do czworonoga, który waży więcej od niej. Podobnego miała w domu jeszcze w czasach, gdy mieszkała w Polsce. Groźny był rzekomo tylko z wyglądu. W rzeczywistości to bardzo spokojna i łagodna rasa. Łatwo się przywiązuje do ludzi.

– Zauważ, że nawet ciebie toleruje, bo jesteś tu ze mną.

Kiwam głową na znak, że jestem pod wrażeniem.

– Zawsze od tego zaczynam pracę u misski. Bawię się z jej psem, chociaż zapewne robią to też jej synowie; jest mamą jedenastoletnich bliźniaków. Chyba za bardzo go męczą, bo najwyraźniej okazuje emocje, gdy ja się pojawiaję. Kiedy nie ma domowników, odgrywa tu rolę stróża, ale jest raczej zbyt towarzyski, by to lubić.

– To widać – mówię z uznaniem. – Ale czy to możliwe, że Amerykanie wołają na niego Pikuś?

– Mają jakieś swoje amerykańskie nazwy, nawet nie próbuję ich powtórzyć. Dla mnie od razu nazywał się Pikuś i najważniejsze, że reaguje. – I jakby na potwierdzenie tych słów „pani” wydaje komendę: – Pikuś! Chodź do mnie! Mam dla ciebie coś dobrego.

Pies idzie za swą dobrodziejką do spiżarni, gdzie otrzymuje pierwszą nagrodę za posłuszeństwo: porcję chrupiących przekąsek. Jasia zajmie się nim za chwilę, zgodnie z obietnicą, ale najpierw przekaże mi listę obowiązków. Udajemy się wspólnie w kierunku pralni. Tam pewnym ruchem otwiera kolejne szafki i wyjmuję z nich potrzebne akcesoria. Coś przelewa, miesza, liczy i przesuwa. W końcu ustawia na pralce puste pojemniki. Chcę być przydatna, więc biorę do ręki opakowania.

– Mam to wyrzucić?

– Nie, to informacja dla właścicielki, że płyny się kończą i trzeba kupić zapas.

Już mam na końcu języka pytanie, czy nie lepiej powiedzieć, gdy w porę uświadamiam sobie, że byłoby to nielogiczne, bo przecież Jasia nie zna angielskiego. Jej to jednak nie peszy, wręcz przeciwnie. Słyszałam, jak stwierdziła kiedyś z dumą:

– Znajomość języka w moim przypadku wcale nie jest taka niezbędna. Sama wiem, gdzie co jest, sprzątać też nie trzeba mnie uczyć, a gdybym знаła angielski, gospodarze ciągle by o coś pytali, do wszystkiego się wtrącali, czegoś jeszcze chcieli: tu popraw, tam przesun i Bóg wie co jeszcze. Tymczasem oni coś mówią, a ja kręcę głową, że nie rozumiem, i mam spokój.

Tak na marginesie: nie można powiedzieć, że Jasia nie mówi po angielsku zupełnie, gdyż zna jedno, najważniejsze w Ameryce słowo, a właściwie zapytanie, które brzmi: *OK?*. Tego zwrotu używa zawsze na zakończenie pracy, licząc na równie krótką odpowiedź.

– O, te szmatki weź sobie dzisiaj, one są bardzo praktyczne. – Wręcza mi je energicznie i dodaje jeszcze piórko do kurzu na długiej ręczce; ono też się przyda. Na koniec dostaję małą plastikową skrzyneczkę wypełnioną płynami, ścierkami i szczotkami, po czym udaję się w kierunku sypialni właścicielki. W czasie gdy będę tu robić porządki, moja koleżanka zajmie się psem.

– Nie będzie mnie pół godziny. To wystarczy, by posprzątać małą sypialnię i jedną garderobę. Tam jest zwykle porządek, bo ona mieszka sama i sama wychowuje synów. Widać uroda nie wystarczy do szczęścia – podsumowuje filozoficznie Jasia.

Z zainteresowaniem przyglądam się ubraniom w garderobie i trochę jestem rozczarowana, bo brakuje tu lśniących, wieczorowych kreacji, sukienek od projektantów czy bajecznie drogich torebek zamkniętych w szafkach z szyfrowanymi zamkami. Właścicielka zdobyła koronę dla

najpiękniejszej dwanaście lat temu, a jej aktualne ubrania są w rozmiarze osiem. Wniosek – trochę przytyła (dwa rozmiary?), ale to i tak całkiem nieźle jak na amerykańskie realia. Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę, skoro tyle już o niej wiem.

Jasia przychodzi z ogrodu z psem dokładnie w momencie, gdy kończę porządki w sypialni. Do pokoju chłopców idziemy już razem. Dziś nie musimy się spieszyć. Składając chłopięce ubrania i porządkując zabawki, słucham i stosuję się do wskazówek doświadczonej sprzątaczkii. Na przykład: zrób odkurzaczem ładne szlaczki na dywanie na zakończenie pracy i nie żałuj odświeżacza! W pewnej chwili Jasia przypomina sobie młodą góralkę, dziewczynę z Nowego Targu, która pracowała w serwisie zimą, na początku roku.

– Studiowała w szkole teatralnej i była już po półmetku, kiedy przyjechała tu na święta z chłopakiem. Pięknie mówiła po góralsku i nosiła długi, jasny warkocz. Sama jej znalazłam tę pracę, bo znam rodziców. Porządni ludzie. Ona też była sprytna i pracowita. Kiedyś znalazła klucz do witryny i wyjęła z niej koronę i szarfę. Zrobiła sobie zdjęcia, chyba nawet kilka wysłała do Polski. „Widzisz – mówiła do mnie – wystarczy koronę nałożyć i już można oszukać, że jest się miss”. To prawda, że z koroną też jej było do twarzy, jednak żeby aż miss? Ale ja stara jestem, dobrze nie widzę; tak jej odpowiedziałam, gdy zapytała o moje zdanie.

Z pokoju chłopców, który przypomina świątynię koszykówki, przenosimy się do kuchni. Jasia nastawia pranie, bo pościel bliźniaków z czerwono-czarno-białym nadrukiem groźnego byka, znakiem Chicago Bulls, zamieniłyśmy na inną, z podobiznami Coby’ego White’a i Michaela Jordana.

Tu, pomiędzy kuchnią a salonem, swoje legowisko ma Pikuś. Widać, że otrzymał już należną mu porcję atrakcji na świeżym powietrzu, bo

spokojnie przygląda się nam z tego legowiska, jakby rozumiał, że nie wolno przeszkadzać, gdyż jego przyjaciółka ma teraz inne zajęcie.

Na lodówce wiszą zdjęcia z wyjazdów do Francji i Włoch, a na nich są roześmiani chłopcy w towarzystwie mamy. Wygląda na szczęśliwą, jak na fotografiach z wyborów najpiękniejszej. Za nimi wieża Eiffla, zamki nad Loarą, Koloseum, plaża nad Adriatykiem, kawiarnie, nocne życie europejskich metropolii. Tuż obok wakacyjnych pamiątek, spora zafoliowana kartka, a na niej REGULAMIN DOMU dla chłopców: *Ethan's and Michael's After School Routine*. Poniżej troskliwa mama wymieniła w punktach, co jej synowie muszą zrobić kolejno po przyjściu ze szkoły: zdjąć i powiesić na wieszakach ubrania, opróżnić plecak, pudełko na jedzenie, umyć ręce, odrobić prace domowe i wtedy dopiero będą mieli czas wolny. Wszystkim czynnościom towarzyszą odpowiednie obrazki, a końcowe *play* opatrzone zostało zdjęciem komputera.

– Oni jedzą obiad w szkole? – pytam, bo na kartce nie ma mowy o jedzeniu.

– Tak jak wszystkie dzieci. Ale w domu też się gotuje. Widziałam nieraz zapiekanki, jajecznicę. Nie tyle co w Polsce, ale zawsze coś. Kanapek w każdym razie nie robią takich jak u nas, tylko hamburgery z sosem pomidorowym. Do tego kruche ciastka, ale bardzo słodkie, spróbuj. Właścicielka zawsze zostawia nam do kawy.

Robimy sobie chwilę przerwy. Zajadam się „dietetycznymi” ciastkami z kawałkami gorzkiej czekolady. Siedząc przy stole w jadalni, mogę oglądać salon. Obok kominka wisi przeszklony obraz, na którym starannie wypisano trzy ważne daty: urodziny chłopców, ale także ich rodziców, Stephanie i Anthony’ego.

– Widzisz – mówię do Jasi. – Chłopcy mają pamiętać o urodzinach ojca.

Podchodzimy bliżej, by odczytać napis na dole obrazu. Dopiero z bliska widać, że wszystko zostało starannie wyhaftowane, łącznie ze zdaniem, którego nie mogłam przeczytać z daleka:

WHAT A DIFFERENCE A DAY MAKES

– To o tym, jak jeden dzień może wiele zmienić – tłumaczę Jasi i w tym momencie słyszymy, że otwiera się garaż. Właśnie przyjechała właścicielka, co oznacza, że zaraz zobaczę miss.

– Mamy dobry czas, nic się nie martw – uspokaja mnie koleżanka, widząc, jak w pośpiechu zmywam po sobie naczynia.

Chwilę po tym uchylają się drzwi prowadzące do garażu i widzę najpierw kilka olbrzymich toreb z zakupami, a tuż za nimi właścicielkę tego dobytku – wysoką brunetkę przypominającą tę ze zdjęć, które widziałam na lodówce w kuchni. Kobieta wita się serdecznie, ale ewidentnie się spieszy i jest zajęta, więc nawet nie mogę jej się przyjrzeć. Torby wniesione do domu stanowią zaledwie wierzchołek góry lodowej; znaczna część zapasów zostaje ulokowana w olbrzymiej lodówce i zamrażarce, które znajdują się w garażu. Ze zdumieniem stwierdzam, że samo rozmieszczenie zakupów i posegregowanie ich jest zajęciem, które może trwać mniej więcej pół godziny, i to pod warunkiem, że będzie wykonywane w naprawdę szybkim tempie. A są to tylko produkty spożywcze.

Obserwuję miss kątem oka, gdy krząta się w pośpiechu. Jest ubrana całkiem zwyczajnie: ma płaskie buty, jeansy i zwyczajny biały T-shirt, kontrastujący z ciemną karnacją i niemal hebanowymi włosami. Musiała je mocno ściąć, bo teraz ledwie dosięgają do ramion. Nie jestem pewna, ale kobieta ma chyba dziwnie zniekształconą twarz z jednej strony.

Już wkrótce poznaję powód pośpiechu i „dziwnego” wyglądu. Trzymając się za spuchnięty i obolały policzek, miss tłumaczy, że musi iść do dentysty, bo bardzo boli ją ząb. Po zakończeniu pracy mamy zatrzaskać

drzwi, ponieważ w domu nikogo nie będzie. Kiwam głową, a Jasia mówi słynne OK. Wie, o co chodzi. Nieraz tak robiła.

Kobieta uśmiecha się do nas promiennie pomimo tego, że wyraźnie cierpi. Ma bardzo ładne zęby i miłą buzię bez śladu makijażu. Szkoda, że jest tak krótko; ma w sobie jakiś magnetyzm i budzi sympatię. Zachowuje się bardzo naturalnie.

Po jej wyjściu sprzątam salon, łazienkę i przedpokój. Nagle przychodzi mi do głowy myśl, że ja też mogłabym dotknąć korony, może nawet ją przymierzyć. Byłaby to ciekawa pamiątka z wakacji. Pytam więc Jasię, gdzie jest klucz do witryny.

– Zawsze był pod tym dużym słojem-skarbonką na centy – krzyczy, nie odrywając się od pracy.

Sprawdzam. Olbrzymi słoć, do którego domownicy wrzucają kłopotliwy bilon, jest bardzo ciężki, więc klucz nie mógłby się sam wysliznąć. Nie ma go również w pobliżu, na dywanie ani pod witryną. Przynoszę drabinkę, by zajrzeć na wierzch szafki. Pusto. Szkoda, bo coraz bardziej zaczyna mi się podobać mój pomysł.

– Nie ma nigdzie kluczyka – mówię do Jasi. – Widziałaś go ostatnio podczas sprzątania?

– Nie pamiętam, nie zwróciłam uwagi. Może kobieta sama go gdzieś przeniosła? A może wrzuciła do słoika z bilonem? Ja jej klucza nie pilnuję! – słyszę stanowczy głos i patrzę bezradnie na olbrzymią szklaną skarbonkę. Mały przedmiot wrzucony do środka to prawie jak igła w stogu siana.

– Nie martwisz się, że może kiedyś zapytać o ten klucz, skoro miałaś do niego dostęp? – pytam z nadzieją, że Jasia pomoże mi w poszukiwaniach.

– Ona nie wygląda mi na osobę, której korona byłaby jeszcze potrzebna do szczęścia – odpowiada spokojnie Jasia. I dodaje: – Sprawdź lepiej, czy

nie ma smug na podłodze w przedpokoju. A jak masz za dużo czasu, to zetrzyj jeszcze raz!

Posłusznie wracam do pracy.

10. Kredens

Kredens wcale nie wygląda na nowy, choć też nic nie wskazuje na to, by ktoś go używał. Co prawda na dolnych drzwiczkach wyraźnie odznaczyły się liczne ślady palców, a bok został porysowany kredkami, jednak wnętrze pozostało nienaruszone i na wszelki wypadek zaplombowane taśmą, chyba jeszcze ze sklepu.

– Proszę dziś umyć kredens i poustawiać w nim naczynia. – Właścicielka pokazuje mi pudła w zagraconym pokoju i zawartość dużego stołu. – Trzeba to umyć i umieścić na półkach.

– Czy coś jeszcze? – upewniam się, bo nie wierzę, że tylko tyle.

Nie, to wszystko.

Stoję przez chwilę osłupiała, ale za wszelką cenę muszę zachować powagę. Pamiętam słowa szefa, że mam się postarać, bo to nowi klienci i ode mnie będzie zależało, czy zechcą jeszcze skorzystać z naszego serwisu. Mam przez sześć godzin układać naczynia na trzech półkach w kredensie! Dolną część – tę zabudowaną – należy tylko umyć.

Rozglądam się po pokoju: ustawiono tu jeszcze kilka mebli, ale mam wątpliwości, czy właściciele z nich korzystają. Olbrzymia narożna kanapa została szczelnie zafoliowana i stanowi teraz wygodne miejsce dla tekturowych pudeł, których zawartość nie jest mi znana. Niedaleko stoi przeszkłona ława ze stosem gazet i korespondencji, z czego większość to

różne reklamy. Brakuje już miejsca, by wypić przy niej kawę, a poza tym nie ma też na czym usiąść; dwa wygodne fotele, będące zapewne częścią kompletu wypoczynkowego, zostały odwrócone tyłem do pokoju, a na nich leży... ubrana choinka! Przez przezroczystą folię doskonale widać bombki i światełka.

Jest lipiec, więc fotele będą pewnie zajęte do grudnia – stwierdzam w myślach. Nie ma nikogo, komu mogłabym się zwierzyć, więc mówię sama do siebie.

Na podłodze oprócz wspomnianych pudełek z naczyniami leżą karnisze i dodatkowy, zwinięty dywan. Przy oknie stoi „kwiat” – suchy badyl całkowicie pozbawiony liści. Kiedyś, w innym domu, widziałam podobny i chciałam go wyrzucić, na co właścicielka zareagowała nieskrywanym oburzeniem. Zapamiętałam i więcej tego błędu nie popełnię. Wiem, że nawet jeśli ktoś w Ameryce zechce postawić na środku pokoju kosz ze śmierdzącą zawartością, nie wolno mi protestować. To jego dom, ma prawo.

Kobieta, która wyznaczyła mi zadanie, jest dość sympatyczna, ale najwyraźniej szybko się męczy, bo po rozmowie ze mną ulokowała się na wygodnej kanapie w połączonym z kuchnią salonie i drzemie przed telewizorem. Jest bardzo parno. Współczuję jej, bo przy takiej tuszy i w temperaturze ponad stu stopni Farenheita też byłabym ledwie żywa. Chyba że nie miałabym za co żyć, wtedy musiałabym się ożywić. Ona najwyraźniej nie czuje takiej potrzeby.. Dom świadczy o tym, że ma pieniądze. Na ścianie, w pokoju gdzie odpoczywa, wisi obraz, który wprowadził mnie w osłupienie; *Ostatnia wieczerza*, niczym kopia Leonarda da Vinci, ale wszystkie postacie na tym malowidle, łącznie z Chrystusem pośrodku, mają czarną skórę – tak jak gospodyni domu.

Wracam jednak do kredensu.

Stoi co prawda w rogu pokoju, ale w dość wyeksponowanym miejscu: dokładnie naprzeciw drzwi i tuż koło okna. Ma taki sam jasny kolor jak pozostałe meble w tym pomieszczeniu. Nawiasem mówiąc, właściciele uwielbiają biel i gdyby odszorować wszystko, co w tym domu było pierwotnie białe, łącznie z drzwiami i futrynami, zrobiłoby się naprawdę jasno. Cóż, ja mam zająć się kredensem.

Jego górna część jest przeszklona grubymi, ozdobnie oszlifowanymi szybami, które znajdują się nie tylko w drzwiczkach, ale i po bokach mebla. Z kolei na frontach dolnych drzwiczek wyrzeźbiono ozdobne ornamenty z motywem liści, pasujące do tych, które znajdują się na listwach rozdzielających fronty. Takich ozdób nie mają pozostałe meble w tym pokoju. Kredens jest bardziej okazały, jakby pochodził z innego kompletu, z innego świata. Cała misterna konstrukcja została wsparta na ozdobnych narożnikach i kulistych nogach, a wieńczy ją okazały, wysoki gzyms z motywem roślinnym w centralnym punkcie.

Muszę zagospodarować sześć godzin tak, aby cały czas mieć zajęcie, więc trzeba działać zgodnie z planem. Pierwszą godzinę przeznaczam na gruntowne mycie i polerowanie wnętrza mebla. Normalnie zajęłoby to piętnaście minut. Tym razem myję, suszę, poleruję, poprawiam, aż wreszcie mija pierwsza godzina. Teraz zajmuję się czyszczeniem tego, co na zewnątrz. Wszelkie ozdoby, w tym płaskorzeźby na drzwiczkach, okazują się zbawienne. Wreszcie można poświęcić im tyle czasu, na ile zasługuje artysta (snycerz?), który to wykonał. Z wielką pieczołowitością, niczym konserwator zabytków, powoli, milimetr po milimetrze odkrywam piękno sztuki użytkowej. (Do dziś pamiętam kształt tych ozdób). Na widok dziecięcych malowideł w dolnej części mebla nieco się ozywiam, ale zniknęły one zbyt szybko, zaledwie po kilku muśnięciach gąbką. Pieszczę ozdobne uchwyty w kolorze starego złota i zaczynam się powoli niepokoić,

że mój plan nie sprawdza się w praktyce, bo zostały mi aż cztery godziny, w czasie których mam umyć i poustawiać szkło na trzech niewielkich półkach. Z kłopotu wybawia mnie ojciec rodziny, który pojawia się w domu o dziesiątej z niecodziennym śniadaniem – olbrzymim pudłem pączków i obwarzanków z Dunkin Donuts. W tej samej chwili do kuchni przychodzą zaspane dzieci: trójka ruchliwych brzdąców, z czego najmłodszy korzysta z pieluchy. Boso i jeszcze w piżamkach chłopcy okrążają pudło ze słodyczami, jakby to były co najmniej bułeczki z masłem i szynką.

– Co do picia? – pyta ojciec każdego z osobna. – Sprite? Cola?

Mężczyzna wygląda jak przeciwieństwo żony. Jest niski i szczupły. Ma bardzo ciemną cerę i kręcone, hebanowe włosy. W jego przypadku chyba łatwiej określić wiek: ma nie więcej niż czterdzieści lat. Teoretycznie powinien więc przebywać w pracy albo odsypiać noc, ale najwyraźniej nie jest typowym Amerykaninem. Gospodarz uprzejmie proponuje poczęstunek, z którego skwapliwie korzystam. W kolorowym pudle znajduje się kilkadziesiąt ciastek, a ja wybieram to najbardziej nienaturalne, z kolorową posypką i lukrem w nieprawdopodobnym, turkusowym kolorze.

Kto nie jadł nigdy donutów w Ameryce, niech wyobrazi sobie, że nagle w jego ustach znajduje się zawartość całej cukierniczki cukru pudru i pół szklanki gęstego, słonego karmelu polanego zasmażką z oleju. I nie jest to tylko moje odczucie!

– Pyszne – zachwycam się nieszczerze, ale nie biorę dokładki i nie korzystam z gazowanego napoju w wersji lajt.

Żona najwyraźniej trochę już odpoczęła, a może tak ją ożywił widok jedzenia, męża i dzieci, bo zaczyna się krzątać w kuchni, a przy okazji robi kawę, również mnie.

Kawa jest na szczęście naprawdę pyszna, więc piję ją z prawdziwą przyjemnością, chociaż nie jest w filiżance, tylko w kubku z amerykańską

flagą. Nie przeszkadza mi też nieopisany bałagan, połamane szafki ani nawet brud w jadalni; prawie do wszystkiego można się przyzwyczaić. Tylko jedno nie daje mi spokoju: jak to możliwe, że płytki na podłodze w kuchni są tak potłuczone, w niektórych miejscach wręcz zmiażdżone? Co oni tu robili? Uderzali w nie siekierą, młotem? Sprawdzali wytrzymałość? Właściciele mają dom, który był kiedyś atrakcyjny i nowoczesnie urządzone, ale pod wpływem kilkuletniego, nieumiejętnego korzystania z „wytworów cywilizacji” takich jak meble czy różne urządzenia, piękne mieszkanie uległo dewastacji. Ludzie zachowywali się w nim trochę jak słoń w składzie porcelany.

Na tym zamieszaniu, spowodowanym pojawieniem się ojca i jedzeniem śniadania, minęło kolejne pół godziny. Nawet nie zauważyłam, kiedy małżonkowie zdążyli ułożyć się wygodnie obok siebie na kanapie, podczas gdy dzieci dokazują w najlepsze w pokojach obok. Nie wiem, czy chłopcy wiedzą o tym, że tuż nad telewizorem rodziców jest ekran pokazujący nagranie z kamer w ich sypialniach, w każdym razie zachowują się przyzwoicie, tak by zaledwie nie przeszkadzać dorosłym w odpoczynku po śniadaniu.

Nikt się mną nie zajmuje, więc teoretycznie mogłabym jeszcze posiedzieć, ale z nudów wracam do pracy. Wyjmuję z pudeł szkło i myję delikatnie każdy przedmiot, a następnie wycieram tak, by pięknie świecił. Wszystko, co mam do ustawienia, przygotowuję na dużym stole, aby łatwiej wyobrazić sobie kompozycję w witrynie. To, co znalazłam w pudełkach, niestety, nie jest imponujące, więc zawartość kredensu mogłaby rozczarować tych, których uwagę przykuł sam mebel. Zamiast eleganckiego szkła i porcelany, dziesięć kieliszków do wina i tyle samo okazałych szklanek do koktajli. Reszta to było po kilka sztuk różnego rodzaju naczyń lub pojedyncze kieliszki. Uwagę zwracają jeszcze

elegancka karafka, dwa jednakowe świeczniki i niewielkie, drewniane rzeźby słoni. Robię, co mogę, aby górna półka prezentowała się efektownie, lśniła i zachwycała symetrią. Nie chcę psuć tego efektu stawianiem w pobliżu tandetnych szklanek z balonikami i Kaczorem Donaldem, więc niewiele myśląc, bez pytania o zgodę, w środkowej części kredensu umieszczam ładny chiński komplet filiżanek, które nie wiadomo dlaczego, zdobiły dotychczas parapet. To był świetny pomysł. Kredens nabiera charakteru, pięknie lśni w słońcu i zaczyna zwracać uwagę. Została mi do wypełnienia jeszcze jedna półka po tym, jak w najdalszych kątach poupychałam tandetne szklanki i kieliszki. Zerkam na zegarek – do końca jeszcze tylko godzina.

Okazuje się, że przestawianie przedmiotów pochłonęło mnie bez reszty, bo nie tylko przestałam zwracać uwagę na czas, ale też nie zauważyłam, kiedy kobieta zaczęła interesować się tym, co robię. Gdy ją zauważam, obserwuje mnie z dystansu kilku metrów, oparta o kuchenny zlew. Uśmiecha się na znak, że jest zadowolona. Po chwili podchodzi do kredensu i kręci głową jakby z niedowierzaniem, że to ten sam mebel. Woła męża i oboje podziwiają efekt mojej pracy.

Ja też nie dowierzam temu, co się dzieje: nic tego dnia nie robię, od paru godzin się nudzę, a zostałam potraktowana tak, jakbym dokonała wielkiego dzieła.

Brakuje tylko dzieci, które stanęłyby w drzwiach z oczami szeroko otwartymi ze zdumienia – rozmarzyłam się. Może przyjdą, praca jeszcze nieskończona.

Kobieta nie tylko nie złości się na moją samowolę, ale widząc pustą półkę, przynosi z kuchni komplet kolorowych talerzyków i pucharki do lodów.

– Zmieszczą się? – pyta, a właściwie radzi się mnie, jakbym była jakimś fachowcem od ustawiania szkła w witrynach pokojowych kredensów.

– Pokaż, co masz jeszcze w kuchni – proponuję coraz bardziej ośmielona, chociaż wierzyć mi się nie chce, że to się dzieje naprawdę.

– Robimy zamianę – mówię po chwili głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Proszę, by kobieta wyjęła z kuchennej półki naczynia, które będą pasować do witryny bardziej niż lodowe pucharki. Nie spieszę się. Mam dużo czasu na zagospodarowanie dolnej półki, więc robię to bez presji, popijając w międzyczasie kolejną kawę. Kobieta już nie kładzie się w salonie, więcej czasu przebywa w kuchni, ale nie gotuje. Z wyraźnym zainteresowaniem obserwuje moją pracę i najwyraźniej tylko na tym się skupia.

Swoją drogą: ciekawe, co będzie na obiad?

Chłopcy wreszcie się ubrali i też chcą zobaczyć efekt moich starań, ale tym razem rodzice są bardzo stanowczy. Wyraźnie boją się jakiejś katastrofy. Nagle kredens stał się ważnym miejscem w domu. Niczym ołtarz, na który inni patrzą z zachwytem.

Gdy po sześciu godzinach szykuję się do wyjścia, widzę, jak właścicielka niesie coś jeszcze do pokoju, po czym otwiera drzwi kredensu. Nie może się zdecydować, gdzie umieścić przedmiot, by nie popsuć kompozycji, która tak jej się spodobała. Po chwili wahania stawia go z nabożeństwem, niczym relikwię, obok filiżanek i delikatnie zamyka drzwi. Zaintrygowana, podchodzę bliżej. Na środkowej półce, trochę w lewo od środka drzwiczek, tak by było ją widać przez szybę, znalazła się mała ramka ze zdjęciem byłego prezydenta – Baracka Obamy.

11. Dom, w którym rosło drzewo

Żałuję, że nie wiem, jakie to było drzewo: buk, grab, a może coś bardziej amerykańskiego? Nie miałam czasu na to, by mu się długo przyglądać lub choćby zrobić zdjęcie. Zdażyłam tylko zauważyć smukły, gładki, szary pień i niezbyt rozłożystą koronę, ozdobioną sercowatymi liśćmi.

Rosło jak gdyby nigdy nic na środku olbrzymiego holu w bardzo nowoczesnym domu, w starej dzielnicy Chicago, kilkaset metrów od jeziora Michigan. Majętni właściciele posiadłości postanowili mieć kawałek natury tylko dla siebie, co do pewnego stopnia się udało: drzewo było częścią budowli i miało jednocześnie dostęp do naturalnego światła i powietrza. Pień otaczała gruba ściana ze szkła, ale korona mogła cieszyć się swobodą i wolnością, bo wyrastała ponad dach, który przykrywał niski hol. Wielopłaszczyznowość czyniła dom bardzo unikalnym, jednak łatwo było się w nim zgubić. Mijało sporo czasu, zanim ktoś nowo przybyły zaczynał się po nim swobodnie poruszać.

Sprzątaniem tego architektonicznego cudu od dawna zajmowała się Basia, najmłodsza z kobiet pracujących na stałe w serwisie. Uśmiechnięta, pracowita i sumienna spodobała się właścicielom na tyle, że nie chcieli nikogo innego. Za to osoby towarzyszące Basi zmieniały się co chwila, bo atrakcyjna, ciemnoskóra żona amerykańskiego milionera była wymagająca

i do każdej sprzątaczkii miała uwagi, za co te serdecznie jej nienawidziły. Basia jednak niezmiennie powtarzała:

– Mi tam jest u nich dobrze.

To jeszcze bardziej drażniło pozostałe, ambitne panie. Zła opinia o domu szybko się roznosiła i niechęć do właścicieli udzieliła się także mnie, dlatego kiedy samochód pana Zbyszka zatrzymywał się przed znajomą bramą, razem z innymi wstrzymywałam na chwilę oddech. Lecz w końcu przyszała i moja kolej.

Młoda kobieta powitała nas bardzo grzecznie, ale po rutynowych uprzejmościach szybko przeszła do konkretów i zaczęła wydawać instrukcje, dotyczące przebiegu prac:

– Proszę zacząć od holu, potem sala z barkiem, gabinet męża z łazienką...

Wyliczała, w jakiej kolejności mam sprzątać olbrzymie powierzchnie, którą drogę wybrać w labiryncie korytarzy, schodków i zaułków, a na koniec spytała, czy wszystko zapamiętałam. Potwierdziłam, ale po jakimś czasie okazało się, że pomyliłam kolejność, co skrupulatna gospodyni natychmiast zauważyła i od razu przypomniała mi ustalony porządek. Słuchając jej cierpliwego powtarzania zaleceń, w czym nie było śladu irytacji, a jedynie stanowczość, myślałam sobie, że zostałaby dobrą nauczycielką. Z pewnością gdziekolwiek pracowała, dzień porządkowania domu był dla niej na tyle ważny, że zrobiła sobie wolne. Poważne traktowanie domowych obowiązków widać było nawet w jej stroju i uczesaniu: skromnie związane włosy i elegancki dres nie pozostawiały żadnych wątpliwości, co jest dla właścicielki priorytetem tego dnia. Jeśli gospodyni sama robiła jakieś porządki, to w błyskawicznym tempie, bo niczego nie zauważyłam. Wydaje mi się, że głównym zajęciem pani było nadzorowanie naszej pracy, przy czym najczęściej działało się to dyskretnie,

z zachowaniem dystansu i praktycznym wykorzystaniem możliwości nietypowego domu. Mogła nas wygodnie obserwować z eleganckiej, nowoczesnej kuchni, stojąc na pomoście oddzielającym na piętrze sypialnię rodziców od pokoióv dzieci czy pijąc kawę w eleganckim patio na zewnątrz, skąd widać było gabinet męża. Skwapliwie korzystała ze wszystkich tych możliwości, o czym dowiedziałam się od Basi, a ponadto na bieżąco sprawdzała efekt naszych starań, niemalże depcząc nam po piętach, zaglądnając w każdy kąt, a jeśli znajdowała jakieś uchybienia, natychmiast domagała się poprawek. Ja na przykład nie usunęłam zaschniętego liścia, który znajdował się za kwiatkiem stojącym przy niewielkim oknie tuż nad ziemią. Musiałam przerwać pracę, by naprawić błąd. Pani osobiście mnie przy tym nadzorowała: patrzyła, jak podnoszę wskazany mi palcem liść i wyrzucam go do kosza.

Tymczasem Basia wszystko robiła prawie bez zarzutu. Chciałam być taka jak ona: nie irytowałam się więc z powodu uwagi, tylko wzięłam ją do serca i starałam się, jak mogłam, by nie zostać więcej upomnianą. Zadanie okazało się niemożliwe do zrealizowania, gospodyni bowiem była bardzo wymagająca i oczekiwała od nas wielkiej dokładności. Co nie okazało się proste – powierzchnia mieszkalna zajmowała kilkaset metrów, które pokonywałyśmy w szaleńczym tempie. Gdybyśmy były w tym domu gośćmi, poszłybyśmy, na przykład, prosto z holu do sali bilardowej z imponującym barem i miejscem, gdzie mogłybyśmy swobodnie ćwiczyć rzuty do kosza z krótkim rozbiegiem! Ale przyszłyśmy tu pracować i ta jedna sala, przypominająca wielkością polskie M3, musiała być posprzątana w ciągu pół godziny, w przeciwnym razie ucierpiałyby inne pomieszczenia. Na dodatek byłyśmy nieustannie kontrolowane i na bieżąco prośzone o poprawki. Gospodyni szukała uchybień chyba po to, by nam je wytknąć z miną: „jeden-zero dla mnie!”.

– Jak ty możesz tu wytrzymać? – zapytałam Basię, gdy na chwilę zostałyśmy same.

– Przyzwyczaiałam się. Tu wcale nie jest tak źle. Trzeba pracować, ale zawsze na koniec dostajemy napiwki, jeśli się postaramy. Sama zobaczysz.

– Czy jest tu przewidziany czas na lunch? – zapytałam, czując, że długo nie wytrzymam pracy w takim tempie.

– Zrobimy sobie lunch, ale jeszcze nie teraz – odpowiedziała Basia i dodała bardzo opiekuńczo: – Możesz sobie chwilę odpocząć, ja dokończę łazienkę.

Ledwie zdążyłam wyjąć butelkę wody mineralnej, a już pojawiła się gospodyni.

– Nigdy nie stawiaj tego na stole bilardowym. – Mówiąc, strzepnęła z nabożeństwem niewidzialny pyłek, który pozostał z mojej plastikowej butelki na zapewne drogim drewnie. Następnie poczekała, aż posłusznie zabiorę niepotrzebny śmieć z eleganckiego mebla i bez słowa się oddaliła. Nie miałam ochoty stawiać butelki na podłodze, a że odechciało mi się już pić, schowałam ją z powrotem do torebki.

Przez cztery godziny pracy dostałam dwie uwagi. Nie lepiej było na samej górze, gdzie znajdowały się sypialnie i łazienki. Najpierw zepsuł się odkurzacz, ale pani domu zareagowała błyskawicznie i dokonała naprawy niczym najlepszy serwisant. Trzeba przyznać, że zadbała o wszystkie akcesoria, by jej dom lśnił tak, jak chciała. Miała różne szczotki, gąbeczki, szmatki, płyny, proszki i pasty. Na przykład do czyszczenia baterii łazienkowych przeznaczyła specjalne malutkie szczoteczki, dzięki którym można było precyzyjnie pozbyć się brudu. Zademonstrowała nawet, jak należy to robić. Sypialnia dorosłych urządzona została w całości w bieli i miała dwie bliźniacze śnieżnobiałe łazienki, które sprzątałyśmy z Basią równocześnie. Pomimo rzeczowych i z pewnością pomocnych uwag

koleżanki, znowu nie wykonałam pracy idealnie. Najpierw musiałam ponownie umyć szklane ściany prysznic, w którym mógłby się wykąpać słoń. Dwukrotnie pucowałam też korek i sitko w umywalce. Na szczęście poprawki zostały przyjęte, a nawet nagrodzone słowami wypowiedzianymi z uznaniem:

– Dużo lepiej.

Znów mówiła jak nauczycielka.

Drzwi łazienek prowadziły prosto na siłownię, którą ulokowano na zmyślnie zagospodarowanym poddaszu. To jedyne miejsce, w którym czułyśmy się nieskrępowane. Byłam tak zmęczona, że nie miałam już ochoty na jedzenie, ale z przyjemnością wypiałam cały zapas wody. Tam dotrwałyśmy do końca, pracując w tempie, którego już nikt nie kontrolował.

Stałyśmy gotowe do wyjścia, kiedy gospodyni przysłała odprężona i roześmiana jak na początku. Jakby nigdy nic dziękowała za dobrą pracę i dodatkowo wręczyła każdej po dwadzieścia dolarów. Basia spontanicznie i radośnie wyczuła dobrodziejkę, a ja wybąkałam tylko „dziękuję”. Wychodziłam z nadzieją, że nigdy nie wrócę do domu z drzewem. Niestety, rok później znalazłam się tam ponownie.

Do tego czasu trochę się zmieniło. Co prawda Basia nadal jeździła do „swojej” pracy i ciągle nie przydzielono na stałe drugiej osoby, ale teraz sprzątanie w nowoczesnym domu było niczym wyruszenie na wojnę. Tylko nasza szefowa знаła odpowiedź na pytanie, dlaczego serwis współpracuje jeszcze z właścicielami rezydencji po grudniowej awanturze. Kobiety nie kryły oburzenia, gdy pewnego feralnego dnia przed świętami Bożego Narodzenia jeden z niebezpiecznych płynów wylał się na dywan w sypialni i gospodyni zażądała zwrotu pieniędzy od sprzątaczek. Obie musiałyby pracować na ten dywan kilka dni, więc solidarnie złożyły się wszystkie

koleżanki. Od tego czasu nikt nie chciał tam chodzić. Tylko Basia, bohaterka afery, która przez roztargnienie zostawiła niezakreconą butelkę na podłodze, już nie czuła urazy. Nadal pracuje w tym domu jak gdyby nigdy nic, chociaż po tym incydencie właścicielka zmniejszyła napiwki o połowę, a wymagania wcale nie zmały.

– A co z dywanem? – spytałam. – Oddała wam, skoro się na niego składałyście?

– A skąd! – usłyszałam oburzone głosy. Pieniądze wzięła, a dywan dalej leży, tylko płamę zasłoniła nocnym stolikiem.

Tego dnia, gdy ponownie jechałam do domu z drzewem, nie było we mnie entuzjazmu, i rzeczywiście: wyglądało to tak jak przed rokiem. Pani również pozostała młoda i elegancka. Nie obyło się bez drobnych uwag i poprawek – lekcji pokory, pracowitości i siły charakteru, której „nauczycielka” udzieliła nam przy okazji i za darmo. Zabrakło tylko klasy.

Kiedy po zakończonej pracy chciałyśmy napić się wody, wzięłam dwie butelki z lodówki właścicieli, bo tak robiłyśmy też w innych domach. Kobieta zareagowała natychmiast: wyjęła mi je z ręki i zabrała swoją własność, mówiąc, że to woda gazowana. Nie pomogło tłumaczenie, że taką właśnie lubię. Zamiast wody ze szklanych butelek otrzymałyśmy inną, w plastikowych kubkach.

– Nie próbuj tego pić – usłyszałam od Basi. – To zwykła woda z kranu. Wychodząc, pełne kubki zostawiłyśmy na okiennym parapecie.

W tym domu od początku podziwiałam tylko drzewo...

12. Dziecięcy pokój

Pokój robi wrażenie: ma wymiary pięć na sześć metrów, a może jeszcze więcej? Oprócz tego dziewczynka dysponuje własną garderobą i łazienką. Na wprost drzwi zobaczyłam okno, w dużej części zasłonięte przez olbrzymi, plastikowy pałac dla księżniczki. Po lewej stronie, przy wejściu do garderoby stoi bardzo duże łóżko, takie samo jak w sypialni rodziców. Zasługuje na podziw nie mniej niż pałac.

Pokój jest pomalowany na różowo. Znajdują się w nim jasne meble z czerwono-złotymi dodatkami, a podłogę zasłania mięciutki dywan. Całość jest apetyczna niczym lody waniliowe z truskawkami i malinami polane białą czekoladą.

Ten widok uspokaja mnie po incydencie, który wydarzył się przed chwilą. Popsułam odkurzacz, należący do właścicieli serwisu, i jest mi z tego powodu bardzo przykro. Stasia, z którą dzielimy obowiązki tego dnia, co prawda się ucieszyła:

– Nareszcie pani Basia będzie musiała kupić nowy i dostaniemy porządny sprzęt. Wszystkie odkurzacze nadają się do wymiany, a ten to wyjątkowy grat, i do tego jaki ciężki!

To był rzeczywiście najcięższy i najstarszy odkurzacz, jakim dysponowała firma. Ale dotychczas działał niezawodnie i pech chciał, że musiał się popsuć akurat w moich rękach.

– Musimy poczekać, aż szefowa przyjedzie nas wspomóc – oznajmiła moja koleżanka po tym, jak zadzwoniła do właścicielki serwisu z informacją o awarii.

– Swoją drogą, czy to normalne, że w tak olbrzymim domu nie ma nawet szczotki do zmiatania?

– A jak często tu przyjeżdżacie?

– Co tydzień, czasem częściej, gdy trzeba zrobić coś dodatkowo przed świętami albo wielką imprezą.

– Czyli pięć dni w tygodniu jest brudno.

– Co najmniej sześć. Czasem domownicy zdążą nabrudzić, zanim skończymy sprzątać!

Siedzimy na eleganckich schodach i patrzymy z góry na przestronny hol. Na ścianach wiszą zdjęcia: para bardzo młodych ludzi i dziecko. Artystyczne portrety i sesje w plenerze niczym pokaz mody z pięknymi ludźmi w rolach głównych. Wyglądają na szczęśliwych.

– To właściciele tego olbrzymiego domu?

– Tak. Bardzo młodzi ludzie. I sympatyczni, jak na tych zdjęciach.

Mamy chwilę na podziwianie domowej galerii.

Gdy pani Basia przyjeżdża z nowszym odkurzaczem na zmianę, przy okazji sprawdza, jak sobie radzimy. W sypialni, gdzie doszło do katastrofy, ogląda dywan:

– Włos jest rzeczywiście bardzo długi, przydałby się bardziej profesjonalny sprzęt, ale poradzimy sobie z tym, co mamy.

Pokazuje mi, jak przy użyciu sprytu wykorzystać przeciętny odkurzacz, by odświeżyć nietypowy dywan. Widać, że zna się na tej pracy.

– Zobacz, czy dasz radę – upewnia się jeszcze na koniec, zanim odjedzie. – W razie czego Stasia ci pomoże.

Porządki w sypialni kończę już bez przygód. Nie usłyszałam połajanek, ale czuję się nieswojo. Stasia też nagle zamilkła, więc zagaduję do niej pierwsza:

– Za chwilę przejdę do pokoju dziecka, a tam dywan jest równie puszysty.

– Służę pomocą, mam wprawę – odpowiada wesoło, ale już nie kryje, że jest zawiedziona: – Pani Basia ani myśli kupować nowego sprzętu. Słyszałaś? Chce go jeszcze naprawiać! Chociaż dymiło się i był huk, gdy przestał działać.

– Może nie uda się naprawić – pocieszam ją, choć sama nie wiem, co dla mnie lepsze.

W pokoju dziewczynki czuję się tak, jakbym trafiła do jakiejś bajki, i zapominam o tym, co zdarzyło się wcześniej. Zaczynam porządki od łóżka. Sprawdzam, czy różowe prześcieradło idealnie przylega do materaca. Poprawiam fałdki, na wielobarwną pościel kładę patchworkową narzutę. Na górze, przy wysokim, tapicerowanym oparciu, układam poduszki: najpierw duże, w masywnych czerwonych powłóczkach. Potem bardziej wzorzyste i coraz mniejsze. Między nimi zupełnie małe: serduszka, słoneczka i księżyce. Z przyjemnością biorę do ręki każdą maskotkę; wszystkie są mięciutkie, wyglądają jak nowe i ładnie pachną. Po drugiej stronie, naprzeciw zagłówek, rozkładam puchate koce. Cały ich stos tworzy przyjemną kompozycję na skrzyni, która stoi z przodu. To jednocześnie duży pojemnik na maskotki; na szczęście nie wszystkie się w niej mieszczą, więc najładniejsze zostawiam przy wezglowiu. Może dziewczynka zechce je przytulić, gdy będzie zasypiała?

Gdy porządkuję zabawki, co chwilę zerkam na łóżko, zadowolona ze swojej pracy. Stasia zagląda przez uchylone drzwi i uśmiecha się do mnie.

– To ulubiony pokój wszystkich, które tu sprzątają!

– Nie dziwię się.

Teraz przedmioty, porozrzucane na dużej przestrzeni, zanoszę do plastikowego pałacu. W środku są umeblowane pokoje, plastikowe sprzęty kuchenne, nawet doniczki z kwiatami i firanki w oknach. Jest tyle miejsca, że starczy dla wszystkich postaci z bajek: przy kuchennym stole, na podłodze, pod łóżkiem lub na małych fotelikach! Co chwilę jeszcze coś poprawiam, przekładam, zamieniam i sprawdzam, bo tak przyjemnie jest być w środku. W końcu wykorzystuję zwozdzony most, by wrócić z baśniowej krainy do rzeczywistości. Za dużo czasu zajęły mi porządki w plastikowym wnętrzu. Nie mam wątpliwości, że zrobiłam je nadprogramowo i teraz muszę bardzo się spieszyć. Dotychczas zaniedbywałam tę część dziecięcego salonu, w której stoi biurko i wiszą półki przy ścianie, więc udaję się w tamtym kierunku.

Nagle serce zamiera mi ze strachu: pod stołem rusza się jakieś zwierzę! Zbliżyłam się jeszcze bardziej i widzę w klatce królika: autentyczna, żywa trusia! Króliczek siedzi na prawdziwej słomie, która jest czysta i sucha. Ma do dyspozycji pojemnik z wodą, suszone liście i parę cienkich gałązek. Wygląda na zadowolonego, a na dodatek – w odróżnieniu ode mnie – wcale nie jest zdziwiony ani przestraszony. Klatkę schowano dyskretnie pod stołem i częściowo zakryto kocem, dlatego tak późno ją zauważyłam.

Dopiero gdy nachyliłam się nad zwierzątkiem, czuję charakterystyczny zapach, który nie roznosi się po pokoju dzięki klimatyzacji. Królik najwyraźniej nie wie, co to świeże powietrze, choć mieszka tu niczym król!

Idę do Stasi.

– Wiedziałaś, że w pokoju dziecka jest królik?

– Tak, już od dawna – mówi jakby nigdy nic i dodaje: – Te kolorowe draże na stoliku nocnym dziewczynki to specjalne słodycze dla niego. Mam nadzieję, że ich nie próbowałaś?

– Próbowałam, ale były niedobre. Chyba je też normalną marchewkę?

– Tak, ma tu wszystko, czego zapagnie. – Stasia najwyraźniej nie widzi nic nadzwyczajnego w tym, że w pokoju z zabawkami mieszka żywy królik. – Nie masz innych problemów? – śmieje się. – Zajmowanie się zwierzątkiem nie należy do naszych obowiązków. Kończysz już?

To dla mnie znak, że powinnam się pospieszyć, bo mija czas, który przeznaczyłyśmy na sprzątanie piętra. Zanim wyczyszczę dywan w pokoju, ostrożnie testuję odkurzacz w garderobie. Działa bez zarzutu. Teraz żałuję, że nie mogę delektować się oglądaniem ubrań małej księżniczki, ale czas nagli.

Nie trzeba było tyle siedzieć w pałacu. Pretensję mogę mieć tylko do siebie. Biegnę do łazienki: też ma kolor jasnoróżowy. Plastikowy stołeczek przy umywalce wskazuje na to, że dziewczynka jest jeszcze mała i musi się wspiąć, by umyć zęby. Ma do dyspozycji elektryczną szczoteczkę, której kolor wcale mnie nie dziwi. Koło niewielkiej wanny i dziecięcej toaletki także zgromadzono zabawki. Nie muszę się bardzo wysilać, wystarcza kilka poprawek i jest czysto. Na koniec odkurzam olbrzymi jasny dywan. Pokój jest śliczny. Dla większego efektu włączam światło. Sufit wygląda teraz jak niebo, na którym z różnym natężeniem świecą gwiazdy. Jest również księżyc przypominający chrupiący rogalik. Gdybym tylko mogła w nagrodę położyć się na chwilę na dywanie... Z żalem opuszczam to małe królestwo, bo muszę powrócić do bardziej prozaicznych obowiązków. Razem ze Stasią schodzimy na dół, gdzie zamieniam się w Kopciuszka i natychmiast zapominam o bajkowej komnacie.

Przez najbliższe godziny nie dzieje się nic niezwykłego, aż do południa, kiedy mam okazję zobaczyć mężczyznę i jego córkę-księżniczkę z pokoju na górze. Wracają do domu z zakupami z Macy's. On wygląda jeszcze młodziej niż na zdjęciach. W czapce z daszkiem i z kubkiem coli

przypomina chłopca, który przyszedł ze szkoły. Jednak to widok dziewczynki robi na mnie większe wrażenie. Dziecko ubrane jest... w piżamę i jasną kurteczkę, na którą niesfornie opadają splątane włosy. Na nogach ma domowe pantofle. Piżama, owszem, śliczna: jasnoróżowa, ze śpiącym misiem, księżycem, gwiazdami i napisem *hello morning*.

13. Kontraktorka

– Nie wiesz, co to jest kontraktorka? – Jasia jest zdziwiona, że już tyle razy robiłam porządki w Ameryce i nie pracowałam „na kontraktorze”.

Pytanie zabrzmiało tak, jakby dotychczas omijało mnie coś niezwykłego, więc rozmarzyłam się, ale tylko na chwilę, bo koleżanka spieszy z wyjaśnieniem:

– To nic ciekawego, poza tym, że harujesz jak na budowie! Kontraktorka to praca w domach, które właściciele planują sprzedać. Ponieważ każdy chce jak najwięcej zarobić, zatrudnia sztab specjalistów, którzy budynek remontują, odnawiają (również na zewnątrz), a na końcu pucują tak, by lśnił. My jesteśmy od pucowania – dodaje jeszcze na wszelki wypadek. – Usłyszałam wczoraj, że obie jedziemy na południe Chicago, tam jest ten dom na sprzedaż, którym mamy się zająć.

– Fajnie, że będziemy razem. – Ucieszyłam się.

Miło nam się siedzi i rozmawia, to znaczy ja głównie słucham. Tymczasem za oknem niespodziewanie zaczęło kropić, a teraz pada coraz intensywniej. Kiedy przed siódmą Jacek podrzucił mnie do Jasi, świeciło słońce i zapowiadał się piękny dzień. Nie wzięłam parasolki i teraz mam kłopot, bo za chwilę musimy wychodzić do pracy.

– Nic się nie martw, dam ci swoją – słyszę. – Ja mam nieprzemakalną kurtkę, więc parasol mi niepotrzebny.

Gdy wychodzimy z domu, leje już na dobre, a że do przystanku pozostało jeszcze jakieś trzysta metrów, odwracam się w stronę Jasi z niepokojem.

– Może razem pójdziemy pod parasolką?

– Nie ma mowy. Biegnij! Mam nieprzemakalną kurtkę. – Jasia brzmi kategorycznie, więc posłusznie wykonuję polecenie, zadowolona, że uda mi się niemal nie zmoknąć.

Dopiero w busie okazuje się, że Jasia jest całkowicie przemoczona i dygocze z zimna. Przy jej astmie i skłonności do przeziębień mogłoby się to naprawdę źle skończyć, więc koleżanki pomagają jej się przebrać, któraś nawet pożyczyła swoje ubranie. Czuję się podle: wstydzę się przed kobietami i jestem wściekła na Jasię. Mówię z wyrzutem:

– Dlaczego nie chciałaś parasolki? Okłamałaś mnie, że kurtka jest nieprzemakalna!

– Jest nieprzemakalna, ale widocznie na mniejszy deszcz – słyszę.

Długo jeszcze nie mogę się uspokoić po tym incydencie, ale w końcu muszę to zrobić – przecież mamy razem pracować. Ponadto w czasie podróży znowu wychodzi słońce, a wkrótce po tym podziwiamy na niebie podwójną tęczę! Odzyskujemy humory i znów tryskamy optymizmem; do czasu gdy przychodzi nam wysiadać z busa. Wychodzimy z auta i od razu czujemy słynny chicagowski „hjumit”, upał połączony z dużą wilgotnością powietrza, przez co trudno oddychać. Rozglądamy się wokół: na dużym, ale zaniedbanym placu, odgrodzonym od ulicy siatką, stoją dwa piętrowe domy z cegły. Przy jednym z nich ktoś zostawił duży napis *FOR SALE*, więc nie ma wątpliwości, że to tu.

– Zdaje się, że już tu byłam. – Jasia wygląda, jakby coś sobie intensywnie przypominała, i po krótkiej chwili jest pewna: – Tak! Ten dom,

z którego właśnie wyszła młoda Meksykanka, też był niedawno na sprzedaż.

– I jak widać, został już kupiony.

– Myślę, że drugi budynek też kupią bogaci, młodzi Meksykanie – prorokuje Jasia, gdy wchodzimy do środka.

– Dlaczego tak uważasz?

– Pamiętam rozmowę z właścicielką posesji: to Polka z pochodzenia, ale urodziła się już w Ameryce. Była tu, kiedy ostatnio pracowałam. Bardzo się ucieszyła, że może ze mną porozmawiać po polsku, tak jak ją uczyła mama, dlatego zapamiętałam to spotkanie.

– Ciekawe, gdzie mieszka, skoro sprzedaje takie piękne domy.

– Pewnie jak najdalej stąd, bo jej nie podobała się ta dzielnica. Mówiła, że robi się „meksykańska”, dlatego cała rodzina przeniosła się w inne miejsce. Jej dorośli synowie nie chcą tu mieszkać. To w Ameryce często spotykane.

– Ja też mieszkam koło Meksykanów, gdy tu przyjeżdżam, ale bardzo się z tego cieszę. Zaprzyjaźniłam się nawet z jedną Meksykanką, sąsiadką Jacka.

– Ty to co innego. Nie mieszkasz tu na stałe i nie jesteś bogata. Bogaci mogą się wyprowadzać, gdzie chcą.

– Ale nie mogą mieszkać koło Meksykanów?

– Mogą, ale nie chcą. – Jasia mówi tonem, który wyklucza dalszą dyskusję.

Koleżanka chyba zamierza mnie ponaglić, bo zaczyna się przebierać tuż za drzwiami. Dom jest pusty. Z tego, co zdążyłam się zorientować, weszłyśmy do środka od strony ulicy, ale istnieje też drugie wejście – z tyłu, od garażu. Tuż za głównymi drzwiami spostrzegam klatkę schodową; kilka stopni prowadzi do mieszkania na pierwszym poziomie,

kolejne – na piętro. Schody na dół, do sutereny, oznaczają, że wewnątrz mogą mieszkać równocześnie trzy rodziny. Zauważyłam, że takich budynków było w tej okolicy wiele. Na zewnątrz robią dobre wrażenie, które po wejściu do środka zamienia się w rozczarowanie.

– Wszędzie jest tak samo? – Postanawiam się jeszcze upewnić.

– Z reguły tak, ale są wyjątki. Na przykład ten dom koło naszego jest przedwojenny i dlatego wewnątrz różni się od pozostałych. Kiedyś mieszkali w nim Polacy, rodzice właścicielki.

Powoli zaczynam rozumieć, dlaczego kobiety tak niechętnie jechały „na kontraktorkę”: dom bez ludzi i przedmiotów sprawia ponure wrażenie. Do tego nie działa klimatyzacja, chociaż akurat dziś nie jest to powód do zmartwienia. Przynajmniej Jasia nie przeziębii się po tym, jak rano zmokła – myślę naiwnie.

Zaczynamy sprzątać od samej góry.

– Musimy się pospieszyć, bo za chwilę będzie tam gorąco nie do wytrzymania, a tu nie ma nawet wiatraków – mówi Jasia po godzinie pracy, a ja przyznaję jej rację; przy stu stopniach Farenheita wewnątrz budynku coraz bardziej przypomina piekarnik.

W domu nie było jeszcze ekipy malarskiej; widocznie tym zajmą się nowi właściciele. Tym gorzej dla nas. Trzeba będzie nie tylko umyć okna od wewnątrz i wyczyścić podłogi, ale też odkurzyć ściany. W łazienkach musimy zadbać o to, by glazura i terakota lśniły jak nowe, chociaż zapewne przyszły gospodarz zacznie remont od ich zburzenia.

– To nic. Liczy się pierwsze wrażenie – słyszę. – Kupujący ma poczuć, że to miejsce dla niego. Czyste, schludne, pachnące świeżością.

Brzmi to rozsądnie, dlatego też sprzątam w pocie czoła: najpierw całą górę, a potem wszystkie łazienki. Krótkie przerwy przeznaczamy na ochłodzenie się zimną wodą. Nie musi nas nikt dopingować. Pracując

w szalonym tempie, uciekamy przed paraliżującym upałem, który w domu bez klimatyzacji coraz bardziej daje się nam we znaki. Otwieranie okien tylko pogorszyłyoby sytuację, o czym zdążyłam się już przekonać. Jasia coraz częściej korzysta ze swojego inhalatora, ale widać, że na razie nie planuje przerwy.

– Zarezerwować siły na porządki w kuchni? – W jej głosie brzmi troska, więc bez wahania zapewniam:

– Skoro ty dajesz radę, ja też się nie poddam.

Na parterze została kuchnia z pełnym wyposażeniem: meble zamontowane na wymiar, lodówka, kuchenka gazowa. Wszystko w oplakany stanie. Niewiele mówiąc, zabieramy się do czyszczenia.

– Kiedy skończymy, możemy odpoczywać godzinę, bo na dole zostanie niewiele do zrobienia. – Jasia wie, jak mnie zmobilizować.

Ocieramy pot z czoła, co chwilę zmieniając papierowe ręczniki; chusteczki byłyby zdecydowanie za małe. Po godzinie kuchnia lśni. Gdyby ktoś mnie teraz spytał, czy to dzięki naszym umiejętnościom, czy może bardziej za sprawą amerykańskich, cudownych specyfików, nie upierałabym się przy swoim. Jest mi wszystko jedno, chcę tylko odpoczywać! Długą chwilę jemy swoje zapasy w milczeniu, z powodu braku sił. W czasie pracy nikt nas nie ponaglał i teraz również cieszymy się swobodą. Siedząc przy ogrodowym stole, między domem i garażem, zrobiliśmy sobie godzinę wakacji. Na niskim dachu przysiadł czerwono-pomarańczowy kardynał, który najwidoczniej też zajada lancz, nic sobie nie robiąc z naszej obecności. Nie wiedziałam, że odpoczynek może być tak cudowny...

– Dobrze, że narzuciłaś tempo. – Dopiero teraz mogę to powiedzieć Jasi.

– Mhm – mruczy zadowolona, zajęta oglądaniem figury Matki Boskiej, która stoi na wprost domu, tyłem do garażu.

– Zwróciłaś uwagę, że białe tło, na którym Maryja tak pięknie się prezentuje, zrobione jest ze starej wanny?

– Skąd wiesz?

– Bo widziałam już kilka podobnych. Zresztą, możesz sprawdzić.

Podchodzę bliżej i przyznaję Jasi rację. Efekt robi wrażenie, ale ten, kto postawił figurę w ogrodzie, musiał się sporo natrudzić: Maryja stoi na solidnej podstawie, z przodu osłonięta szklaną szybą, która razem z białą obudową tworzy ładną całość. Profesjonalna robota.

– Wokół rosły kiedyś kwiaty i była fontanna – przypomniała sobie Jasia. – Ta Polka, chyba miała na imię Krysia, mówiła, że jej rodzice byli bardzo religijni.

– Ciekawe, co stanie się z figurą teraz?

Żadna z nas nie zna odpowiedzi, więc znowu siedzimy chwilę w milczeniu. Zmęczenie zaczyna powoli zamieniać się w znużenie, a że czas mija, w końcu wracamy do pracy. W piwnicy możemy ochłonać od upału i powoli dokończyć porządki. Tutaj właściciele zebrali chyba wszystko, z czym trudno było im się rozstać: na kuchennym blacie pozostawiono całą kolekcję zapalek w unikatowych opakowaniach – z jednego uśmiecha się prezydent Kennedy. W kącie stoją dwa worki z ubraniami, jakieś kołdry, poduszki i kolejna figura: głowa Maryi z girlandą kwiatów zamiast aureoli. Z tyłu głowy znajduje się żarówka. Wkładam kabel do kontaktu i sprawdzam – działa.

– Mamy to wyrzucić na śmietnik?

– Sama słyszałaś. Wszystkie przedmioty zostawione na dole trzeba wrzucić do kontenera. Możemy ewentualnie postawić obok, pewnie szybko znajdą się amatorzy.

– Te worki wyglądają, jakby właściciele nie do końca wiedzieli, co z nimi zrobić.

– Ja myślę, że wiedzieli – stwierdza Jasia. – Pewnie zorganizowali wyprzedaż garażową, a że nie wszystko sprzedali i nie zdążyli zrobić kolejnej, musimy to wyrzucić.

Posłusznie wystawiam niepotrzebne przedmioty obok wjazdu do garażu. Kiedy cały dom jest już gotowy na przyjęcie nowych potencjalnych właścicieli, zamykamy za sobą drzwi. Właścicielka się nie pojawiła. Pan Zbyszek czeka przed głównym wejściem, więc w pośpiechu wrzucamy wszystkie śmieci do trzech plastikowych koszy. Na wierzchu znalazły się worki z ubraniami i pościelą. Przez chwilę się waham, co zrobić z rodzinną pamiątką – może położyć na poduszce? W końcu zostawiam figurkę Maryi na plastikowej pokrywie kontenera.

14. Incydent

– Nie trzeba było mówić Hani, że byliśmy w sobotę w pracy – słyszę od Jasi w poniedziałek z samego rana. Nie kryję irytacji:

– Jak to? Przecież nic nie mówiłam, tak jak obiecałam.

Tak naprawdę, nie wiem, po co te babskie tajemnice, ale to już zostawiam dla siebie. W sobotę pracują tylko te kobiety, które chcą sobie dodatkowo dorobić. Nikt nikogo nie zmusza, ale czasem szefowa nalega, bo nie da się ukryć, że sporo na tym zarabia. Skusiłam się na taką pracę ze względu na Jasię, która potrzebowała koleżanki do pomocy. Ona z kolei – pomimo wielokrotnego powtarzania sobie, że to ostatni raz – praktycznie nigdy nie odmówiła pani Basi, kiedy ta potrzebowała dodatkowych rąk do pracy pod koniec tygodnia.

– To dlaczego Hania mówi do mnie: „Byłaś w sobotę w pracy...”. – Jasia nie daje za wygraną.

– Skąd mam wiedzieć?

– Ona cię tak podeszła, a ty się na to nabrałaś i potwierdziłaś – zwraca się do Jasi przysłuchująca się rozmowie Stasia. Wie, co mówi, zna Hanię od lat. Kobieta ma swoje niezawodne metody, by zdobyć nie tylko „zwykłe” informacje, ale nawet pilnie strzeżone sekrety. Wywiad miałby z niej większy pożytek niż serwis pani Basi, bo Hania za porządkami nie przepada.

Teraz już wszystko rozumiem. Jasia nie pierwszy raz mówi o tym, by coś trzymać w tajemnicy, a potem nie wytrzymuje i pierwsza zwierza się wielu osobom na ucho, by „nikt inny” nie słyszał. Ten, kto zdążył polubić Jasię, wie, że nie jest ideałem!

Teraz mnie puszczaają nerwy i zwracam się do koleżanki, nie kryjąc oburzenia:

– No to ładnie! Co sobie teraz Hania o mnie pomyśli? Kiedy zapytała, czy byłaś w pracy w sobotę, powiedziałam, że nie, bo tak ci obiecałam. Teraz wie, że kłamię, i nie będzie mi już wierzyć!

– A co się martwisz – ucina Jasia. – Ja tam bym się nią nie przejmowała. Jest wredna i złośliwa. Sama nie mogła zarabiać w towarzystwie szefowej, to innym zazdrości.

– Przestań już o tym myśleć – wtrąca rzeczowo Stasia. – Przecież nie kradłyście, tylko uczciwie zarabialiście!

Takie mamy problemy w Ameryce. Szkoda wracać do Polski...

15. Pani Profesor

– Ale tu pięknie pachnie – mówię z zachwytem, wchodząc do mieszkania Pani Profesor. Kobieta zamieniła duży dom z ogrodem na komfortowy apartament przed rokiem, po śmierci męża, który tak jak ona był nauczycielem akademickim.

W powietrzu unosi się zapach świeżo obranych pomarańczy.

Niestety, Pani Profesor – najwyraźniej przyzwyczajona do płynnej wymowy – w pierwszej chwili nie zrozumiała mojego angielskiego i już na wstępie robi mi się wstyd. Nie trwa to długo, bo przecież muszę zająć się porządkami: odkurzaniem w salonie, sypialni i gabinecie, czyszczeniem dwóch łazienek i kuchni. W sumie – niewiele pracy. Chciałabym, żeby w moim domu był taki porządek przed sprzątnięciem.

Chyba mam tego dnia szczęście, chociaż dręczą mnie wyrzuty sumienia, że w ogóle wybrałam się do pracy. W ostatniej chwili zrezygnowałam z uczestnictwa w pieszej pielgrzymce do Sanktuarium Matki Bożej Ludźmierskiej „Gaździny Podhala”. Byłabym jedną z kilku tysięcy osób, z czego większość to tradycyjnie ubrani górale, którzy na co dzień ciężko pracują, a mimo to potrafią wykrzesać z siebie siły i raz w roku pokonać około dwustu kilometrów w trzy dni. Za czterdzieści dolarów od osoby zapewniony był nocleg z dostępem do prysznica,

jedzenie, ubezpieczenie i opieka medyczna. Nic, tylko iść, a ja nie poszłam...

Teraz biegam ze ściereczką i odkurzaczem pomiędzy sypialnią i salonem. Dobrze mi tak. Pani Profesor słucha muzyki jazzowej i przegląda jakieś papiery w swoim gabinecie, a ja zaraz włączę odkurzacza, ale staram się odwlec ten moment, robiąc porządki przy wtórze Gershwina. Głośniki umieszczone są nawet w łazience. Jacek dzwoni wyjątkowo przed moim lunchem, jak gdyby czuł, że dziś mogę odebrać w czasie pracy i nikt nie będzie zwracał na to uwagi. Jakby czytał w moich myślach, mówi:

– Mirek, ode mnie z firmy, ten z Włodawy, dzwonił, że idzie z tą pielgrzymką do Indiany i może wziąć od nas intencję. Co o tym myślisz?

– Świetnie, że na to wpadł.

– Będą je czytać w trakcie drogi i wspólnie się modlić. Już napisałem: o pomyślność, zdrowie dla naszej rodziny, tylko chciałem się ciebie poradzić, czy można napisać na początku: „zwracam się z prośbą”.

Zaczynam się śmiać.

– No wiesz, to nie jest podanie do dyrektora. Napisz po prostu: „prosimy”.

Jacek uznał, że mam rację, a ja po raz kolejny pożałowałam, że nie pielgrzymuję, tylko zarabiam pieniądze. Mogliśmy razem z moim bratem i Anią, jego żoną, dołączyć do pątników, choćby na ostatnim etapie, i przemaszerować kilka kilometrów lub pojechać tylko na mszę, jak w ubiegłym roku.

Byłam wówczas pod wrażeniem atmosfery i miejsca, w którym została wygłoszona homilia. Olbrzymi park z dużą liczbą ławek, w cieniu drzew, zapewniających zmęczonym ludziom przyjemny chłód. Ołtarz rozstawiony na tle pięknej kaplicy. Było tam wiele miejsc sprzyjających modlitwie i refleksji, ale też takich do zwiedzania i podziwiania. Po zakończeniu mszy

wzięłam udział we wspólnym biwakowaniu. W miejscu polowego kościoła organizatorzy rozstawili namioty z bogatym menu. W Ameryce je się dużo i pod byle pretekstem, więc czemu nie z okazji zakończenia pielgrzymki? Były również konkursy z nagrodami. Każdy mógł porozmawiać przy grillu z księdzem, który jeszcze przed chwilą, stojąc naprzeciw tłumowi, wygłaszał wzruszające, religijno-patriotyczne kazanie. Wianuszek wielbicieli otaczał młodych artystów z Polski, którzy przyjechali do Ameryki na dwutygodniowe występy i znaleźli się w Masters w Indianie, podziwiani przez swoje bliższe i dalsze rodziny. W czasie mszy Jacek spotkał kilku kolegów z pracy, między innymi Mirka...

No cóż, ale to było przed rokiem. Śmiałam się z innych, że tak łatwo zarazili się w Ameryce miłością do pieniędzy, a sama znalazłam się w podobnym niebezpieczeństwie!

Teraz już muszę włączyć odkurzacz. Pani Profesor chyba przewidziała to w swoim planie dnia, bo widzę, że domową sukienkę zamieniła na elegancki kostium i zdaje się, że idzie do pracy; w każdym razie informuje mnie, że wróci za dwie godziny.

– Czy czegoś potrzebujesz? – pyta uprzejmie.

– Nie, wszystko mam, dziękuję. – Nawet nie wiem, o co mogłabym poprosić.

Elegancka kobieta wychodzi, zostaje po niej tylko długo unoszący się w powietrzu zapach perfum, a ja przenoszę się ze sprzątaniami do jej gabinetu. To bardzo przyjemny, wyjątkowo słoneczny pokój z dużą liczbą książek, gazet, a także płyt (są nawet bardzo stare, z zapisem DVD). Wśród nich stoją liczne zdjęcia z wykładów i akademickich uroczystości, często z profesorem N. w roli głównej. Jego nazwisko widnieje też na kilku książkach i wielu skryptach. Wiem, że oboje pracowali na tej samej uczelni i profesor był naukowcem z dużym dorobkiem. Pamiątki zgromadzone

w pokoju też o tym świadczą. Gabinet jest elegancki i jednocześnie przytulny. Są w nim skórzane meble i solidne biurko, ale też dużo naturalnego światła, które wpada przez olbrzymie okno. Stoją przy nim wysoki, okrągły stolik i dwa skórzane taborety na długich nogach. Na sofie leży złożona piękna narzuta we wzory, a na podłodze równie wzorzysty chodnik, na którym usytuowano miniwieżę ze stertą płyt wokół.

Nagle robi mi się nieswojo, gdy uświadamiam sobie, że w mieszkaniu znajdują się również prochy zmarłego. W czasie drogi do pracy niezbyt pilnie przysłuchiwałam się emocjonalnej dyskusji na temat popularnego w Ameryce zwyczaju przechowywania skremowanych szczątków bliskich osób w domach. Przy okazji zapamiętałam zdanie, które powtarza się tu często, chętnie i przy wielu okazjach: Amerykański obywatel może robić w swoim domu, co chce, bo jest wolny. To słowa pana Zbyszka, który mieszka w Chicago najdłużej, a do tego ma podwójne obywatelstwo. Starsze góralki nie są już tak liberalne w poglądach. Nie zajmowałam stanowiska i nie wiedziałam też, że wkrótce będę mogła doświadczyć emocji związanych z samotnym przebywaniem w domu, w którym są przechowywane prochy zmarłego!

Wchodzę do salonu i rozglądam się niepewnie. Nie ma tu kominka, na którym stałaby marmurowa urna. Jest za to komoda zastawiona pudełkami i szkatułkami, a także kredens z naczyniami. Które miejsce byłoby najbardziej godne? Może w sypialni, obok łóżka? Nie, jeśli już, to w przeszklonej szafie z pamiątkami. Na wierzchu stoi też kilka eleganckich puzderek i trochę drżą mi ręce, gdy ich dotykam. Ale trzeba je przetrzeć.

Przy łóżku podziwiam piękne wspólne zdjęcia – wszystko wskazuje na to, że są pamiątką z wyjazdu w jakieś odludne miejsce nad rzeką. Profesor w śmiesznym kapelusiku, w długich kaloszach i z wędką, a żona nieopodal na kocyku. Na innym trzymają się za ręce i patrzą na wodę. Są też ujęcia

samej natury, a nawet mało romantyczne ryby w plastikowym wiadrze. Czy łagodniej przeżywa się śmierć, mając takie wspomnienia?

Gdy rozmawiam z Jackiem w porze lunchu, nieoczekiwanie proponuję:

– Może zadzwoń do Mirka i poproś, by zmienił początek intencji, tak jak chciałeś. Jak Pan Bóg usłyszy: „zwracamy się z ogromną prośbą”, to może być zaskoczony, ale przynajmniej zwróci uwagę na naszą rodzinę...

On chyba myśli, że mówię poważnie, bo odpowiada:

– Nic z tego. Mirek już wyruszył, a w czasie drogi odbiera wiadomości tylko z domu.

– Słusznie.

– Zresztą jego żona mówi, że on się nie umie modlić, bo chodzi na te pielgrzymki co roku, a po powrocie grzeszy jak zwykle. Pijak i tyle!

– To po co dawałeś mu intencję?

– Bo ja w niego wierzę bardziej niż żona.

– Aha.

Rozmowa z Jackiem uświadamia mi, że niewiele czasu zostało do powrotu Pani Profesor, więc szybko się żegnam, by jeszcze przez chwilę poodkurzać, a po przyjściu właścicielki przenieść się dyskretnie do kuchni i nie hałasować. Nie myślę już o skremowanym ciele profesora, tylko działam i kończę w samą porę. Pani N. bardzo precyzyjnie zaplanowała swój powrót. Zjawia się rozpromieniona i radosna, z bukietem świeżych kwiatów, które od razu ustawia w wazonie na środku stołu. Rozkłada też talerze i sztucce, podśpiewując przy tym – według mnie – bardzo profesjonalnie.

– Śpiewasz jak piosenkarka. – Nie kryję zachwyty, na co ona macha tylko ręką i odpowiada:

– A, tak skrzeczę...

Ciągle niezrażona grzecznym, aczkolwiek obojętnym traktowaniem, staram się sprawnie i dokładnie posprzątać kuchnię. Przez chwilę robię to w nieoczekiwanym towarzystwie pewnego Meksykanina, który zawieszony na grubych linach, myje szyby po drugiej stronie, na zewnątrz budynku. Ma kapelusz z szerokim rondem, który osłania go trochę od słońca, ale upał jest niemiłosierny, więc przy okazji doceniam swoją sytuację: pracuję w klimatyzowanym domu i mam grunt pod nogami. Meksykanin nie może mnie zobaczyć, ale ja widzę go doskonale przez tę chwilę, gdy energicznie przeciera od zewnątrz kuchenną szybę. Nie wygląda na nieszczęśliwego; może on też cieszy się, że ma lepiej od innych?

Kiedy kończę pracę i się żegnam, zupełnie niezmęczona, nagle i nieoczekiwanie dla samej siebie stwierdzam:

– Robiłam, co w mojej mocy.

– I o to w życiu chodzi! – odpowiada Pani Profesor, akcentując dobitnie każde słowo.

16. Krysia

Leżę na łóżku i odpoczywam. Mam za sobą ciężki miesiąc. Na pocieszenie kupiłam wczoraj parę rzeczy, które bez końca oglądam. Wiem, ile pracy mnie kosztowały. Ostatni tydzień był bardzo wyczerpujący, a piątek koszmarny, za sprawą pewnej Krysi. Kiedy okazało się, że będę z nią sprzątać co najmniej osiem godzin, poczułam się trochę nieswojo. Wcześniej już słyszałam, że nikt jej nie lubi, ale nie przyszło mi do głowy, że ten dzień zakończę z wielkim bólem głowy. Teraz przeżywam wszystko jeszcze raz...

Krysia oczywiście od razu ustaliła, co będzie robić, więc ja zabrałam się za to, co zostało. Kiedy w pewnej chwili omyłkowo weszłam do jednego z pomieszczeń „już zajętych”, usłyszałam obcesowe:

– Co, to tu masz zamiar sprzątać?

– A dokąd mam iść? – bąknęłam i grzecznie przeniosłam się we wskazane miejsce. Potem docierały do mnie już tylko same rozkazy, przerywane ironicznymi pytaniami typu:

– Jak to nie wiesz, jak się otwiera pojemnik na brudne pieluchy? Nie wiesz, jak się otwiera drzwi balkonowe? Myślisz, że ja mam czas chodzić za tobą i wszystko ci pokazywać? Mnie nikt tego nie uczył.

Przez długi czas milczałam, zaskoczona, aż wreszcie miałam naprawdę dość.

– Dlaczego nie świecisz światła? Jak można sprzątać w takim mroku?

– Właśnie miałam to zrobić! – Tym razem odpowiedziałam niemal natychmiast. Mój organizm zaczął się jeżyć i przyjął pozycję obronną.

– Ciekawe, że akurat teraz, kiedy zwróciłam ci uwagę – wysyczała szyderczo „koleżanka”.

Kto cię, żmijo, upoważnił do pouczania mnie i zwracania mi uwagi? – pomyślałam, nieoczekiwanie nawet dla samej siebie. Po chwili usłyszałam:

– Umyłaś podłogę?

– Tak, starłam na sucho.

– To zetrzyj na mokro.

– Przecież powiedziałaś, że podłogi czyścimy na sucho!

– To było na górze. Na dole czyścimy na mokro.

W tym momencie już nie kryłam złości.

– Skąd miałam wiedzieć, nie jestem Duchem Świętym! – I jeszcze dodałam: – Przykro mi, że musiałyśmy się tu obie znaleźć, ale trzeba to jakoś znieść do końca dnia.

Żmija nie zareagowała, zupełnie jakby tego nie słyszała.

– Wiesz, przyglądam się, jak tu sprzątasz, a ty wielu rzeczy nawet nie dotknęłaś. Nie podoba mi się to.

Następnie Krysia zaczęła wyliczać, co zrobiłam niedokładnie: źle starłam kurze, posłałam łóżko, odkurzyłam dywan, pozamiatałam werandę...

Trochę to nielogiczne, bo parę chwil wcześniej, gdy byliśmy jeszcze na górze, zorientowałam się, że jestem kontrolowana, więc zapytałam:

– I co, wszystko w porządku?

– Ja tam nie sprawdzam – usłyszałam. – Każda odpowiada za siebie.

Krysia teoretycznie wie, że obserwowanie mnie nie należy do jej obowiązków, ale z nudów musiała znaleźć sobie jakieś zajęcie. Domy, w których byliśmy, są jej doskonale znane. Wiedziała, co robi, rezerwując wybrane pomieszczenia, w których czuje się jak na wczasach, podczas gdy po mnie spływał pot. Ponadto nerwowo reagowała na moje próby nawiązania kontaktu z właścicielami, bo chciała udowodnić, że świetnie się „dogaduje” bez znajomości języka. Ponieważ ciągle słyszałam uwagi, po kolejnej z nich spokojnie powiedziałam:

– Ja nie jestem zawodową sprzątaczką, więc mam prawo nie wiedzieć, jak się opróżnia odkurzacz czy niszcarkę do papieru. Szybko się uczę, nie trzeba mi długo tłumaczyć; mogą to potwierdzić inne panie. Poza tym będę tu tylko przez wakacje.

– Jesteś sprzątaczką, bo sprzątasz. Ja tu pracuję od czterech lat, ale nie jestem sprzątaczką; miałam w Polsce inny zawód.

Jakoś nie zrozumiałam logiki, kierującej tą wypowiedzią, ale dalsza dyskusja nie pomogła wyjaśnić tej kwestii. By załagodzić sytuację, wyciągnęłam rękę na zgodę.

Krysia tylko się oburzyła i szybko odeszła, zaskoczona takim obrotem sprawy. Za chwilę jednak wróciła, by wygarnąć mi, jak śmiałam jej powiedzieć to i owo. Na szczęście w końcu podałyśmy sobie dłonie i „pojednane” ruszyliśmy do ostatniego domu. Z satysfakcją pomyślałam, że zakończyliśmy konflikt w cywilizowany sposób.

Na miejscu odetchnęłam z ulgą, bo budynek był dość zadbane, a ja – pracując prawie za dwie – zdążyłam się już solidnie zmęczyć. Krysia spokojnie poinstruowała mnie, co mam robić, i odpowiedziała na wszystkie pytania zadane przeze mnie w celu uniknięcia niepotrzebnych nieporozumień. Musiałam umyć żaluzje we wszystkich pokojach, dokładnie odkurzyć ściany oraz podłogi. („Zobacz, jak ktoś to wcześniej zaniedbał” –

żała się Krysia). Wszystko zrobiłam perfekcyjnie, choć musiałam się zmagać z niewygodnym odkurzaczem. Koleżanka w tym czasie „posprzątała” dwie czyste łazienki i czystą kuchnię, w której siedziała, dosłownie, ponad godzinę. Miała stamtąd dobry widok na to, co ja robię, więc w odpowiednim momencie dorzuciła:

– Zrób jeszcze jadalnię.

Wiedziałam, że to zadanie nie należy do mnie, ale wykonałam polecenie. Próba nawiązania cywilizowanych stosunków z Krysią skończyła się niepowodzeniem. Trudno. Postanowiłam, że więcej nie będę się starać. Zacisnęłam zęby, nie sposób zliczyć który już raz w te wakacje, i spojrzałam z nadzieją na zegarek: jeszcze tylko niecała godzina. Wytrzymam. Zeszliśmy na dół. Tam usłyszałam:

– Zrób schody.

Na dole Krysia umyła małą łazienkę i poszła zająć się pralnią, w której wystarczyło pozamiatać podłogę. Ja miałam posprzątać cztery pokoje, z których jeden wyglądał jak po przejściu huraganu. Sprzątałam bez słowa, ale w duszy czułam, że nie chcę Krysi już znać. Miałam świadomość, że ten podział obowiązków był bezczelną prowokacją. Do samochodu wracaliśmy w milczeniu. W środku siedziały już pozostałe panie, więc od razu ruszyliśmy w stronę naszych domów. Krysia zawsze zajmuje miejsce koło kierowcy i pierwsza wyciąga różaniec, dając tym znak do wspólnej modlitwy, jeśli szef nie ma nic przeciwko temu. Tego dnia kiwnął głową z przyzwoleniem. *Ojciec nasz* w ustach tej kobiety brzmiało jakoś szczególnie fałszywie, dlatego wtórowałam jej cicho i niepewnie. Nie wiem, jaki sens ma modlitwa z Krysią...

Po powrocie do domu zadzwoniłam do szefowej, by powiedzieć, że rezygnuję z pracy.

– Przypuszczałam, że tak będzie – usłyszałam w odpowiedzi. – To znaczy, że się nie dogadacie. Nikt nie chce z nią pracować. Ostatnio nawet dostała w twarz od Hani, a Stasia powiedziała do niej już po pięciu minutach „spierdalaj”, i to poskutkowało. Ona po prostu będzie musiała radzić sobie sama, nie rezygnuj.

Jasia też namawiała mnie gorliwie do pozostania:

– Nie przejmuj się nią, rób swoje. Nie zmienisz jej, więc obchodź ją z daleka.

* * *

Kiedy ostatniego dnia żegnałam się z kobietami, Krysia jakby nigdy nic życzyła mi szczęśliwego lotu, po czym dodała: „do zobaczenia za rok”.

Kilka miesięcy później, gdy rozmawiałam z Jasią przez telefon, usłyszałam:

– Wiesz, że Krysia już u nas nie pracuje? – Brzmiała na bardzo podekscytowaną. – Od jakiegoś czasu czułyśmy, że się na to zanosí. Odeszła, bo poślubiła amerykańskiego wdowca. Stary, ale bogaty. Już nie mieszka koło mnie, przeniosła się do lepszej dzielnicy, na północy Chicago. Teraz może sobie wynająć kogoś do sprzątnia!

17. Policja

Od dzieciństwa podziwiałam amerykańskich policjantów. Wyobrażałam sobie, że są piękni i przystojni, w mundurach i z bronią, w szybkich, niezawodnych samochodach. Na dodatek zawsze łapali bandytów! Wykreowany wizerunek zmienił się po raz pierwszy, gdy byłam świadkiem drobnej policyjnej interwencji na lotnisku Midway w Chicago. Dwaj mundurowi nie używali broni ani samochodu i żaden z nich nie był przystojny. Wyrosli jakby spod ziemi obok pewnego obywatela, który zakłócał spokój pasażerów dzikimi, niepohamowanymi odgłosami. Jeden z funkcjonariuszy, bardzo postawny, zapytał: „Potrzebujesz czegoś, przyjacielu?”.

To niewinne zdanie zostało wypowiedziane w taki sposób, że nie tylko mnie zrobiło się gorąco z wrażenia. Pierwszy raz na własne oczy widziałam, jak czarnoskóry obywatel zbladł i natychmiast się uspokoił. Jego nieuleczalny (jak się mogło wcześniej wydawać) wrzask ustąpił jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i mimo że policjanci zniknęli tak nagle, jak się pojawili, nikogo już nie trzeba było uspokajać.

Jako sprzątaczką miałam okazję chociaż przez chwilę obserwować chicagowskich policjantów w ich prywatnych domach. Wtedy po raz drugi skonfrontowałam wyobrażenia z rzeczywistością.

Najpierw razem z Basią porządkowałam piękną, dużą posiadłość pewnej policjantki.

– Ona jest bajecznie bogata, ale ma bardzo chore dziecko. – Ledwie to usłyszałam, a już mogę zobaczyć na własne oczy. Zarówno mama, jak i kilkunastoletni chłopiec uśmiechają się promiennie. On jest wyraźnie onieśmielony naszym widokiem, ale macha nam ręką na powitanie i pożegnanie zarazem. Siedzi na wózku inwalidzkim, mama zabiera go na badania do szpitala.

– On tak od urodzenia, przyzwyczał się – uświadamia mnie znowu Basia.

Chłopiec ma w tym domu idealne warunki do życia: przestronne i wygodne pomieszczenia, dużą windę i pokój do rehabilitacji, nawet salę kinową z rzędami wygodnych foteli i maszyną do popcornu w minibarze. Jego mama wydaje się szczęśliwa jak mało kto, ale w policyjnym mundurze wygląda na sztucznie przebraną. Ze swoim szczerym, naturalnym uśmiechem mogłaby prowadzić programy telewizyjne albo reklamować pastę do zębów. Albo pracować z dziećmi. Sprawia wrażenie osoby wyjątkowo łagodnej. Jest też uprzejma, gdy objaśnia nam, jakie ma życzenia dotyczące porządków.

W luksusowym domu instynktownie rozglądam się za tym, co nietypowe. Znalazłam! Godna uwagi wydaje się suterena. Olbrzymia powierzchnia jest nieużywana. Tu wszystko wygląda jak nowe: czyste ściany, jakby dopiero pomalowane, jasny dywan na całej podłodze, nowa łazienka, kominek, a przy nim wygodne kanapy. Meble i dywan zobaczyłam dopiero po dłuższej chwili, gdyż na całym obszarze (w niektórych miejscach do samego sufitu), znajdują się sterty nowych, nierozpakowanych rzeczy. Już od progu zwróciłam uwagę na kilkadziesiąt drobnych upominków w postaci kubków świątecznych, walentynkowych

i na wiele innych okazji. W każdym z nich są jakieś słodczyce w efektownej oprawie, a wszystko to owinięte szeleszczącym celofanem i związane kolorową wstążką. Opakowanie prezentuje się nie mniej okazale niż zawartość. Podziwiam też zestawy bogatsze: z alkoholem, kawą i słodczymi. W dużych koszykach albo drewnianych skrzyneczkach. Gotowe do podarowania, a może podarowane? Cały dół wygląda jak hurtownia prezentów na różne okazje. Znajdują się tu także niezliczone ilości dziecięcych zabawek. Część pomieszczenia została wydzielona na jednorazowe opakowania oraz akcesoria urodzinowe. Wystarczyłoby ich na dwa polskie wesela! – kręcę głową z niedowierzaniem. No, może bardziej amerykańskie, bo wśród plastikowych talerzy, sztućców, kieliszków, balonów i świecących napisów są również sztuczne torty...

Ostrożnie krzątamy się z Basią w tej powodzi różności. Niektóre rzeczy bierzemy do ręki z głośnym zachwytem, a czasem ze zdziwieniem, i co chwila przywołujemy się nawzajem, by coś wspólnie podziwiać lub krytykować. Przy okazji odkurzamy te przedmioty, ściany i całą przestrzeń między nimi. Układanie i porządkowanie nie ma żadnego sensu, ale w pewnej chwili machinalnie zabieram z podłogi komplet dla dwulatka i kładę go na kanapie, obok tekturowego pudła z nowymi ubraniami. Umieściłam to cudeńko w zasięgu wzroku z nadzieją, że okaże się przydatne. W innym kącie widzę bujany fotel, a na nim kilka zafoliowanych krzesel. Na podłodze leżą zwinięte dywany, kilka różnej wielkości materaców, obrazy w krzykliwych ramach... Rzeczy, rzeczy, rzeczy. Pod oknem kolejna sterta drobnych prezencików opatrzonych kolorowymi karteczkami z gotowymi życzeniami, tak że wystarczyłoby tylko dopisać swoje imię.

– Jeszcze rok–dwa takiego kolekcjonowania i trzeba będzie kupić dom z większą piwnicą. – Nie kryję irytacji.

– Widziałam już wiele podobnych – odpowiada Basia ze spokojem.

Pracę kończymy zgodnie z planem. Tuż przed naszym odjazdem właścicielka pojawia się na chwilę, by sprawdzić, jak nam poszło. Na koniec udaje się do sutereny, skąd wraca z dwoma okazałymi kubkami. Dziękując za pracę, wręcza nam upominki, a potem przytula się i ściska, całując każdą z nas jak najlepsze przyjaciółki. Jest naprawdę miło.

Uff, i w piwnicy trochę się rozluźniło. Niewiele, ale zawsze coś!

Kiedy wydawało mi się, że w Ameryce nic mnie już nie zaskoczy, przyszedł pracować do pewnego starszego policjanta. Comiesięczne porządki w jego mieszkaniu zawsze muszą odbywać się w czasie, gdy właściciel przebywa w domu. A wszystko ze względu na kota o wdzięcznym imieniu Winnie.

Dom jest stary i wyjątkowo dużo przestrzeni zajmuje w nim miejsce dla czworonogów. Można powiedzieć, że ludzie sprawiedliwie podzielili się przestrzenią ze zwierzętami. W każdym kącie są legowiska i kuwety, pudełka i miski, domki z toaletą i kilka oryginalnych drabinek. Oprócz tego zabawki i cała spiżarka z kocim menu. Dopiero w czasie sprzątanego zorientowałam się, że kot jest jeden, a ludzi dwoje: policjant, na razie nieobecny, i jego żona. Kobieta wygląda na około czterdzieści pięć lat. Właśnie wybiera się do pracy, ale najwyraźniej czeka z wyjściem na powrót męża.

Kot nie zrobił na mnie wrażenia. Ja na nim też raczej nie. Obserwuje mnie leniwie, kiedy krzątam się w salonie, i nawet nie drgnął, gdy wielokrotnie przechodziłam tuż obok niego. W czasie mojego pobytu nie korzysta z ani jednej ze swoich atrakcji. Nie leży na żadnym z legowisk, nie wspina się po drabinkach, nie bawi się kolorowymi szpulami nici ani innymi zabawkami, tylko spokojnie wyleguje się w fotelu. Sprzątamy

z koleżanką w ciszy, czekając na powrót policjanta, który, jak poinformowała nas jego żona, zawsze zajmuje się kotem w czasie intensywnych porządków. Ponoć zwierzę boi się wszelkich elektrycznych dźwięków.

Kiedy właściciel czworonoga pojawia się w domu, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jego pupil łądząco przypomina pana! Mają tak samo przymrużone oczy, leniwe spojrzenia, wykonują majestatyczne ruchy głową. Nie widziałam tego policjanta w mundurze i nie wiem, czym się zajmował na służbie. Bardzo żałuję, że nie odkryłam tej tajemnicy. Zapewne jego domowy wizerunek różni się od wersji służbowej jak dzień od nocy!

Policjant z żoną minęli się tylko w drzwiach, bo ich plan dnia został ułożony tak, by kot jak najkrócej przebywał sam. Mężczyzna szybko się przebrał i wziął prysznic.

Upłynęło zaledwie piętnaście minut od jego powrotu do domu, gdy wszedł do salonu, w którym czeka na niego Winnie. Widzę, jak pan bierze na ręce kota i serdecznie się z nim wita. Potem coś mu czule szepcze do ucha. Delikatnie gładzi błyszczącą sierść. Drapie i przekomarza się. Mężczyzna jest nad wyraz łagodny i emanuje spokojem. Bawi się z kotem jak z dzieckiem. Zajęta pracą, tracę ich z oczu, by po chwili obserwować, jak policjant nieśpiesznie chodzi po domu w kapciach i dresie, trzymając na rękach kota niczym niemowlaka. Podchodzi do okna i komentuje widok, który ma przed sobą. Kot mruczy w odpowiedzi i wodzi wzrokiem za palcem wskazującym ukochanego pana. Nawet gdy mężczyzna rozmawia przez telefon, kot nie przestaje mu towarzyszyć: podsłuchuje przytulony do słuchawki. W końcu pan delikatnie kołysze Winnie'ego, by go uspokoić, gdy ja w pokoju obok odkurzam najcichszym z możliwych, praktycznie niesłyszalnym odkurzaczem.

Po radości ze spotkania jest czas na delektowanie się herbatą i przeglądanie gazet. Kot, jakby to rozumiał, siedzi spokojnie obok i wydaje się, że patrzy z wyrozumiałością. W pewnej chwili mam nawet wrażenie, że właściciel drzemie... Zwierzę zapewne zna ten rytuał i wie, że jego cierpliwość zostanie niebawem wynagrodzona.

Co chwilę zerkam w stronę policjanta z niedowierzaniem. Wiem, jaki zawód wykonuje, ale trudno mi w to uwierzyć, gdy patrzę na łysiejącego pana z wyraźnym brzuszkiem, drzemiącego spokojnie w swej twierdzy z ukochanym czworonożnym przyjacielem.

W czasie, gdy my zajmujemy się porządkowaniem domu, mężczyzna spędza trzy godziny w towarzystwie kota. Czas płynie wolno, leniwie. Nam też udziela się ten spokój i dobry humor nas nie opuszcza pomimo fizycznego zmęczenia. Gdy kończymy pracę, obaj – pupil i jego pan – sprawiają wrażenie zrelaksowanych i szczęśliwych.

Dowiedziałam się później, że intrygujący mnie policjant przez lata zajmował się nieletnimi przestępcami, których ścigał za rozboje, kradzieże i nielegalny handel. Podobno miał też problemy z własnym synem, dealerem twardych narkotyków, który na dodatek sam korzystał z ich „magicznej mocy”. Po wielu awanturach syn musiał ponoć opuścić dom. Minęły dwa lata, w czasie których nikt go w okolicy nie widział. Mówiono, że trafił do więzienia. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy z mieszkania zniknął chłopak, pojawił się kot: olbrzymi mainkun z ciemnobrązową sierścią i dumnie sterczącymi uszami.

Czy to wszystko zdarzyło się naprawdę? Nawet jeśli nie, jedno jest pewne: zakończenie historii było pomyślne. I prawdziwe!

18. Pewna Czeszka

Do Czeszki miałyśmy iść we trzy, ale Jasia się zbuntowała i powiedziała, że z Hanią pracować nie będzie. A wszystko przez kury!

– Kury? W Chicago? – upewniłam się jeszcze, czy się nie przesłyszałam.

– Tak – powiedziała ze złością Jasia. – Hanka opowiada wszystkim, że teraz, kiedy znalazłam nową stancję, mieszkam razem z kurami! Specjalnie, żeby zrobić mi na złość, rozsiewa plotki, i to nie pierwszy raz. Gdzie ja, a gdzie kury!?! – kipiła z oburzenia Jasia, ale nie miałam czasu jej słuchać, bo trzeba było wysiadać.

– Cwaniara – podsumowuje Hania, gdy zmierzamy długą aleją w stronę okazałego domu. – Udało jej się znaleźć pretekst, żeby nie iść do pracy w tym pałacu. Nikt nie lubi Czeszki, ja też.

Nie mam możliwości, by o cokolwiek zapytać, bo niemal w tym samym momencie widzimy korpulentną, wystrojoną jak choinka kobietę, która żywo gestykułując, tłumaczy coś po czesku dwóm mężczyznom, najwyraźniej swoim mniej zamożnym rodakom w roboczych ubraniach. Chyba są pracownikami firmy, która organizuje garden party, bo rozstawili już w ogrodzie dwa namioty i zamierzają je teraz urządzać.

Kobieta na nasz widok, jak gdyby nigdy nic, przerywa konwersację, odwraca się plecami do robotników i wita nas po angielsku:

– No, wreszcie jesteście! Spóźniłyście się, a ja już dawno powinnam wyjechać z domu!

Nic nie wiemy o spóźnieniu, ale na wszelki wypadek mówię grzecznie „przepraszam”. Hania ma niewyraźną minę, ale gdy przebieramy się w łazience, na chwilę znowu się ożywia:

– To złośliwe i skąpe babsko. Czeszka, która wyszła za mąż za Amerykanina i nagle złapała Pana Boga za nogi. Nie wiem, co robiła wcześniej, ale teraz jest wielką panią i daje nam to odczuć na każdym kroku. Widziałaś, jak się ubrała na zakupy? Jakby już szła na przyjęcie.

Widziałam. Kobieta miała na sobie bardzo prześwitującą, zwiewną sukienkę z olbrzymim dekoltem, a do tego dużo złota w postaci pierścionków, bransoletek, kolczyków i łańcuszków. Również na nodze. Uwagę zwracały też błyszczące szpilki. W ogrodzie!

Czeszka pospiesznie wylicza, czym mamy się zająć podczas jej nieobecności, wyraźnie ignorując Hanię. Następnie krzyczy coś w kierunku zamkniętych drzwi na górze i nie czekając na odpowiedź, pospiesznie udaje się do garażu, by za chwilę wyjechać stamtąd okazałym, srebrnym audi.

– No, no... ostatnio jeździła odkrytym, czerwonym mustangiem. Może ktoś jej wreszcie powiedział, że jest za stara na takie ekstrawagancje?

– Chyba przesadzasz. Całkiem niedawno widziałam kobietę prawie stuletnią, jak parkowała samochód przed Kohl'sem. Kolor auta też raził w oczy, ale nikogo to specjalnie nie dziwiło. W Ameryce wszyscy są zmotoryzowani.

Hania postanowiła to przemilczeć. Ona nie ma prawa jazdy.

Zajmujemy się sprzątaniami domu, który wygląda jak pałac księżniczki: z dwoma wieżami, tarasem, balkonami i pięknym ogrodem, w którym cały czas trwają przygotowania do przyjęcia. Wewnątrz też jest jak w bajce: marmurowe łazienki, kosztowne żyrandole, wysokie sufity, okazałe schody.

Księżniczka dokładnie oznaczyła swój teren; brudną bieliznę porzuciła nie tylko w sypialni i łazience, ale też na schodach i w kuchni. Perfumy, kapelusze i torebki znajdują się prawie we wszystkich pokojach, nawet na kuchennym blacie leżą damskie drobiazgi i kosmetyki. W całym domu unosi się natarczywy zapach bogatej kobiety.

– Wszystko rzuca niedbale, gdzie popadnie. Nie znajdziesz tu tylko pieniędzy, a przecież u prawdziwych Amerykanów centy trzeba zbierać z podłogi jak śmieci – cedzi Hania.

Nie jestem pewna, czy prawdziwego Amerykanina rzeczywiście rozpoznaje się po rozrzuconych niedbale drobnostkach, ale faktycznie: takie widoki nie należały do rzadkich.

Tylko jedno pomieszczenie wyróżnia się spośród pozostałych. Na tle bogatych i krzykliwych, niemal kipiących złotem salonów i sypialni, gabinet męża wygląda jak pokój mnicha. Jest przestronny i wydaje się bardzo duży, bo jedyny mebel, okazałe biurko z szufladami i rozkładanym blatem, stoi w centralnym miejscu, tuż pod klasyczną, białą sufitową lampą, nie zasłaniając żadnej ze ścian. Przy czarnym blacie czeka wygodny fotel w takim samym kolorze. W pokoju znajdują się jeszcze komputer i niszczarka do papieru, a na ścianie wisi mapa świata – to wszystko. Wyobrażam sobie, z jaką niechęcią szczupły, starszy mężczyzna w okularach opuszczał swój azyl. Co prawda wyszedł dyskretnie, gdy kończyliśmy porządkować górę, ale wrócił tak szybko, jak tylko to było możliwe. Chyba w samą porę, bo właśnie, po czterogodzinnych zakupach, pojawia się w domu jego żona.

– Już jestem! – krzyczy w stronę drzwi na piętrze, ale nie odpowiada jej nawet echo. Kobieta nie przejmuje się tym faktem. Najpierw sprawdza, jak spisałyśmy się na górze: do mnie nie ma zastrzeżeń, bo na szczęście Hania uprzedziła mnie, że trzeba pozbierać z różnych zakamarków celowo

zostawione tam przez gospodynię śmieci. Sama, niestety, musi pokornie umyć jeszcze raz prysznic.

– Wiedziałam – kwituje ze spokojem. – U niej powinni sprzątać mężczyźni, bo kobiet nie lubi.

– Może masz rację, ale nie widziałam w Ameryce mężczyzn w żadnym serwisie.

– Są, zdarzają się, ale rzadko. Kiedyś pan Zbyszek opowiadał nam o znajomym, który był elegancki, zadbany, jeździł dobrym samochodem i był powszechnie uznawany za człowieka sukcesu. Kiedy wyszło na jaw, że zajmuje się sprzątaniami toalet w śródmiejskich wieżowcach, Zygi mocno się zdziwił, ale nigdy nie zmienił zdania o mężczyźnie.

– Nie wiedziałam, że można się specjalizować w sprzątaniu.

– A ja, że można się tak dorobić! – rozmarzyła się Hania.

Tymczasem Czeszka zdążyła się już przebrać w domową, krótką sukienkę, odsłaniającą nie tylko biust, ale i, niestety, nogi. Esteci mogliby mieć zastrzeżenia, jednak widok chyba przypadł do gustu mężowi. Amerykanin wreszcie oderwał się od swoich zajęć i razem z żoną przez chwilę nadzorują prace w ogrodzie, który powoli zamienia się w wesołe miasteczko: z dmuchaną zjeżdżalnią, karuzelą, a nawet oryginalną strzelnicą z figurą nagiego mężczyzny. Tuż nad jego głową powiewa amerykańska flaga. Nie wiem, czy pomysł na ogrodowe przyjęcie wśród balonów, świecidełek i plastiku podoba się mężczyźnie, ale najwyraźniej nie miał on nic do powiedzenia.

Kończę sprzątać kuchnię, gdy kobieta zagląda na chwilę, by tym razem to mnie upomnieć i skarcić: nie skorzystałam z pasty do czyszczenia marmurowego blatu. Źle. Trzeba to poprawić.

Niestety, pani domu nie może osobiście zobaczyć, jak się postarałam, bo najwyraźniej szykuje się już na przyjęcie. Co prawda nie obejrzymy już

kolejnej kreacji w dużym rozmiarze, za to żegna nas sam gospodarz. Jest miły i grzeczny.

Dostajemy spore napiwki, a fakt ten Hania komentuje w swoim stylu:

– Widziałaś? Rozglądał się, czy nie ma jej w pobliżu. Jeszcze by dostał burę za rozrzutność.

Tego dnia jesteśmy ostatnimi osobami, po które zajeżdża Zbyszek, więc mamy chwilę na rozmowę. Hania najwyraźniej nie może zapomnieć o porannej kłótni z Jasią.

– Naprawdę nie chciałam źle. Jaśka jest chora na astmę i nieraz mówiła, że już nie będzie mieszkać w bejsmencie. A co zrobiła? Mieszka w suterenie, do której na dodatek wchodzi się od strony podwórka, a tam za siatką są kury. Powiedziałam jej prawdę, sąsiaduje z kurami. Nie wierzysz? Wybierz się do niej – radzi mi.

Nie chcę się przyznać, że już tam byłam. Od ulicy dom wygląda pięknie: to piętrowy, zadbane budynek, w otoczeniu kwiatów, które rozrosły się aż do samego chodnika. Część lokatorów wchodzi do środka głównym wejściem i udaje się do pomieszczeń na parterze. Do pokoi na górze klucz ma tylko właściciel, który przyjeżdża czasem, by zebrać opłaty. Z tyłu domu mieszkają ci, którzy płacą mniej. Do ich mieszkań można się dostać od strony ogrodu i pomieszczeń gospodarczych. Drzwi są zniszczone. Aby je otworzyć, trzeba zejść pięć schodków pod ziemię. Gdy po nich szłam, w pewnym momencie rzeczywiście poczułam zapach kur.

Ciekawa jestem, czy Czeszka pamięta jeszcze, że są takie domy...

19. Dzień bez pracy

Polacy, których poznałam w Ameryce, lubią pracować.

„Wolę pracować niż siedzieć samotnie w domu” – te słowa powtarza wiele osób.

Większość zatrudnionych ma wolne niedziele albo poniedziałki – do wyboru. Tylko nieliczni nie pracują także w soboty. Mówią o sobie z dumą, że nie są niewolnikami. Jednak niektórzy harują na okrągło: od świtu do zmierzchu, siedem dni w tygodniu. Dlatego gdy niespodziewanie nie ma pracy, pojawia się kłopot.

Inaczej było w moim przypadku.

Po dwudziestu przepracowanych dniach nie mogłam się doczekać wolnego, chociaż wydawało się to wręcz nierealne. A jednak ten moment w końcu nastąpił. Co prawda wiązał się z operacją zaćmy u pana Zbyszka, ale na szczęście zabieg się udał i pacjent nie przyszedł do pracy tylko raz. Był to dla nas dzień wolny od zajęć.

Rano budzi mnie wrzask maluchów, które wyszły na spacer z pobliskiego przedszkola. To moja druga pobudka, pierwsza nastąpiła o piątej – wstałam z przyzwyczajenia, zrobiłam bratu śniadanie i spędziłam z nim godzinę, zanim pojechał do pracy. Położyłam się spać i wreszcie budzę się po raz drugi, tym razem na dobre, o dziesiątej. Od razu

podchodzę do okna, skąd dochodzą dziwne odgłosy, i natychmiast opuszcza mnie irytacja, za to nie mogę powstrzymać uśmiechu.

Przedszkolaki są bardzo hałaśliwe, a do tego maszerują w kilku grupach, każda w swoją stronę, więc się mijają i pozdrawiają; na spokojnej ulicy robi się gwarno. Dzieci na całym świecie łączą ich naturalność. Te, które widzę, mają w większości ciemną skórę: to mali Meksykanie i Afroamerykanie. Wyglądają, jakby miały trzy–cztery lata, a niektóre wydają się nawet młodsze. Idą gęsiego, w żółtym tempie, trzymając się posłusznie długiej, kolorowej liny. Poznają świat. Mają szeroko otwarte oczy i buzie, które nie przestają mówić. Zatrzymują się co krok i komentują, co widzą: drzewo, płot, maliny w ogrodzie, koty, szare wiewiórki, ćwierkające ptaszki, niedomknięte furtki posesji, za którymi kryją się tajemnicze ogrody. Ciekawe są też samochody, a szczęściarze mogą dziś zobaczyć prawdziwy rarytas – przejeżdżający z hałasem amerykański wóz strażacki, który świeci się jak dziecięca zabawka. Tyle wrażeń, że aż dech zapiera. A wszystko na przestrzeni kilkunastu metrów! Maluchy przystają, bo muszą się napić wody. Wtedy rozbiegane oczy obserwują ze zdwojoną siłą; żal byłoby im coś przegapić. Ja też patrzę na ich naturalnie piękne dziecięce buzie i nie mogę się nasycić tym widokiem. Mniej więcej dwadzieścia minut później, po tym jak przedszkolaki minęły mój budynek, robię sobie śniadanie. Spektakl za oknem trwa: tym razem w roli głównej występuje człowiek z papugą. Widziałam go już w tej okolicy, tylko o innych porach. Duży, kolorowy ptak naprawdę robi wrażenie; siedzi na ramieniu swojego właściciela i z nim rozmawia. O czym? Tego nie wiem. Młodemu mężczyźnie towarzyszą też dwa psy. Mam wrażenie, że chłopak jest trochę rozczarowany – liczył na więcej uwagi. Szkoda, że spóźnił się parę minut.

Przechodniów na ulicy jest niewiele, dużo za to tu samochodów: mazdy, chevrolety, ford, najczęściej jeepów, pickupów i oryginalnych motocykli. Osobówek przejeżdża mniej więcej tyle samo co dostawczych i takich z odkrytą paką, załadowanych drabinami oraz sprzętem potrzebnym do remontów. Ludzie w Ameryce o wiele częściej niż w Polsce zmieniają miejsce zamieszkania i dzięki temu ekipy remontowe mają pełne ręce roboty. Szum samochodów nagle zagłuszą dziwne odgłosy, które w pierwszej chwili kojarzą mi się z kościelną procesją. Na rozwiązanie zagadki potrzebuję chwili, bo już wkrótce przed moim oknem pojawia się sprzedawca lodów i słodczy na kolorowym rowerze, z zamontowaną miniaturą odpustowego kramu. Jego przybycie obwieszcza liczne dzwonki, wydające charakterystyczne dźwięki przy najmniejszym ruchu kierownicą. Nie musi długo czekać na klientów: Meksykanka, która wybrała się na spacer z trojgiem dzieci, płaci za kolorowe słodczy i chwilę rozmawia z rowerzystą jak z dobrym znajomym. Ten sielski obrazek wydaje mi się nieprawdopodobny. Nie pasuje do stereotypowych wyobrażeń o milionowym mieście i tego, co wielokrotnie widziałam w *downtown* (śródmieściu), ale jest bardzo autentyczny, podobnie jak wszystko, co zobaczę później. Uliczny sprzedawca często tu zajeżdża, być może z przyzwyczajenia, ze względu na niedalekie sąsiedztwo szkoły podstawowej, która w czasie wakacji wygląda jednak na całkowicie opuszczoną. Budynek imponuje, bo rozmiarami przypomina trzy średniej wielkości szkoły w Polsce. Otoczony jest wysoką siatką i dość szerokim chodnikiem, który okoliczni mieszkańcy wykorzystują do porannego joggingu – jedno okrążenie to kilometr, czyli trochę więcej niż pół mili. Chętnie przejdę się tą trasą, zanim pójdę w kierunku polskiego kościoła, a potem kupię owoce w meksykańskim sklepie, moim ulubionym, należącym do sieci Pete's Market.

Na zewnątrz czuje się już upał i wilgoć – chicagowski „hjumit”, który skutecznie zniechęca do spacerów. Na ulicy mijam tylko ciemnoskórego listonosza. Jemu najwyraźniej nie przeszkadza temperatura, w każdym razie nie wygląda na zgrzanego czy spoconego. Maszeruje pieszo z pokaźną torbą, ale widzę, że przyjechał na osiedle rowerem. No tak: dzisiaj tylko trzydzieści stopni, a on ma na sobie koszulę z krótkimi rękawami. Ja założyłam równie lekki strój i ledwie wyszłam z domu, a już jestem cała mokra, ale jemu może być chłodno.

Samotnie okrążam szkołę do momentu, gdy znajduję się na wysokości bocznego wejścia. Wtedy dzieje się coś niebywałego: na pobliskim parkingu zatrzymują się dwa szkolne autobusy i niemal w tym samym czasie z budynku wysypuje się młodzież. Zapełnia te pojazdy w błyskawicznym tempie. Spokojnie, bez wrzasków – jak w wojsku. Niepojęte! Odwracam się, dla pewności, że to nie sen: busy z młodzieżą powoli odjeżdżają w nieznanym kierunku. Ciągle się zastanawiam, czy to, co zobaczyłam, mogło być efektem niezwyklej dyscypliny. A może zostało podyktowane chęcią ucieczki przed uciążliwą pogodą do klimatyzowanych miejsc? Obiecuję sobie, że zapytam o to sąsiadkę, z którą jestem umówiona po południu. Mieszka w tej okolicy kilkadziesiąt lat, wychowała troje dzieci, a teraz zajmuje się wnukami, więc powinna wiedzieć. Mijam szkołę i idę w kierunku kościoła, którego patronem jest święty Trybusz. W niedzielę chodzimy tam w odświętnych strojach, ale w tygodniu ten sam ubiór mógłby wywołać zdziwienie okolicznych mieszkańców, więc upodobałam się do innych: mam na sobie porozciągany i wymięty T-shirt, wypłowiałe spodnie dresowe, ciemne okulary, sportowe buty i czapkę z daszkiem. Właśnie mijam budynek kościoła; w zwykły dzień wydaje się bardzo pospolity. Zarówno jego konstrukcja, jak i kolory oraz materiały, z których został zbudowany, stapiają się z otoczeniem, osiedlem

jednorodzinnych domów. Sakralna budowla dyskretnie góruje nad nimi i tylko niewielki krzyż na zwieńczeniu dachu mówi o przeznaczeniu tego miejsca. Niestety, nie można wejść do środka, bo kościół otwierany jest tylko na niedzielne msze. Na szerokich schodach prowadzących do głównego wejścia siedzą teraz dwaj meksykańscy chłopcy i jakby nigdy nic słuchają głośno wesolej muzyki, paląc papierosy. Duży parking jest w tej chwili pusty, ale czytam ogłoszenie: w sobotę odbędzie się tu festyn połączony z wyprzedazą używanych rzeczy, *YARD SALE*.

Do sklepu mam już niedaleko, ale ostatni odcinek drogi przemierzam betonowym chodnikiem ciągnącym się wzdłuż bardzo ruchliwej ulicy. Jest nieprzyjemnie. Wokół pełno śmieci, jakby leżały tu od wieków. Sama od dłuższego czasu chcę coś wyrzucić do kosza, ale bezskutecznie wypatruję pojemnika na odpady. Kurz i hałas połączony z upałem skutecznie zniechęcają innych do spacerów nie tylko na osiedlu, ale również przy ruchliwej ulicy. W okolicach sklepu przebywam tylko ja i jakiś ciemnoskóry żebrak. On ma na sobie zimową kurtkę i trzewiki. Głowę okrywa mu ciepły kaptur. Ciekawe, czy nosi też kalessony? Przypomina mi się listonosz; chyba naprawdę dzisiaj marznie. Tymczasem człowiek trzymający kartkę z napisem *HOMELESS* czeka spokojnie, aż samochody zatrzymają się na trzech pasach obok siebie. Czerwone światło będzie się tu świeciło dwadzieścia pięć sekund; w tym czasie zdąży przejść obok wszystkich, pobrzękując puszką. Trudno mi ocenić jego wiek, ale on ma podobny problem: zwraca się do mnie per *baby*, gdy prosi o pieniądze.

Wreszcie wchodzę do sklepu. Czuję się tak, jakbym prosto z piekarnika trafiła do lodówki. Nie przeszkadza mi szok termiczny: podziwiam sterty egzotycznych owoców, jadalnych kaktusów, zioła i przyprawy. Bardzo tanie są limonki, do tego pakowane w duże siatki! Obok olbrzymich owoców mango i awokado leży sterta zielonych gravioli. W sklepie panuje duży

ruch. Widzę, że sporym zainteresowaniem cieszą się gotowe produkty, głównie dania obiadowe i zimne napoje oraz słodycze, które wypełniają olbrzymie wózki na zakupy. Myślę, że jestem jedyną osobą, która przysłała tu pieszo. Kupuję miniaturowe banany, paczkę niemalże czarnych, twardych czereśni i meksykańskie drożdżówki. Staję w kolejce do kasy. Zamyślam się na chwilę i kiedy słyszę: „Pani będzie ostatnia”, chcę się wycofać, sądząc, że te słowa skierowane są do osoby przede mną. Wtedy kasjerka mówi do mnie stanowczo: „*Señorita*, proszę zostać”. Bardzo mi się podoba, że tak pięknie mnie nazwano i potraktowano, a na dodatek nie muszę sama pakować zakupów do siatki. Ponadto ludzie najzwyczajniej w świecie uśmiechają się do mnie, więc robię to samo. Pobyt w zwykłym sklepie tak bardzo poprawił mi nastrój, że po wyjściu na zewnątrz przez dłuższą chwilę nie czuję upału.

Market znajduje się na szczęście niedaleko linii metra, więc nie muszę wracać do domu pieszo; wymagałoby to pokonania kolejnych czterech kilometrów. Kolejka o wdzięcznej nazwie Orange line kursuje co piętnaście minut. Jadę jeden przystanek i wysiadam na lotnisku Midway, czyli w trochę innym świecie niż ten, który oglądałam przed chwilą. W metrze można spotkać przedstawicieli dwóch światów, dlatego że Midway znajduje się po biedniejszej, południowej stronie Chicago. Większą część pasażerów w moim wagonie stanowi dziś reprezentacja lokalnego folkloru: bardzo nieforemne czarnoskóre kobiety i umięśnieni ciemnoskórzy mężczyźni, z paskiem przy spodniach zapiętym tam, gdzie kończy się pośladek; hałaśliwe meksykańskie rodziny, podróżujące całymi gromadami z małymi dziećmi, z torbami popularnych słodyczy i kubkami kawy na drogę. Na ich tle wyróżniają się eleganccy ludzie, którzy wybrali się w podróż po Ameryce i dlatego jadą na lotnisko. Są wyperfumowani i mają ekskluzywne walizki. Niektórzy czytają książki, inni przeglądają wiadomości w drogich

smartfonach. Wszyscy siedzą zgodnie obok siebie i jedni nie przeszkadzają drugim.

Kiedy wysiadam, mam już tylko chwilę do domu. Wychodząc z metra, mijam olbrzymie billboardy reklamujące miasto, a na nich widzę eleganckich ludzi w biurowcu John Hancock. Parę metrów dalej, na brzydkim skwerku, siedzą bezdomni. Kiedy jestem już bardzo blisko domu, dostrzegam, jak zmęczony Meksykanin w za dużych butach ciągnie wózek ze stertą rupieci ze śmietnika.

Zostały mi dwie godziny, by przyrządzić obiad; o szesnastej sąsiadka zabiera mnie do meksykańskiej restauracji. Będę tam pierwszy raz w życiu, dlatego z góry cieszę się na to wyjście. Lubię spędzać czas ze starszą panią z sąsiedztwa. Poznałyśmy się, gdy przyjechałam do Ameryki po raz pierwszy i od tego czasu utrzymujemy kontakty, co prawda rzadkie, ale systematyczne. Lupa, tak do niej mówię, chyba jest dość samotna, bo lubi obserwować, co dzieje się za oknem i dużo mówi. Najchętniej o tym, jak nie może się doczekać przyjazdu dzieci, które mieszkają i pracują w odległych dzielnicach Chicago. Kiedy widzi, że jestem w domu, chętnie mnie odwiedza lub zaprasza do siebie (wtedy z reguły narzeka na męża, który nie poświęca jej w ogóle czasu). Kilka takich wizyt sprawiło, że Lupa zaczęła cenić polską kuchnię, choć nie potrafi pojąć, jak można przyrządzać posiłki w domu. Ja z kolei nie wyobrażam sobie, by mogło być inaczej, dlatego teraz w domu gotuję zupę i robię placki z bardzo dużych, białych ziemniaków, które starte na tarce, nie zmieniają koloru i nie są rzadkie. Ktoś je sprowadził do Illinois z Idaho i był to dobry pomysł. Cała rodzina będzie miała co jeść przez dwa dni. Mrs. Guadalupe Espinoza przychodzi po mnie punktualnie. Jest ubrana odświętnie i bardzo po amerykańsku – ma na sobie bluzkę z flagą USA. Odnoszę wrażenie, że to strój wybrany specjalnie na dzisiejsze spotkanie, więc jest mi bardzo przyjemnie.

– Ameryka to nie tylko USA, ja też jestem Amerykanką – podkreśla stanowczo, jakby tłumacząc swój ubiór.

Idziemy pieszo, bo restauracja mieści się całkiem niedaleko, po drugiej stronie ruchliwej ulicy. Tymczasem koleżanka, wbrew moim protestom, postanawia przekroczyć drogę w miejscu najwygodniejszym dla nas, niekoniecznie zgodnie z przepisami. Przez chwilę czuję się, jakbym była na wojnie, ale na szczęście udaje nam się przeżyć. Od razu jednak zaznaczam, że w drodze powrotnej ja poprowadzę.

Restauracja, do której przychodzimy, jest ulubionym miejscem Lupy.

– Kiedy przyjechałam tu w latach sześćdziesiątych, był tylko ten lokal i długo, długo nic – wspomina z rozrzewnieniem. – Teraz wiele się zmieniło, wokół same meksykańskie sklepy, bary, instytucje.

Za to polskich coraz mniej – myślę, ale nie mówię tego głośno, bo nie chcę jej urazić.

Miejsce przypomina trochę podrzędny polski bar: dużo tu sztucznych kwiatów i panuje wystrój jakby z czasów dawnej świetności, ale moja sąsiadka czuje się w takim otoczeniu bardzo dobrze.

– Większość posiłków jadamy w tej restauracji albo zamawiamy na wynos – tłumaczy.

Wkrótce pojawia się kelner, który jest nadzwyczaj uprzejmy. Ma na sobie poplamiony fartuch, ale to mi nie przeszkadza, bo jestem traktowana naprawdę po królewsku. Ponieważ popularne meksykańskie burrito zdążyłam już dawno poznać, dziś decyduję się na taco i nachos – najchętniej wybierane przekąski z tortilli i mięsa oraz warzyw. Popijam to lemoniadą, jak większość gości, choć osobiście wolałabym gorącą herbatę.

Lupa jest bardzo religijna. Przed posiłkiem modli się po hiszpańsku, po czym prosi mnie o to samo i patrzy wyczekująco. Nie mogę sobie przypomnieć właściwej modlitwy, więc w zatłoczonym i gwarnym wnętrzu

trochę niepewnie odmawiam *Ojciec nasz*. Moja koleżanka jest zachwycona, możemy jeść. Po chwili opowiada o pochodzeniu swego imienia:

– To na cześć Matki Bożej z Guadalupe, obrazu słynącego z cudów. To miejsce powinnaś odwiedzić, jak przyjedziesz do Meksyku.

– Marzę o tym, ale to nierealne. – Kręcę głową z powątpiewaniem.

Jej zdziwienie jest autentyczne.

– Dlaczego nierealne? Tutaj wszystko jest możliwe!

W trakcie rozmowy okazuje się, że chodzimy z Lupą do tego samego kościoła; msza, w której ona uczestniczy, zaczyna się pół godziny po zakończeniu polskiego nabożeństwa i jest odprawiana w języku hiszpańskim. Sąsiadka podkreśla też, jak bardzo ucieszył ją prezent ode mnie: drewniany różaniec przywieziony z Izraela. Dla pewności pyta mnie kilka razy:

– Na pewno nie kupiłaś go w Polsce?

Rozbraja mnie ta szczerść i bezpośredniość, więc cierpliwie odpowiadam:

– Byłam w Izraelu. Różaniec to pamiątka z tego pobytu.

Lupa śmieje się, gdy wspominam incydent sprzed szkoły.

– W szkole jest zwykle głośno, bo młodzież coraz gorsza, jak na całym świecie. Teraz są wakacje, to może zachowują się spokojnie, ale jak tylko zacznie się rok szkolny, nie będzie można tu czasem wytrzymać!

– Może masz rację – mówię bez przekonania, bo po tym, co widziałam przed południem, chyba zdążyłam się nabawić kompleksów.

W restauracji nie ma ciszy nawet przez chwilę. Przy sąsiednich stolikach siedzą całe rodziny: jedzą, rozmawiają, śmieją się, zachowują się bardzo swobodnie. Jest tu naprawdę dużo dzieci. Dobrze się czuję, mimo że w tym oryginalnym otoczeniu wyglądam dość egzotycznie. Ale nie ma w tym nic dziwnego: jedzenie naprawdę mi smakuje, a meksykańską

gościnność zapamiętam na długo. Jednak to jeszcze nie wszystko. Na koniec niespodziewanie pojawia się deser; do lokalu wchodzi uliczny sprzedawca z koszem słodczy. Nikt nie przepędza konkurencji. Na prośbę Lupy wybieram baton z dużą ilością ziaren i orzechów. Jest pyszny, ale jego cena wprawia mnie w osłupienie.

– Nie martw się o to – słyszę. – Takich ludzi trzeba wspierać. Dopiero przyjechali do Ameryki i muszą jakoś żyć, a my, Meksykanie, trzymamy się razem.

– To widać na każdym kroku – stwierdzam z uznaniem.

Dziękuję za miłe popołudnie, po czym wracamy do domu, bo od osiemnastej mogę wreszcie spędzić czas z Jackiem. Oczywiście po tym, jak się wykąpie, odpocznie i zje. Czyli od dwudziestej. Cierpliwie czekam i tym bardziej doceniam każdą wspólną chwilę. Wieczorem idziemy na spacer wokół szkoły. Ania jest teraz na dyżurze, ale dzwoni do nas z dobrą wiadomością: zarezerwowała dwa pokoje w hotelu nad jeziorem na weekend. Ta informacja zdecydowanie poprawia humor mojemu bratu. Powietrze jest teraz znośne, a gdy zapada zmierzch, robi się nastrojowo. Przed niektórymi domami palą się nawet choinkowe lampki. Staram się nie myśleć o tym, że jutro muszę znowu być w pracy. Na boisku grupa chłopców właśnie kończy grać w piłkę i schodzi z murawy. Kręcę głową z niedowierzaniem.

– Ciekawe, jak tu weszli? Szkoła jest o tej porze zamknięta i ewidentnie nie można wchodzić za ogrodzenie.

Jakby w odpowiedzi na moje pytanie, chłopcy zaczynają przeskakiwać, jeden po drugim, przez bramę, po czym wsiadają do zaparkowanych niedaleko samochodów i bez pośpiechu odjeżdżają, nic sobie nie robiąc z naszej obecności.

Mówię do Jacka:

– Rano widziałam tu młodzież i oczy przecierałam ze zdziwienia, że są tak zdyscyplinowani, kulturalni, jakby z innego świata. Ale ci zachowują się inaczej, bardziej przypominają Polaków!

Wypowiadając te słowa, nie wiem dlaczego, ale czuję ulgę.

20. Opowiadanie Jacka

– Wiesz – powiedział mi kiedyś Jacek – Tomek wrócił wczoraj z Polski i nie może otrząsnąć się po tym, jak został potraktowany przez Kadrowego!

– Przypomnij mi, kto to jest Kadrowy? Wiem tylko, że przezwisko ma jeszcze z Polski. Parę razy już o nim wspominałeś...

– A, taki jeden, nie za bardzo go lubiłem. Mieszkał z żoną w Chicago, nielegalnie, kilkanaście lat. Ciułali pieniądze. On nigdzie nie wychodził, tylko praca–dom, i tak w kółko. Czasem gdzieś dał się zaprosić, ale nigdy nie wyjął nawet dolara. Nie uczestniczył w żadnych składkach w pracy, bo twierdził, że nie ma pieniędzy; za to chętnie korzystał z wszelkich okazji i gratisów.

– Wydaje mi się, że jednak trochę go lubiłeś, bo często o nim słyszałam, ale na pewno nic złego!

– Może i lubiłem, a właściwie trawiłem, ale do czasu. On w ogóle należał do tych, co chętnie się „przyjaźnią” z nowymi. Służą radą, pomagają i są mili. Kiedy nowy wreszcie pozna się na charakterze skąpca i cwaniaka, przychodzi kolejny naiwny, i tak to się kręci. Ja miałem kiedyś z Kadrowym dyżur, a po pracy zaprosiłem go na drinka. Na koniec zostawiłem barmance napiwek, na co on zareagował oburzeniem: „Po co tracić tyle pieniędzy?!”. I dalej przekonywał, zupełnie serio, że mogłem dać je jemu. Myślałem, że żartuje, więc go trochę podpuszczałem, no i okazało

się, że był gotów zabrać te pieniądze, które leżały jeszcze na barze. Od tego czasu nabrałem do niego dystansu.

– A co z tym Tomkiem, bo z tego co mówisz, też znał Kadrowego?

– Nie zdążył go rozgryźć, bo znał go krócej, zaledwie parę miesięcy. Przez cały ten czas dawał się wykorzystywać pod pretekstem przyjaźni. Dlatego kiedy Kadrowy na stałe wracał do Polski, chętnie przyjął zaproszenie do Łodzi i pół roku później chciał z niego skorzystać. Był tak naiwny, że specjalnie pojechał z Rzeszowa kilkaset kilometrów, by spotkać się z przyjacielem! Fakt, że nikt nie odbierał telefonu, nawet dzień przed przyjazdem, nie był dla niego wystarczająco wymowny. W Łodzi zastał zamknięte drzwi i dopiero wtedy do niego dotarło, że dawny kolega nie ma ochoty na spotkanie.

– Pewnie miał traumę po Ameryce i wolał o wszystkim zapomnieć – mówię.

– No tak. Oboje ciułali przez tyle lat, harując i wszystkiego sobie odmawiając, to przyszedł wreszcie czas, by odpocząć, żyć inaczej.

– Ciekawe, czy można tak całkiem zapomnieć. Czy wystarczy zamknąć drzwi...

21. Dom bez kobiet

To jest wyjątkowo ponury dom, o czym przekonuję się dość szybko. Powierzchnię około trzystu metrów z basenem i hangarem na kilka aut zajmują trzej mężczyźni: ojciec z dwoma dorastającymi synami. Gdy przyjechałyśmy do pracy, w garażu zauważyłam tylko jeden samochód – duży czarny sedan. Drogi, zapewne ojca.

– To znak, że młodzi chłopcy są prawdopodobnie poza domem – stwierdził Zygi.

Rzeczywiście, w drzwiach pojawia się postawny, około pięćdziesięcioletni mężczyzna. Nie dziwi się na widok trzech kobiet, zamiast dwóch, chyba w ogóle mało go interesujemy. Pan Zbyszek podsuwa mu jednak telefon, by żona mogła wyjaśnić sytuację. Mężczyzna macha tylko ze zniecierpliwieniem ręką, a potem odwraca się, co oznacza, że mamy iść za nim do środka. Początek jest nerwowy i nieprzyjemny.

A jeszcze przed kilkunastoma minutami byliśmy takie zadowolone! Szczególnie cieszyła się Stasia, bo gdy pojechaliśmy do śródmieścia, gdzie zaplanowano na dziś porządki, klienci z niewiadomych przyczyn zrezygnowali z serwisu, ale honorowo zapłacili całą kwotę, jaką miała u nich zarobić.

– No, no. To się nazywa szczęście – podsumował pan Zbyszek. On też nie ukrywał, że ma powody do zadowolenia. – Stasia dołączy dziś do Hani

i Doroty, szybciej skończycie pracę.

To była już druga dobra wiadomość tego dnia. Tym razem dla mnie i Hani.

Radość trwała do momentu, gdy przyjechałyśmy do tej ponurej willi na eleganckim, strzeżonym osiedlu. Gdy zamknęły się za nami drzwi domu, natychmiast zapomniłyśmy o malowniczej okolicy i ładnej pogodzie. Stojąc na zimnej posadzce w holu, patrzę na szerokie schody prowadzące na górę. Nad nimi, parę metrów nad podłogą, wisi olbrzymi żyrandol; światło bezlitośnie demaskuje kurz i co najmniej jedną, dużą pajęczynę. Na podłodze nie ma żadnych dywanów, chodników czy wykładzin. Żadnych zapachów ani śladów kobiety.

– To dobrze – podsumowuje Hania. – Mniej czyszczenia, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Tymczasem gospodarz prosi Stasię do drugiej części willi, gdzie ma ona zająć się basenem i dużym tarasem ulokowanym od strony ogrodu. Zadaniem moim i Hani jest posprzątanie przede wszystkim parteru, na którym znajduje się prywatne biuro właściciela domu.

– Zawsze to samo – komentuje koleżanka. W międzyczasie zdążyła się zorientować, że była już w tym domu, ale jak stwierdza, przy sporej liczbie klientów nie wszystkich pamięta się od razu.

– Przypomniało mi się, że ten facet dba tylko o mały fragment posiadłości. Każe sprzątać jedynie te miejsca, które mogą widzieć jego klienci albo goście.

– Zależy mi na tym, by zrobić jak najwięcej prania – dorzuca jeszcze na koniec mężczyzna tonem, który bardzo do niego pasuje, i bez słowa idzie na górę, gdzie zaszywa się w swojej sypialni.

Nie ma na co czekać. Przebieramy się ekspresowo, orientując się przy okazji, że w łazienkach na dole zabawimy wkrótce na dłużej. Chyba

projektowała je kobieta, bo prawie całą powierzchnię zajmują tu lustra. Musiały robić wrażenie, gdy były zadbane! W tej chwili wyglądają jednak upiornie: zakurzone, pęknięte w paru miejscach i poklejone taśmą, wymazane pastą do zębów, mydłem i kremem. Olbrzymi telewizor, zawieszony nad wanną, jest też zakurzony, a z ciemnego ekranu straszą ślady palców. Tym będę się martwić później – myślę, bo na razie mam inne problemy.

– Pralka jest na parterze, a pranie na dole – oznajmia Hania. – Tylko się nie przestrasz.

Ostrożnie schodzę po betonowych schodach, którym brakuje poręczy. Z wysoka mogę w całej okazałości zobaczyć to, czego z bliska nie dałoby się ogarnąć wzrokiem, sterta brudnych ciuchów zajmuje bowiem niemalże całą powierzchnię piwnicy. Widok rzeczywiście robi wrażenie. Rzeczy pozostawione najbliżej schodów można jeszcze zidentyfikować, ale te, które znajdują się w głębi, tworząc bardzo wysoką górę, są już zdecydowanie poza moim zasięgiem. Sądząc po asortymencie, można przypuszczać, że niektóre ubrania czekają na swoją kolej od zimy. Najwyraźniej każdy, kto tu przychodził sprzątać, sięgał po rzeczy najbliższe schodów i czyścił tym samym powierzchnię wokół siebie, czyli mniej więcej trzy metry. Do czasu kolejnych porządków mieszkający w domu mężczyźni systematycznie zapełniali tę wolną przestrzeń. Myślę, że to bardzo niesprawiedliwe, więc na początek wybieram się parę metrów w głąb tego królestwa brudów. Szybko zapełniam kosz na bieliznę, ale jest to zaledwie kropla w morzu, bo krajobraz nie uległ zmianie.

– Żyjesz? – Hania, zaintrygowana moją nieobecnością, przychodzi sprawdzić, jakie wrażenie zrobiła na mnie piwnica. – Nie próbuj tu zbyt kombinować – radzi mi. – Facet i tak tego nie doceni, a jeszcze na koniec zarzuci, że nie wyprałyśmy tyle, co zwykle. – To mówiąc, szerokim gestem

zagarnia stos przypadkowych ubrań leżących w pobliżu swojej nogi, a następnie zbiera kolejne rzeczy i energicznym ruchem odrzuca je jak najdalej od siebie. Zrobiło się trochę miejsca.

– Widzisz? Tak trzeba robić, bo jest efekt.

Posłusznie idę za nią na górę. Nastawiamy pranie i przechodzimy do gabinetu. Nietrudno się domyślić, że do tego pomieszczenia, którego większą część zajmują półki z segregatorami, książkami i stosami papierów, przychodzą petenci. Przy oknie stoi biurko z komputerem i krzesłami po obu stronach. Z przedpokoju każdy może zajrzeć do salonu połączonego z kuchnią i zapewne z tego powodu mężczyźni tak zależało na porządku w tej części domu. Zaprowadzając ład, pamiętamy oczywiście o praniu. Kiedy przychodzi moja kolej, w tajemnicy przed Hanią znowu wybieram parę zakopanych głęboko i być może dawno zapomnianych rzeczy. Ryzykuję, zapełniając pralkę do granic możliwości, ale nie mam wyjścia – piwnica nadal wygląda tragicznie. Za to na parterze robi się naprawdę znośnie. Po tym, jak pozbierałyśmy puste puszki po napojach i zabrałyśmy z podłogi to, co nie powinno na niej leżeć, już widać różnicę. Wystarczy jeszcze umieścić różne przedmioty w miejscach ich przeznaczenia i jaskinia zbójców zacznie przypominać dom. Spod sterty śmieci i kurzu udało się wyeksponować eleganckie meble. Z prawdziwą przyjemnością wcieram w nie pachnący migdałami krem. Tymczasem koleżanka przynosi do prania górę ręczników. Suszarka pracuje na okrągło, więc powoli zaczyna przybywać czystych ubrań.

– Ta pościel jest coraz bardziej dziurawa. – Hania kręci głowę z niesmakiem. – To maszyna do suszenia tak ją niszczy. A jaka wymięta! Ja tam wolę swoją, z kory.

Rzeczywiście, jedwabne poszewki wcale nie wyglądają elegancko; są już dosyć sfatygowane i nieestetycznie zmięte.

– Co z nimi robimy? – pytam, przekonana, że rzeczy trzeba poskładać.

– Zabieramy na górę. Tam jest pomieszczenie, które pełni funkcję garderoby. Trochę przypomina piwnicę. – Mówiąc to, Hania znowu uśmiecha się zagadkowo. – Zaraz zobaczysz.

Piętro rzeczywiście jest miejscem, o którym niełatwo zapomnieć.

Jeśli na dole zastałyśmy bałagan, to jak można by określić to, co znajduje się na górze? Trudno byłoby nazwać tę część domem, chociaż dostrzegam tu korytarz, z którego przechodzi się do różnych pomieszczeń. Są też drzwi, ale na tym podobieństwo się kończy. Na górze dołącza do nas Stasia, która, podobnie jak ja, nie może się nadziwić, że bogaci ludzie mieszkają w takim chaosie. Hania przywykła już do podobnych widoków, więc rzeczowo proponuje, by zamiast niepotrzebnie załamywać ręce i narzekać, ogarnąć najmniej ohydną sypialnię, czyli tę należącą do ojca. Pomysł zostaje zaakceptowany, ale po krótkiej chwili Stasia przychodzi do nas z niewyraźną miną, gdyż właściciel śpi w swoim drogim barłogu! W ubraniu i eleganckich butach. Na nocnym stoliku stoi opróżniona do połowy butelka wódki.

To był ten jeden i jedyny raz, kiedy widziałam, że ktoś w Ameryce pije alkohol (a w prawie każdym domu barki przypominały dobrze wyposażone restauracje).

– Może się długo nie obudzić po takiej ilości. Co wtedy zrobimy? – pytam.

– Nie ma się co martwić na zapas, najwyżej pozbieramy tylko śmieci wokół łóżka i opróżnimy kosze. On się i z tego bardzo ucieszy.

Stasia tymczasem zajmuje się sprzątnięciem łazienki gospodarza, a my z Hanią zaprowadzaniem ładu w pokojach chłopców. Ponieważ jest to praktycznie niewykonalne, postanawiam odmienić tylko jedno miejsce, łóżko. Spod kołdry wyciągam: jeden but, spodnie i koszulkę, kapelusz,

żelki, kilkanaście zmiętych dolarów, słuchawki, opakowania po jedzeniu na wynos i pełno okruchów. Na koniec zmieniam pościel. Po mojej interwencji łóżko przypomina cywilizowane miejsce, ale jego otoczenie pozostaje niezmienione.

– Dobra robota – chwali mnie Hania. Okazuje się, że miała podobny pomysł.

Wychodząc, odsłaniam jeszcze okno z widokiem na inny świat. Nie wiem, czy jest to dobre rozwiązanie, bo bałagan stał się przez to jeszcze bardziej widoczny, ale nie mogłam się powstrzymać. Po drugiej stronie szyby jest tak pięknie...

– Ciekawe, jak wyglądał ten dom, gdy mieszkała tu matka chłopców? Pamiętasz te czasy?

– To musiało być dawno, bo chyba ze trzy lata jeździmy tu regularnie i zawsze jest tak ponuro. Kobiety zostawiłyby po sobie przyjemniejszy bałagan: kosmetyki, ubrania, ozdoby, zdjęcia, ładne naczynia, sztuczne kwiaty... Niczego takiego nie zauważyłam.

Na piętrze zaglądam do wspomnianej garderoby. To duże pomieszczenie, służące zapewne kiedyś jako bieliźniarka rodziców (w pokojach chłopców stały szafy wnękowe), obecnie jest przechowalnią wszystkich upranych ubrań. Nikt ich nie prasuje ani nie składa. W większości nie wiszą nawet na wieszakach, tylko leżą wrzucone do dużych koszy na czyste rzeczy. W gąszczu wymieszanych ze sobą spodni, koszul i bielizny trzej mężczyźni muszą radzić sobie sami. Nie wygląda to dobrze, poza garniturami i paroma ciepłymi kurtkami, przyniesionymi z pralni na charakterystycznych wieszakach i w folii, niewiele jest wyraźnie posegregowanych ubrań. Pozostałe, z wyjątkiem pojedynczych egzemplarzy, rzuconych przypadkiem na półkę lub wiszących samotnie na wieszakach, zalegają w koszach, w których zostały umieszczone przez

sprzątaczkę. Oprócz tego w pomieszczeniu widzę pościel, ręczniki, koce, narzuty – słowem wszystko, co kiedyś udało się uprać. Te rzeczy ktoś praktyczny i pomysłowy pozostawił w odrębnym miejscu, by trochę ułatwić mężczyznom życie. Nie jest tu przytulnie. Trzeba jednak przyznać, że zarówno półki, jak i szafy z wieszakami czy nawet kosze na bieliznę nie są zwykłymi, tanimi przedmiotami. Gospodarz wydał na nie sporo pieniędzy.

– Zobacz, ile tego jest. – Hania kręci głową. – Nadal miałabyś ochotę to składać?

Nic nie odpowiadam, bo w tej samej chwili przypominamy sobie, że trzeba nastawić kolejne pranie i suszenie. Szkoda każdej chwili. Pranie jest największym wyzwaniem w tym domu, ale pomimo starań efekt pozostaje mierny. Gdyby nie spora ilość czystych i pachnących „szmat” na górze, ktoś mógłby powiedzieć, że nie wykonałyśmy zadania. Biorąc przykład z Hani, zagarniam nogą trochę rzeczy i z dużym wysiłkiem odsuwam je parę centymetrów od siebie. Nie mogę się powstrzymać i znowu dokonuję selekcji. Kosz zapełnił się błyskawicznie, więc po raz kolejny tego dnia, ćwicząc mięśnie rąk i nóg, pokonuję trasę dół–góra. W kuchni napotykam gospodarza, który nieoczekiwanie dla nas przerwał drzemkę. Sprawdza właśnie zawartość lodówki. Daje znak, bym się zbliżyła i bez słowa zaczyna wyjmować bardzo przeterminowaną zawartość o charakterystycznym zapachu, ale już po krótkiej chwili gestem nakazuje mi, bym dokończyła pracę. Stasia szybko wykorzystwała ten moment: zajęła się niedokończoną sypialnią i łazienką, a Hania zeszła na dół, by zobaczyć, co robię.

– Czyżby kazał nam coś poprawiać? – pyta przejęta.

– Wprost przeciwnie. Nawet nie spojrział na to, co zrobiłyśmy. Chyba ta śmierdząca lodówka nie dawała mu spokoju, dlatego zszedł.

Hania przez chwilę nie kryje oburzenia.

– Ale my nie myjemy lodówek w środku, trzeba było się nie zgodzić! Możemy zadzwonić do pani Basi.

– Mamy jeszcze czas, więc zamiast bezmyślnie przerzucać rzeczy na górze, skupmy się na czymś konkretnym. Zobacz, tu większość jedzenia trzeba po prostu wyrzucić, umyć półki, przesunąć do przodu to, co robi wrażenie, i poustawiać kolorami dla efektu. To ma sens.

Hania zgadza się pod warunkiem, że przez godzinę myjemy tylko lodówkę.

– A pranie? – przypominam rzeczowo.

W odpowiedzi, zrezygnowana, macha ręką, ale przed zakończeniem pracy posłusznie idzie na dół po ostatnią porcję brudów.

– Widzę, że szybko się uczysz – mówi do mnie z uznaniem po powrocie. – Tak jak ja. Zobacz, co wybrałam na deser: zimowe kurtki, czapki, szaliki.

– Myślisz, że to się może przydać pod koniec sierpnia? – pytam.

– Niech zobaczą, co mają na zimę, zanim kupią nowe rzeczy. Leżały takie smutne...

Hania zdecydowanie kpi sobie ze mnie, ale parę minut przed końcem pracy nic nie może popsuć mi humoru.

Na krótko przed naszym wyjściem, gdy lodówka jest już umyta, mężczyzna po raz kolejny pojawia się w kuchni i jakby nigdy nic zaczyna robić sobie kanapki, które zabiera do biura. Siedział tam od jakiegoś czasu, mimo że Stasia zeszła już z góry i znowu mógłby bezpiecznie zaszyć się w sypialni. W jadalni pojawia się nieoczekiwanie jeszcze raz: podchodzi do eleganckiego stołu, na którym leży wiadomość zostawiona dla nas: PROSZĘ NIE CZYŚCIĆ i zabiera stamtąd butelkę z resztką wódki. Jej zawartość wypija po drodze do gabinetu, na naszych oczach.

Przez cały pobyt w tym domu gospodarz traktował nas jak powietrze, więc nie liczymy na „dziękuję” za dodatkowe zadanie. Mimo to i tak nas zaskakuje, bo gdy wychodzimy z domu po skończonej pracy, nie odpowiada nawet na „Do widzenia”!

22. Czapka

Wiedziałam, że ten dzień będzie smutny, a mimo to nie przygotowałam się do niego dostatecznie dobrze i w decydującym momencie po prostu płakałam.

Pracowałam z szefową, panią Basią, co jest rzadkością i mogło być zapowiedzią czegoś niezwykłego. Pojechałyśmy do kobiety chorej na raka w bardzo zaawansowanym stadium.

– Od pół roku ma świadomość, że lekarze przegrali z chorobą i nie będzie już kolejnych operacji ani chemii.

– Kto się nią teraz opiekuje, ma rodzinę?

– No właśnie nie. Jest zupełnie sama, ale ma dużo znajomych, którzy pomagają na co dzień. Zobaczysz. To bardzo towarzyska osoba. Łatwo zapamiętać jej imię: Mary.

Zanim dotarłyśmy na miejsce, dowiedziałam się jeszcze od pani Basi, że zna Mary od lat, bo jest ona stałą klientką serwisu. Przez ostatnie miesiące szefowa przyjeżdża tu sama. Gotuje, sprząta, a przede wszystkim rozmawia z tą zrozpaczoną kobietą. Jest przy niej, bo ma powód. Przeżyła podobną chorobę dorosłej córki. Rozumie to cierpienie i strach. Chyba wie, co jest w takich sytuacjach ważne. Poza tym, najzwyczajniej w świecie obiecała Panu Bogu, że się odwdzięczy, po tym jak jej córka wyzdrowiała;

ma co prawda usuniętą pierś i wiele złych wspomnień z tamtego czasu, ale to drobiazg w porównaniu z sytuacją Mary.

Tuż przed wejściem, kiedy czekanie się przedłuża, przeżywamy chwilę niepewności.

– Ostatnio Mary zrezygnowała z porządków, bo zbyt źle się czuła. Może teraz jest podobnie, tylko zapomniała zadzwonić?

Jednak nie. Cierpliwość się opłaca, bo po dłuższej chwili w drzwiach staje wysoka, szczupła kobieta w ładnej blond peruce, nałożonej dość niedbale, jakby w pośpiechu. Widać, że jest bardzo chora, a mimo to współczucie, które podświadomie przygotowałam gdzieś w zanadrzu, natychmiast zostaje wyparte przez zaskoczenie, podziw i... ciekawość. Mary kipi energią. Co prawda przytrzymuje ręką bandaż, który zabezpiecza wenflon w lewej ręce (musiała przed chwilą brać kroplówkę), ale równocześnie z radością dziecka rzuca się w objęcia mojej szefowej. Jej spontaniczna reakcja skierowana jest także do mnie. Mary cieszy się i płacze na przemian, a czasami równocześnie. Od samego początku opowiada, jak wiele działo się w ostatnich dniach. Musiała podejmować różne decyzje i jest ciągle zajęta. Ale to dobrze. Mniej czasu na niepotrzebne myśli. Mówiąc to, chora wymownie przytula się do pani Barbary (wymawia jej imię z akcentem na pierwszą sylabę). Interesuje się również moim życiem: jak długo jestem w Ameryce, jak się czuję, czy mi się tu podoba? Jestem w tym domu zaledwie od kilku minut, a wydaje mi się, jakby minęło parę godzin...

W drzwiach sypialni mijamy pielęgniarkę, która obiecuje pojawić się następnego dnia o tej samej porze. Po jej wyjściu otrzymuję zadania na najbliższe godziny, ale przed pracą rozglądam się jeszcze wokół, by później niepotrzebnie nie marnować czasu. W salonie widzę zgromadzone tekturowe pudła i dużą liczbę worków z naklejonymi adresami. Będę

pakować rzeczy, których właścicielka już nie potrzebuje, ale uznała, że przydadzą się innym i chce je podarować. Sądząc po adresach – różnym organizacjom kościelnym, ale też konkretnym osobom. Mary mówi o tym krótko i z przekonaniem, że jest to dobry pomysł. Oprowadza mnie po domu, by pokazać, co jeszcze warto uprzątnąć, jeśli znajdę czas, po czym zmęczona znika za drzwiami sypialni. W tym czasie moja szefowa krząta się w kuchni. Chce przygotować coś smacznego do jedzenia, co przynajmniej na parę dni zastąpi zamawiane na wynos dania w pudełkach. Pani Basia będzie gotować coś lekkostrawnego, zgodnie z dietą opracowaną w szpitalu. Zadbała o to jeszcze przed przyjazdem. Błyskawicznie rozgościła się w kuchni, pochowała zrobione po drodze zakupy, obrała jarzyny i już coś gotuje, a jednocześnie nieustannie zagląda do chorej, która chwilowo opadła z sił i bezradnie siedzi na swoim łóżku.

W jej pokoju panuje zaduch. Pielęgniarka, która codziennie dba o higienę podopiecznej, zapomniała zabrać worek, z którego unosi się przykry zapach. Robię to pospiesznie, a Mary dziękuje z rozbijającym uśmiechem i bezradnym rozłożeniem rąk. Przeprasza za to, że trzeba jej pomagać. Poza tym ociągłe okazuje wdzięczność, kiedy doprowadzam do porządku jej sypialnię: wietrzę, ustawiam klimatyzację, poprawiam pościel na łóżku, odkurzam. Powoli zaczyna mnie to onieśmielać, bo przecież nic nadzwyczajnego nie robię. Wkrótce widzę, jak energia Mary się ulatnia. Kobieta, pomimo że bardzo chce nam towarzyszyć i przede wszystkim rozmawiać z Barbarą, nagle kładzie się do łóżka i prawie natychmiast zasypia. Jakby tylko czekała na to, aż uprzątnę jej sypialnię. Delikatnie przemykam drzwi, by jej nie przeszkadzać, i idę pomóc pani Basi w kuchni. Kiedy porządkuję zostawione na stole papiery, zwracam uwagę na czek wystawiony za opiekę nad psem.

– Czy tu jest jakiś pies?

– Był, do niedawna. Sąsiadka zgodziła się nim zajmować, gdy Mary musiała pojechać do szpitala. Parę dni temu, uzgadniając telefonicznie nasz przyjazd, powiedziała z płaczem, że właśnie pożegnała się z ukochanym czworonogiem, oddała go w dobre ręce.

– To straszne. Już sama choroba jest wystarczającym powodem do rozpacz, a tu jeszcze dodatkowe cierpienie...

– Prawda. Jednak trzymanie psa do końca – widać, że panią Basię przeraża bezwzględność tych słów – byłoby dowodem egoizmu, a to do niej niepodobne! Pies w domu samotnej i bardzo chorej kobiety to nie jest dobry pomysł.

Szefowa, zwykle powściągliwa, rzeczowa i dość oficjalna, teraz nie może najwyraźniej poradzić sobie z emocjami, więc opowiada historię Mary, która połowę życia spędziła w szpitalach! W niemowlęctwie miała zwichnięty staw biodrowy i przeszła kilka operacji. Potem przeżyła wypadek samochodowy, w którym straciła rodziców i przez pół roku jeździła na wózku inwalidzkim, nie licząc rehabilitacji. Długo cierpiała z powodu samotności, zanim zaczęła sobie z nią radzić, ale ani choroby, ani tym bardziej wiek nie przeszkodziły jej marzyć o miłości. I marzyła, jednak trzy lata temu zdiagnozowano u niej raka. Najpierw był płacz i niedowierzanie, potem chemia, cierpienie pomieszane z nadzieją i ponad dwa lata spokoju. W końcu – przerzuty, załamanie, płacz, i tak bez końca. Właśnie w tym czasie pani Barbara zaczęła przyjaźnić się ze swoją klientką. Spędzała z Mary coraz więcej czasu, nie tylko godziny zarezerwowane na sprzątanie. Pomagała, jak mogła, bo chora w tym czasie musiała przecież pracować. Zajmowała się sprzedażą nieruchomości, więc biuro przeniosła do domu. A teraz, kiedy przeszła wreszcie na emeryturę i mogłaby odpocząć, musi się żegnać ze światem.

– Ta, która niezliczoną liczbę razy powtarzała z wiarą, że przyjdzie dla niej lepszy czas...Taka dobra kobieta! – Pani Basia ociera łzy.

W ostatnich miesiącach była powierniczką sekretów Mary, zna ją jak siostrę.

Rzeczywiście, kobieta budzi sympatię. Uśmiechem, szczerością i spontanicznością. Tym, że jest czuła, wrażliwa i łagodna. W sposób naturalny daje znać, że potrzebuje opieki. Płacze, ale nie za dużo. Prosi i dziękuje. Współczucie może wzbudzać jej wygląd, ale nie charakter.

Okazuje się, że krótki sen wzmocnił Mary na tyle, iż towarzyszy nam już do końca pracy, siedząc przeważnie na wygodnej kanapie w salonie. Żartuje nawet, że jeszcze zdąży się wynudzić w samotności. Patrzy, jak segreguję rzeczy. Śmieje się przez łzy:

– Trzeba zrobić porządek przed śmiercią. Po co to kupiłam? Okropne. Za dużo rzeczy wszędzie!

Czasem pyta całkiem serio:

– Myślisz, że komuś się przyda ta stara lampa?

Albo mówi:

– Dorzuć jeszcze dwa komplety pościeli do worka. Weź z szafy. Powinien zostać dla mnie jeden na zmianę. Jest? To wystarczy.

Na kartce, przypiętej do worka z kocami i poduszkami zapisuje dodatkowo życzenia: dużo uśmiechu i miłości!

– To do domu starców – tłumaczy mi.

Chwilę trzyma w ręce fotografię mężczyzny, może waha się, co ma z nią zrobić? Potem bez słowa odstawia ją na miejsce. Ja w tym czasie siłuję się z pudłami, w których umieściłam książki – prawie wszystkie, które znajdowały się na półkach w jej gabinecie. Porządki odsłaniają wiele niepotrzebnych teraz rupieci: katalogów z pięknymi apartamentami, reklam, gazet. One bez sentymentów lądują w pojemniku na makulaturę.

– Jak mogłam mieć w domu tyle śmieci? I to przez lata! – Właścicielka kręci głową.

Książki zostają niemal natychmiast zabrane: dwaj młodzi chłopcy, którzy pojawili się tu dosłownie przed chwilą, wynoszą je energicznie z mieszkania, podczas gdy trzeci „niespodziewany gość”, mężczyzna starszy od nich, rozmawia z ofiarodawczynią jak z dobrą znajomą. Na końcu żegna się, jeszcze raz dziękując i życząc zdrowia, po czym szybko odchodzi.

Tymczasem ja z zainteresowaniem przeglądam zawartość niewielkiego pudełka: szpulki z nićmi we wszystkich możliwych kolorach, włóczki, również popularny w Polsce kordonek do robienia serwetek. Skąd takie akcesoria z kuferka prababci w domu wykształconej Amerykanki? Jakby w odpowiedzi Mary pokazuje szufladę częściowo wypełnioną ręcznie haftowanymi makatkami, serwetkami, a nawet włóczkowymi ubraniami dla lalek.

– To moja robota – śmieje się. – Nie chciałam być bezczynna na emeryturze, więc poprosiłam znajomą, by nauczyła mnie tych rzeczy. To zupełnie odmienne od mojej pracy, dlatego takie ciekawe.

– Piękne. – Kiwam głową z uznaniem dla takiego niestereotypowego amerykańskiego hobby. – Moja mama też takie robiła – dodaje.

Nici i włóczki zamykam w pudełku razem z serwetkami i pozostałą zawartością szuflady. To też powędruje do domu starców.

Kiedy zajmuję się porządkowaniem łazienki, pani Basia towarzyszy swojej przyjaciółce. Nie wiem, o czym mówią, ale moja szefowa ma wyraźnie zaczerwienione oczy. Żywię nadzieję, że nie będzie mi później relacjonować treści tej rozmowy, że wcześniejsza wylewność była wynikiem chwilowej słabości. Nie mylę się – drogę do domu odbędziemy niemal w absolutnej ciszy. Ale na razie jeszcze jesteśmy tutaj.

Cztery godziny zaplanowane na porządku niespodziewanie szybko mijają. Przychodzi czas na rozstanie, choć nikt nie ośmieliłby się nazwać w ten sposób naszego odejścia. W tych okolicznościach słowo „rozstanie” zabrzmiałoby bardzo złowieszczo, dlatego nie wolno go użyć. Trzeba udawać, że to zwykłe zakończenie pracy. Mnie jest łatwiej, bo to na szczęście nie moja przyjaciółka. Niestety, wstydzę się za siebie, bo nie mogę opanować łez, dlatego jeszcze przed wyjściem z domu nakładam ciemne okulary.

– Do zobaczenia wkrótce – mówi Barbara, uśmiechając się promiennie, a Mary bez słowa przytula ją do siebie i długo nie chce wypuścić z objęć. Nagle przypomina sobie o czymś i wyjmuje coś z nocnej szafki, jakies zawiniątko: dwie niebieskie czapki.

– Sama zrobiłam. – Uśmiecha się. – To dla was, ode mnie.

– Pomyślałaś już o zimie – mówi z uznaniem Basia. – Dla siebie też masz taką?

Mary zagadkowo się uśmiecha, a ja odnoszę wrażenie, że czapka, którą otrzymałam, jest odpowiedzią na to pytanie.

– Pasuje do twoich okularów – żartuje jeszcze pani domu i są to jej ostatnie słowa skierowane do mnie.

Mary zmarła dwa tygodnie po tej wizycie. Była w szpitalu przez kilka dni. W ostatnim czasie nie odpowiadała już na wiadomości od Basi, więc opiekująca się nią wolontariuszka sama napisała do szefowej: „Osoba, z którą pani próbuje się skontaktować, umiera. Nie ma nikogo bliskiego, więc może pani zechce coś do niej napisać, a ja to przeczytam”.

Za chwilę dostała odpowiedź: „Bądź spokojna. Jestem przy Tobie. Modłę się”. Tyle wiem od pani Basi.

Nie od razu zorientowałam się, że czapka, którą otrzymałam w prezencie, jest niedokończona: brakuje jej ściągacza i pompona, detali, dzięki którym nakrycie dobrze leży na głowie.

Ale to jedna z najbardziej ukochanych i niezwykłych rzeczy, jakie mam.

23. Ambicja

Rano była w serwisie okropna awantura z Jasią w roli głównej i ze mną na drugim planie. Myślałam, że obie zostaniemy wyrzucone: Jasia za pyskowanie szefowi, a ja przy okazji, jako jej podopieczna. Góralka pokazała swój temperament w całej okazałości, a szef w niczym jej nie ustępował, więc przerzucali się oskarżeniami i wyzwiskami. Były żale i pretensje, a na końcu bezsilny płacz Jasi i nie wiem, do czego jeszcze by doszło, gdybyśmy nie musiały wysiadać.

Nie minęło parę godzin, a tu Jasia dzwoni spokojna jakby nigdy nic i informuje mnie, że następnego dnia jedziemy pół godziny wcześniej.

– Jak to, już się pogodziliście? Tak po prostu? – Nie mogę się nadziwić. – Po takiej awanturze?

– Ja z szefem nie rozmawiam, ale dzwoniła jego żona. Z nią teraz będziemy wszystko ustalać.

– Myślałam, że po takiej kłótni nie mam już co liczyć na pracę. Nawet planowałam, co innego będę jutro robić! – Czuję, że Jasia nie bardzo rozumie, o co mi chodzi, więc jeszcze dopytuję: – A często się tak kłócicie jak ostatnio?

– W tym roku już trzy razy. Najdłużej nie odzywałam się do niego trzy dni – dodaje rzeczowo moja koleżanka.

– Za co?

– Krzyczał na mnie, że za długo musiał czekać, bo się spóźniłam. On jest w ogóle bardzo nerwowy, ale potem szybko mu przechodzi i czuje się głupio.

Widzę, że Jasia mimo wszystko lubi szefa, chociaż, jak zdążyłam już zauważyć:

1) daleko mu do dżentelmena;

2) wiele razy podkreślał, że nie lubi starych kobiet (sam skończył siedemdziesiątkę);

3) ogląda się za młodymi, ładnymi dziewczynami, będąc przekonanym o swoich wdziękach (jak bardzo chciałabym dołączyć tu jego zdjęcie!);

4) nie potrafi nauczyć się angielskiego!

Według Jasi to dobry człowiek i na dodatek pracowity, chociaż za bardzo nerwowy.

– No, no. Ale ty też masz temperament – mówię z uznaniem. – Tylko czy warto było się tak unosić, skoro on jutro zapomni?

– To mu przypomnę. Nie mam zamiaru się do niego odzywać. Jak on tak mógł zwrócić nam uwagę przy wszystkich! Wiesz, jak te kobiety będą teraz o mnie plotkować?

– Nie masz na to wpływu, więc się nie przejmuj – radzę. Jednak czuję, że Jasia jest bardzo rozżalona.

– On ci niepotrzebnie kazał czytać tę wiadomość – słyszę. – Ale pewnie chciał sprawdzić, na ile znasz angielski. Na drugi raz się nie zgadzaj – instruuje mnie. – On jest szefem, więc sam powinien porozumiewać się z klientami, a nie wciąż tylko liczy na żonę!

Trudno mi to pojąć, ale faktem jest, że jeden zwyczajny SMS uruchomił niemal lawinę nieszczęść.

Po naszej pracy w pewnym domu właścicielka serwisu, pani Basia, otrzymała wiadomość *a little complain* od klientki, która następnie

wyliczyła: w małej łazience było kilka kropli wody koło umywalki, nie schowano odkurzacza do szafki, użyto za mało odświeżacza powietrza. To były, jak zaznaczyła, drobiazgi. Zwykle czepianie się, ale okazało się, że coś takiego może popsuć humor. O to była cała awantura. Pech chciał, że pani Basia, żona Zbyszka, postanowiła wyjaśnić uwagi, dzwoniąc do Jasia na bieżąco, ale ona nie odbierała telefonów. Dlatego następnego dnia szef kazał mi czytać i tłumaczyć SMS-a.

Nie przyszło mi do głowy, że Jasia tak bardzo weźmie sobie do serca treść wiadomości. Nie pomyślałam o tym, że w pracy sprzątaczkki liczy się także ambicja. Czasem nawet bardziej niż w innych zawodach! Jasia wszystkie zadania wykonuje z dużym zapałem i energią, jest staranna i dokładna, a nawet – co już zdążyło mnie zirytować – nadgorliwa. Biorąc pod uwagę jej wiek i choroby, pracuje ponad siły. Ale jest to sensem jej życia. Dzięki temu czuje się potrzebna i jest kochana przez synów, którym wysyła pieniądze. Ma wypełniony czas, nie nudzi się w swoim bardzo skromnym mieszkanku, nadającym się tylko do spania; wtedy niczego nie widać, można śnić o luksusach i wygodach. Za zarobione pieniądze sprawia sobie różne przyjemności, na przykład ciasto marchewkowe. Jest niezależna! Na dodatek czasem ma okazję poczuć się nawet lepsza od innych – gdy jest chwalona. Choćby za to, że z uporem walczyła o odratowanie zaniedbanych, doniczkowych kwiatów, i się udało! Potrafi wyczyścić najbardziej zabrudzoną kuchnię, nieproszona szoruje zapuszczone garnki, wprawiając w zdumienie i podziw właścicieli. Zagląda w każdy kąt i dociera do miejsc już dawno zapomnianych. Codziennie na nowo zaczyna pracę z taką gorliwością, jakby dbała o własny dom. Jasia nie jest święta; w pracy z nią nasłuchiwałam się przekleństw i wyzwisk, ale efekty zawsze można było podziwiać. Zależy jej na pochwałach. Cieszy się jak mała dziewczynka, gdy gospodarze są zadowoleni, a jeszcze bardziej

wówczas, gdy o jej osiągnięciach informują właściciele serwisu. Jasia pęka z dumy, gdy pochwały na temat swojej pracy słyszy w obecności koleżanek z serwisu. Czuje się tak, jakby wręczano jej order wśród oklasków i fanfar.

Zwykle te marzenia o docenieniu pracy się spełniają, ale tym razem trzeba było pogodzić się z oszczerstwem, niesprawiedliwością, słowem – porażką.

Jasia płakała jak mała dziewczynka, a teraz jest obrażona, ale tylko do wtorku. Tak sobie postanowiła.

24. Jasia

Poznałyśmy się z powodu astmy. Jasia była na nią chora i mogła stracić pracę, więc poprzez wspólnych znajomych poprosiła mnie o pomoc na czas wakacji. Jesienią planowała powrót do Polski. Właścicielka serwisu sprzątającego zgodziła się pod warunkiem, że sprawy finansowe będziemy regulować między sobą.

Pamiętam, jak latem 2013 roku zobaczyłam ją pierwszy raz. Z daleka wyglądała jak mała dziewczynka. Dopiero gdy podeszłam bliżej, zorientowałam się, że przykucnęła na trawie i pali papierosa. Czekwała na mnie. Przez krótką chwilę bacznie mierzyłyśmy się wzrokiem. Ja zobaczyłam starszą, niebywale chudą kobietę ze spracowanymi rękami, twarzą pooraną zmarszczkami, z nierówno przyciętą grzywką i życzliwym spojrzeniem. To była przyjaźń od samego początku.

Tamtego lata spotykałyśmy się zawsze o 6.00 i miałyśmy godzinę tylko dla siebie. Potem jechałyśmy sprzątać. Gościnność o tak niezwykłej porze to pomysł Jasi:

– Daj spokój, przecież nie będziesz stała na ulicy, gdy Jacek cię podwiezie. Ja i tak chętnie wstaję rano, więc śmiało zagłądaj – mówiła z przekonaniem.

Było mi wygodnie w to wierzyć.

Jasia zaczyna dzień od papierosa przed domem i tak ją zawsze zastaję. Mając sześćdziesiąt jeden lat i sto pięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, waży czterdzieści trzy kilogramy, chociaż być może i ta liczba jest mocno zawyżona.

– Dlaczego palisz, skoro masz astmę? – zapytałam kiedyś.

Nie potrafiła tego wyjaśnić. Wkrótce wiedziałam już, że pytanie było głupie.

W pamięci utkwilo mi jeszcze kilka naszych zwyczajnych, porannych rozmów.

Jasia mieszka na samym dole okazałego, dwupiętrowego budynku pomiędzy pokojami dwojga Polaków, Ewy i Józka. Mają wspólną łazienkę i kuchnię. Górę wynajmują Meksykanie, których w tej okolicy przybywa z roku na rok jak grzybów po deszczu. Gdy wchodzimy do środka, Jasia wskazuje na okno na górze zakryte tekturą.

– Od razu widać, że tam nie mieszkają Polacy.

Jej pokój jest bardzo ubogi: szafa, łóżko, mały stolik, na którym stoi stary telewizor z miniaturowym radiem i jeszcze jeden stół naprzeciwko, a na nim święte obrazki i zdjęcia dwóch synów.

– Młodszy był tu, ale wytrzymał tylko trzy miesiące – uprzedza moje pytanie. – Śmiali się z niego, gdy pracował na budowie i nie chciał pić wódki ze starymi chłopami. Rzucali w niego papę z góry, tak że nieraz wracał poraniony, ale na nic się nie skarżył. Zabierali drabinę, gdy pracował na wysokości i kazali prosić grzecznie, to oddadzą.

Dowiedziała się o tym wszystkim zbyt późno; zresztą, czy mogłaby temu zaradzić?

– Polacy są tu niedobrzy – stwierdza z przekonaniem. – A szczególnie ci z gór. Znam ich, bo sama jestem góralką.

– Tęsknisz za synami? – pytam, biorąc do ręki zdjęcie uśmiechniętego, młodego chłopaka, który nie wygląda na dwadzieścia jeden lat.

– Pewnie. Jesienią do niego wracam. Siedzę tu już cztery lata i mam dosyć, szczególnie teraz, gdy pojawiły się problemy ze zdrowiem.

– Widzę, że starszy ma już rodzinę?

– Tak, mieszkają w Niemczech, ale żona ciągle choruje, więc wysyłam im, ile mogę, na leki.

Jasia pamięta Polskę z lat osiemdziesiątych. Straciła wtedy pracę w fabryce obuwia, bo firma upadła. Przez wakacje utrzymywała się z tego, co nazbierała w lesie. Nieraz była głodna, więc wyjechała za chlebem. Pięćset dolarów tygodniowo to dla niej za dużo, nie potrzebuje tyle, więc wysyła synom. Opowiada mi o swoim życiu bez cienia pretensji w głosie. Nie wyobraża sobie innego, chociaż tę piękniejszą część świata tylko sprząta.

Każdego kolejnego dnia naszym rozmowom towarzyszy rytuał przygotowań do wyjazdu. W olbrzymiej, jasnozielonej torbie mieści się ubranie na zmianę, parę ściereczek, gąbeczek i zmywaków, „jakich nikt nie ma”, kanapki i napoje oraz duża liczba leków i inhalator, który też może się przydać. Jako nowicjuszka chętnie słucham rad, dotyczących zastosowania różnego typu urządzeń do utrzymywania porządku. Na pytanie, czy są takie w Polsce, bezradnie rozkładam ręce.

– Dostaniesz ode mnie w prezencie porządne piórko do usuwania kurzu – słyszę.

Przez następne dni jeździmy razem do pracy: pomagam Jasi słać olbrzymie łóżka z baldachimami, ścieram kurze z trudno dostępnych miejsc i dźwigam ciężki sprzęt. Staram się, jak mogę. Przy okazji zwiedzam okolice Chicago i podziwiam domy. Z serwisu korzystają zarówno właściciele wielkich posiadłości, jak i bardzo przeciętnie, a nawet skromnie

żyjący ludzie. Większość bardzo szanuje to, co robimy; powoli oswajam się z serdecznymi uściskami i uprzejmościami na pożegnanie. Uczę się też, jak na nie zasłużyć. Amerykańskie rezydencje robią na mnie wrażenie. Są w nich windy, baseny, duże samochodowe hangary, ale ja z każdym dniem coraz bardziej czekam na poranne spotkania w mieszkanku z oknem tuż nad ziemią.

Właśnie siedzę na jedynym w pokoju krześle i podziwiam skarby Jasi. Jest wśród nich lampa z kolorowym abażurem, jakby z innego świata. Otrzymała ją od jednej pani, u której sprzątała. Podobnie było z kolorowym, plastikowym zajęcem-doniczką, do którego dokupiła mały bukiet sztucznych różyczek. Jest jeszcze śliczne serduszko.

– Dostałam w polskim kościele na Dzień Matki – mówi z przejęciem.

I stroik bożonarodzeniowy.

– Po prostu nie ma gdzie go schować – tłumaczy, zanim zdążyłam zapytać.

– Ale masz ciuchów. – Kiwam głową z podziwem, gdy pokazuje mi zawartość szafy.

– Większość dostałam. Nieraz się zdarza, że pani przytyje i nie ma co zrobić ze swoimi rzeczami, więc daje mi. Otrzymuję też czasem nowe ubrania za dobrą pracę.

Jasia pokazuje z dumą wszystkie swoje skarby. Cieszy ją używana apaszka w krzykliwych kolorach, nowa zapalniczka, za duża niemodna kurtka.

– Komuś na pewno się przyda – słyszę.

Nie dziwię się Amerykankom, które dają Jasi prezenty, ale to przede wszystkim ona dzieli się tym, co ma.

– Dam ci jednego papierosa, spróbujesz. Zapalimy sobie po pracy – proponuje mi pierwszego dnia znajomości.

Gdy zbliżał się dzień wylotu, już po pożegnaniu się, otrzymałam od niej telefon:

– Mam dla ciebie prezent od Tosi. Chciała się zrewanżować za to, że pamiętałaś o jej imieninach. Masz od niej fajną torebkę i rajstopy.

A za chwilę drugi telefon:

– Wiesz, tak zachwalałam tę torebkę, ale ona jest przetarta na dole. Stara. Dam ci jeszcze nową od siebie. Nie protestuj. Wiem, że lubisz duże torebki. Mnie nie jest potrzebna.

Po kilku takich wizytach zdążyłam nawet poznać część jej współlokatorów, sąsiadów zza ściany.

Józka znam tylko z opowiadań, bo gdy przychodzę, jest już w pracy od niemal pół godziny. Wiem, że mały ogródek przed domem to jego dzieło, prywatny kawałeczek Polski. Z daleka podziwiam ogórki i koperek.

– Parę dni temu nie mieliśmy przez niego spokoju w domu – słyszę. – Upił się, a wtedy zachowuje się strasznie. Zaświnił całą łazienkę, a do Ewy przyszli akurat goście na urodziny. Przynieśli jej tego storczyka. – Jasia pokazuje na kwiat stojący na stole w kuchni.

– Piękny – mówię. W życiu nie widziałam tak ładnego, dużego storczyka. W Ameryce wszystko jest okazałe, najlepsze na świecie.

– Co z tego, jak popsuł jej całą imprezę? Łazienka nie nadawała się do użytku. I jeszcze ten pijacki bełkot. A na dodatek Józek po tej balandze o piątej rano pojechał samochodem do pracy. Modliłam się, żeby chociaż szczęśliwie przeżył ten dzień. A Ewa do dziś się do niego nie odzywa.

Ewę spotykam podczas jednej z wizyt u Jasi. W przerwie pomiędzy jednym i drugim sprzątnięciem (dwie różne prace, jedna w nocy) nie wygląda na zmęczoną. Robi to od wielu lat. Na mój widok uśmiecha się przyjaźnie. Sprawia wrażenie osoby bardzo opanowanej, więc nie wyobrażam sobie tej awantury z Józkiem. Dziewczyny zawsze tak samo się żegnają

i wymieniają uprzejmości. Dlatego teraz, przez zamknięte drzwi pokoju Jasi, słyszę:

– Cześć, do zobaczenia!

I odpowiedź tą samą drogą, przez zamknięte drzwi:

– Pa. Trzymaj się, Ewa!

To ostatnie zdanie wybrzmiewa, gdy jego adresatka mija już zapewne kuchnię i zbliża się do drzwi wyjściowych, ale mam wrażenie, że jest potrzebne.

– Ewa jest dobra. Robi mi zakupy, no i opiekowała się mną, gdy w zeszłym roku byłam chora na zapalenie oskrzeli, a moja rodzona siostra nawet do mnie nie przyszła. Czułam się wtedy taka słaba, przez trzy dni nic nie jadłam i nie wstawałam z łóżka.

Dowiaduję się przy okazji, że większość rodziny Jasi żyje w USA (Chicago i Nowy Jork), wszyscy mają dobre biznesy.

– Ewa jest dość opiekuńcza – podsumowuje Jasia, nadając określeniu „dość” nowe znaczenie.

Jasia bardzo lubi Ewę, ale ma też przed nią sekrety. Któregoś dnia przyznała mi się, że od czasu do czasu pije z Józkiem wódkę, „dla towarzystwa”.

– Wiesz, miałam imieniny i zostało mi jeszcze pół butelki wódki, która stała w lodówce. I Józek na to patrzył. Wczoraj nie wytrzymał i zaproponował, byśmy wypili za moje zdrowie. Ja nie piję, ale ten pomysł ze zdrowiem bardzo mi przypadł do gustu, więc korzystając z nieobecności Ewy, opróżniliśmy butelkę. Ja tylko na dnie kieliszka, resztę Józek – tłumaczy mi. – Żeby smutny człowiek nie pił sam.

Pomimo traumy związanej z alkoholizmem męża, który już dawno zginął w wypadku (przez wódkę!), moja przyjaciółka nie czuje niechęci do alkoholików.

– Mój mąż nie był taki zły – słyszę. – Jak nie pił, to nawet pomagał mi gotować.

– A jak często nie pił?

– Całymi tygodniami nie trzeźwia!

Jasia nieraz daje na mszę za męża. Ostatnio nawet usłyszała, że proboszcz z jej parafii w Chicago zbiera intencje, bo jedzie do Częstochowy. Ksiądz był już w Polsce, kiedy zostawiała ofiarę, ale w kancelarii zapewniono, że będzie się modlił.

Taką Jasię zapamiętałam z pierwszych wakacji w USA.

25. Pierwsza historia

opowiedziana przez Jasię

Moje kontakty z Jasią związane były głównie z pracą, ale z czasem zaczęłyśmy spędzać wspólnie wolny czas, jak przed rokiem, jedząc jej ulubione marchewkowe ciasto, które „nie jest tak słodkie jak amerykańskie”. W trakcie tych zbyt krótkich spotkań, kiedy odwiedzała mnie w domu, po prostu rozmawiałyśmy. Kilka razy udało mi się nakłonić ją do zwierzeń. Pewnego razu usłyszałam:

– Mieszkałam kiedyś z Wandą. Bardzo ładna kobieta. Pokażę ci zdjęcie, gdy do mnie przyjdiesz.

– Nigdy o tym nie wspominałaś. To musiało być bardzo dawno?

– Tak, to było wtedy, gdy przyjechałam do Ameryki, wiele lat temu.

– Poznałyście się w serwisie?

– W tamtych czasach nie znałam jeszcze pani Basi. Pracowałam jako opiekunka starszej, schorowanej kobiety w południowej części miasta, niedaleko lotniska Midway. Nie miałam łatwo. Musiałam nie tylko dzień i noc zajmować się chorą, towarzyszyć pani Tess, gotować i pracować, ale przede wszystkim znosić jej trudny charakter, napady złości i tak dalej.

– Rozumiem, że Wanda też tam była?

– Tak. Okazało się, że staruszka to jakaś jej krewna. Wanda przyjechała z Polski i potrzebowała pomocy do czasu, aż się usamodzielni. Krewna miała duży dom i trzeba przyznać, że pomogła, nie odwróciła się od

rodziny, a z tym, wiadomo, różnie jest w Ameryce. Ale Wanda nadspodziewanie szybko sobie poradziła, bo po miesiącu miała już pracę i mieszkanie na tyle atrakcyjne, że i mnie tam zabrała.

– To ładna wdzięczność! Ciotka musiała być wściekła.

– Wanda nie miała sentymentów, to prawda, ale dzięki temu szybko poradziła sobie w nowej rzeczywistości. A jeśli o mnie chodzi, to już ci mówiłam, ta praca nie była dla mnie. Odeszłam stamtąd w samą porę. Ciotka chyba nie zdawała sobie sprawy z tego, co dzieje się wokół niej. Była nieobliczalna i nie do końca świadoma. Często obrażała wszystkich wokół. Pewnego razu, gdy się obudziłam, stała nade mną z kuchennym nożem w ręku. Może chciała mnie poprosić, bym jej coś ukroiła, ale ja przestraszyłam się na dobre i już nie miałam zamiaru tam pracować. Poza tym polubiłam Wandę, chociaż nie od początku. W każdym razie po tym wydarzeniu nie zastanawiałam się ani chwili. Dołączyłam do ekipy sprzątającej, w której ona już była. Wanda wytrzymała tam pół roku, a ja zostałam na dłużej.

– A to wspólne mieszkanie? Ładne było?

– Wygodne, jasne i przede wszystkim nie w suterenie, a ja przyjechałam z Polski chora na astmę. Mieszkałyśmy przy Archerze: blisko do polskiego kościoła, piekarni, sklepu Shop and save – żyć nie umierać! Do tego oddzielne pokoje z łazienkami, ładna kuchnia z jadalnią i wygodny salon. Miałyśmy do dyspozycji nawet mały ogródek za domem i miejsce na grilla. Było to moje najlepsze mieszkanie. A Wandzie niejedna kobieta mogłaby pozazdrościć: miała jeszcze lepiej, bo wyraźnie spodobała się właścicielowi tego domu. To Amerykanin, jednak polskiego pochodzenia i niezłe mówił po polsku. Posiadał w tym domu swoje biuro i często tam przebywał, a szczególnie wtedy, gdy wracałyśmy z pracy. Zapraszał nas na piwo, to znaczy głównie Wandę, a mnie przy okazji, bo tak wypadało. Przystojny

był dosyć i nie stary; mnie się podobał. No, ale on na mnie nie zwracał uwagi, tylko wpatrzony był w Wandę. Parę razy gdzieś nawet wychodzili, jednak jak się zorientowała, że może mu za bardzo zawrócić w głowie, powiedziała, że chce się tylko przyjaźnić. Nie wiem, czy dobrze zrobiła. Mogłaby wyjść za niego za mąż, mieć dom i od razu inne życie. Ale mówiła, że go nie kocha.

– Miałaś idealne warunki. Dlaczego z nich zrezygnowałaś? – Kręcę głową z niedowierzaniem.

– Bo Wanda nie była bez wad. Za dużo piła.

Widziałam polskich alkoholików w Ameryce. Kręcili się wokół miejsc, w których można było spotkać pracujących rodaków, i prosili o wsparcie. Przygębiało mnie to, dlatego zapytałam:

– Starłaś się jej pomóc?

– Mówiłam, jak skończył mój mąż, że wpadł w Polsce pod samochód. Opowiadałam jej o ludziach, którzy z dnia na dzień tracili w Ameryce pracę i stawali się bezdomni; to były historie konkretnych osób, z różnych miast: Zakopanego, Nowej Dęby, Cieszanowa. Podawałam fakty, żeby przemówić jej do rozumu... Na nic. Mało tego: nawet chciała, żebym z nią piła. Po jakimś czasie sama zorientowała się, że ma problem, bo zaczęła to ukrywać. Kiedy mieszkaliśmy razem, trzymała alkohol pod poduszką i upijała się przed snem, żeby nikt nie widział. Nie lubię wódki, więc wyprowadziłam się od niej, ale nadal razem wychodziłyśmy. Nikogo więcej nie miała oprócz mnie. Kiedyś upiła się na imprezie i ja musiałam się za nią wstydzić. Zaprosiła nas znajoma, która wracała do Polski. Cały wieczór opowiadała, jak nie może się już doczekać, aż wreszcie zobaczy syna po dziesięciu latach. Pozna jego żonę i będzie przy narodzinach pierwszego wnuka. Planowała, że przed wyjazdem pójdzie do fryzjera i kosmetyczki, bo paznokcie muszą być koniecznie długie i czerwone, bez śladu ciężkiej

pracy. Wanda słuchała i piła coraz więcej. Gdy impreza się skończyła, musiałam ją odprowadzić do domu. „Przejdę się, to mi dobrze zrobi. Potrzebuję świeżego powietrza”, wybełkotała, a ja pomyślałam, że to dobry pomysł, tym bardziej że też chciałam się przejść. Poza tym, jeszcze przed imprezą uzgodniłyśmy, że ją odprowadzę i prześpię się w swoim dawnym mieszkaniu. W Chicago z powodu dużej wilgoci i upału prawie nie da się oddychać w dzień. To była jedyna okazja, by poczuć w miarę rześkie powietrze, bo zbliżała się druga w nocy. Miałyśmy przejść niecałe dwa kilometry; spodziewałam się, że w najgorszym razie zajmie nam to godzinę, ale się myliłam. Do domu dotarłyśmy przed piątą. Wanda co chwilę się zataczała i upadała po drodze, a ja pomagałam jej wstać. Kilka razy siadałyśmy, żeby mogła odpocząć. W czasie tych przystanków musiałam słuchać jej opowieści o mężczyznach, którzy zawsze są łotrami, ale ona jeszcze wszystkim udowodni, że na wiele ją stać. „Zobaczysz, w Ameryce osiągnę sukces”, mówiła, a ja kilka razy zapewniałam, że w to wierzę. W końcu tak się zmęczyła, że nie była w stanie się podnieść. Upadła w jakieś krzaki, tak że wystawały jej tylko nogi. Ja stałam bezradnie obok i musiał to chyba zauważyć jakiś kierowca, bo zawiadomił policję. Nie zapomnę, jak po kilku minutach pojawiła się razem z karetką pogotowia i strażą, na sygnale! W Polsce to by było dopiero zbiegowisko, ale tu na szczęście jest inaczej. Wszędzie ruch i dużo ludzi, nawet późnym wieczorem, więc nic nikogo nie dziwi. Mimo to byłam przerażona. Musiałam tłumaczyć policjantom (nie znając języka!), że koleżanka czuje się dobrze, jest tylko trochę pijana, ale ja ją na pewno odprowadzę do domu.

– No, no... – powiedziałam z uznaniem. – To przygoda, jakiej nie powstydziliby się niejeden szanujący się pijak!

Pomyślałam, że nawet chicagowscy policjanci musieli być pod wrażeniem niepozornej emigrantki spod Nowego Targu, skoro po zbadaniu stanu zdrowia jej pijanej koleżanki (która wtedy już zdążyła ze strachu trochę wytrzeźwieć) doszli do wniosku, że kobiety mogą kontynuować podróż i odjechali. Z dalszej relacji Jasi wynikało, że ten incydent w żaden sposób nie wpłynął na jej relacje z Wandą.

– Kiedy razem sprzątałyśmy, ona nieraz sobie popijała, bo wiedziała, że jej pomogę i nie zostawię w domu nieporządku. Kilka razy przyszła na gazie, bo wiedziała, że idziemy razem do pracy, a gdy znalazłyśmy się na miejscu, prawie od razu ucinała sobie drzemkę. To było w miejscach, które znała, więc podejrzewała, że przez kilka godzin nikt z domowników raczej się nie pojawi. Ja za nią sprzątałam i jeszcze musiałam pilnować, by nikt jej nie nakrył na tym wylegiwaniu się.

– I właściciele serwisu tego nie zauważyli?

– Wanda nie była głupia. Kiedy źle się czuła, to po prostu spała w drodze do pracy. Nikogo to nie dziwiło, bo nieraz wykorzystujemy poranną podróż na drzemkę.

– No tak – przytaknęłam. – Rano człowiek nie wdaje się w zbędne dyskusje. Ale czy to możliwe, żeby nikt nie wyczuł zapachu?

– Możliwe, jeśli działa klimatyzacja. Do tego Wanda zawsze żuła odświeżające gumy i siadała koło mnie, na ostatnim siedzeniu, a ja nigdy na nikogo nie donosiłam.

Cała Jasia.

– Powinam się tego domyśleć – powiedziałam rozbawiona. – To dlatego nie pracujecie już razem?

– Nie, ona umarła. Zapiła się na śmierć krótko po tym, jak w końcu wyrzucono ją z pracy, a ja nieraz wspominam, jak było i nawet nie jestem na nią zła. Wiesz, ona mówiła, że w Polsce pracowała jako lekarz i coś tam

się takiego stało, że musiała wyjechać. Ja wiem, czy to prawda? Każdy tu opowiada jakąś swoją historię, a kto to sprawdzi? Faktem jest, że nie chciała wracać do kraju za żadne skarby, a tu nic innego nie mogła robić, tylko sprzątać. Chyba nie umiała się z tym pogodzić.

26. Druga historia

opowiedziana przez Jasię

Kiedy odwiedzałam Jasię w czasie mojego pierwszego pobytu w Chicago, poznałam jej sąsiadkę Ewę, która na co dzień zajmowała się sprzątaniami biurowców w śródmieściu. Słyszałam, że przeżyła w życiu niejeden dramat, ale kto go nie przeżył? Jej historię znałam dość pobieżnie do czasu, gdy w zimie Jasia ciężko zachorowała i mogła liczyć na Ewę bardziej niż na rodzoną siostrę. Po powrocie do zdrowia podkreślała, jak bardzo jest wdzięczna za „uratowanie życia”. Wtedy zaczęłam bardziej interesować się losami niewysokiej blondynki.

– Ewa to góralka, jak większość moich znajomych – usłyszałam od Jasi. – Pochodzi z okolic Poronina, Chodoły czy Chodołów, nigdy nie pamiętam. W Polsce się wykształciła i mówi, że pracowała kilka lat w przedszkolu. Pewnie była przedszkolanką, bo na kucharkę czy inną fizyczną pomoc nie wygląda.

Pokiwałam głową na znak, że się zgadzam, chociaż polskie wykształcenie Ewy nie było w Ameryce istotne.

– Ma w Polsce rodzinę?

– Pewnie. Ma syna, no i męża. O tym mężu to szkoda mówić, więc ona przeważnie go nie wspomina, ale są tu ludzie z Poronina i znają tego bandytę.

– Nie przesadzasz?

– Mogę tak powiedzieć, bo teraz siedzi za kratkami. To taki niebieski ptaszek, co się go nigdy robota nie trzymała, tylko handlował, kombinował, aż się doigrał. Dostał wyrok za handel kradzionymi samochodami. Ale to recydywista, niczego się na swoich błędach nie nauczył.

– Ewa musi to bardzo przeżywać, przecież zostawiła z nim syna!

– Na szczęście odeszła od niego dużo wcześniej, razem z dzieckiem. Może kiedyś postara się o rozwód. Widzę, że jest wytrzymała, więc naprawdę musiał jej dopiec, że tak zdecydowała. Uciekała raz, drugi do swoich rodziców, aż w końcu tam została. Potem brat ją namówił na przyjazd do Ameryki, że tu łatwiej się dorobi, dom szybciej kupi w Polsce, no i zaoszczędzi na to, żeby Tomek zdobył dobry fach i na starość jej pomógł.

– Świetnie, że chciał ją wesprzeć.

– Nie wiem, jaki Ewa miała plan, ale starała się o tę wizę razem z synem. Oboje pojechali do Krakowa, odświętnie się ubrali i stali na deszczu przed konsulatem na Stolarskiej. Chcieli się schować pod dach, to ktoś ich przegonił, że tam nie wolno. Trzeba było grzecznie czekać po drugiej stronie ulicy, nie za blisko budynku. Kiedy wreszcie weszli do środka, Ewa była tak znużona i senna, że niewiele zapamiętała z rozmowy z pracownikiem konsulatu. Tyle tylko, że okazał się bardzo miły, ale widocznie coś mu się nie spodobało, bo odeszli z kwitkiem. Potem ktoś doradził, żeby składali podanie o wizę oddzielnie. No i posłuchała, chociaż znowu musiała pożyczyć kilkaset złotych na tę krótką rozmowę. Tym razem pomogli rodzice. Kolejny urzędnik zdecydował o jej życiu inaczej niż pierwszy. Do dziś dziękuje Bogu i modli się za niego, bo zarabia, wysyła synowi pieniądze i odkłada na dom. Ale to jeszcze potrwa. Tomek dobrze się uczy i chce studiować, a jej rodzice są coraz starsi...

– To musiało być trudne. Przyjechała tu sama, dorastającego syna zostawiła w Polsce...

– Było trudne, dlatego długo się wahała, no i ostatecznie podjęła tę decyzję. Poza tym do końca nie wiedziała, co ją czeka. I dobrze... W przeciwnym razie ludzie nie decydowaliby się na takie rozłąki: życzenia świąteczne przez WhatsAppa, leczenie chorób na odległość, chcesz powiedzieć coś ważnego, a tu akurat słabe połączenie. A ile myślisz i przeżywasz w czasie tych długich godzin, gdy się nie widzicie!

To, co mówi Jasia, brzmi wiarygodnie. Ona też mieszka daleko od swoich dzieci i wnuków.

– A syn dostał w końcu wizę?

– W końcu dostał, ale nie tak od razu. Chyba trochę się pogubił bez rodziców, bo jak kończył gimnazjum, Ewa nieraz płakała po nocach. Pojechał do konsulatu, gdy chodził już do szkoły średniej. Poszedł w bluzie, którą dostał od matki: granatowej i z kapturem, ale tak wypłowiałej, że można w niej było chodzić tylko do pracy. Tomek uparł się jednak, że tak ubrany pojedzie do Krakowa, i dopiął swego. Urzędnik od razu zwrócił uwagę na tę bluzę, bo miała znaczek pewnej amerykańskiej firmy. „Pracowałem w tej firmie”, powiedział i się uśmiechnął. No i Tomek wreszcie dostał wizę.

– To matka się ucieszyła?

– Pewnie, ale jak się wkrótce okazało, radość była przedwczesna. Ale była, to fakt. I trwała przez cały okres przygotowań do przyjazdu: od kwietnia do końca czerwca! Ewa od razu kupiła synowi bilet, na ubiegłe wakacje, rok przed maturą. Przeżywała to spotkanie, bo oni nie widzieli się już wtedy pięć lat. Rozmawiali przez telefon, potem na Skypie, ale to nie to samo, co spojrzeć w oczy albo przytulić czy zrobić porządną awanturę.

Kiedy matka wyjeżdżała z Polski, syn był jeszcze małym dzieckiem, a po kilku latach zmienił się w kawalera, miał już dziewczynę. Inny człowiek!

– Od tego czasu minął już rok – przerwałam, bo historia coraz bardziej mnie wciągała.

– Pamiętam ten dzień... To był piątek, więc mogliśmy pojechać na lotnisko we trójkę. Józek kierował, a ja wybrałam się dla towarzystwa. Ewa nie musiała nic mówić. Wiedziałam, że tego potrzebuje. Wystarczyło ją obserwować w ostatnim tygodniu: na oko schudła ze dwa kilo. Ciągłe się krzątała, kupowała prezenty, przeniosła do mnie materac, żeby syn dobrze się czuł sam w jej pokoju. Była też u fryzjera! Nawet tort czekał w lodówce i buty sportowe, te, które Tomek sobie wybrał, stały na stole obok pizzy, gdy wróciłam ze sprzątaniam. Ona pracowała tego dnia dłużej ode mnie, jak na złość, więc kiedy wpadła do domu około siedemnastej, nic już nie jadła, tylko wzięła prysznic i pojechaliśmy.

– Ubrała się tego dnia wyjątkowo?

– Skąd, Ewa nie przywiązuje wagi do ubrań. Nawet jej mówiłam, żeby sprawiła sobie coś ekstra na tę okazję, ale ona wolała wydać więcej na prezenty. Tylko te włosy miała zrobione, ładniejsze niż zwykle. Nawet Józek jej powiedział, że elegancko wygląda, ale chyba nie słyszała, taka była zaaferowana przyjazdem syna.

To, co działo się dalej, Jasia opowiedziała mi rzeczowo i bez emocji.

Na lotnisku przebywało pełno ludzi, więc stali najpierw w dużym tłoku. Samolot był opóźniony godzinę, a potem ponad dwie godziny minęły, zanim zaczęli wychodzić pierwsi pasażerowie. Wszyscy zszokowani, że tak późno – po prostu pechowy dzień.

Było niewiele przed północą, więc Jasia poczuła zmęczenie i usiadła na ławce, jak tylko zaczęły się zwalniać miejsca. Ewa cały czas czekała w tłumie tych, których bliscy jeszcze się nie pojawili. Robiło się nerwowo.

Szczęściarze, którzy już byli po odprawie, wychodzili ze wściekłymi minami, że tyle musieli czekać. Mówili, że w jednym czasie przyleciało kilka samolotów i stąd taki rozgardiasz. Bardziej niecierpliwi podchodzili do obsługi lotniska z nadzieją, że dowiedzą się więcej, ale widzieli tylko bezradnie rozłożone ręce. Pasażerowie z kilku samolotów zdążyli się wymieszać: tuż obok Polaków wychodzili Niemcy, Hindusi, Norwegowie, Chińczycy. Jasia próbowała zagadywać Ewę, odwrócić jej uwagę od tego, co się dzieje, ale to okazało się bardzo trudne. Niewiele mówiła, więc w końcu i Józek dołączył do siedzącej koleżanki, a Ewa stała wpatrzona w jeden punkt. Nie zachowywała się nerwowo i głośno jak część oczekujących, ale widać było, że jest bardzo spięta. Nie tknęła nawet kawy, którą przyjaciele przynieśli jej z baru. Po północy wyszła następna grupa Polaków, a po niej dwie kolejne, już mniejsze. Mężczyzna, który czekał z bukietem kwiatów niedaleko Ewy, wreszcie ruszył z wyraźną ulgą w kierunku wychodzących kobiet, ale jedna z nich ze złością odrzuciła ten miły gest. „Tomek na pewno by tak nie zrobił, gdyby teraz wyszedł. Przecież to nie wina matki, że musiał tyle czekać”, pomyślała wtedy Jasia. Ale Tomka ciągle nie było...

Około pierwszej w nocy zrobiło się naprawdę luźno i spośród kilkuset osób, które jeszcze niedawno znajdowały się w tym miejscu, została tylko garstka. Jasia zaczęła rozpoznawać twarze tych, którzy czekali równie długo.

Minęła kolejna godzina, a Józek coraz częściej nerwowo patrzył na zegarek. Następnego dnia, jak zwykle, wybierał się do pracy. Podobnie Ewa. Ona planowała wrócić do domu, gdy jej syn zdąży się już porządnie wyspać po podróży. Tylko Jasia miała wolne, ale oczy kleiły się same i chętnie położyłaby się do łóżka. Nic dziwnego: była trzecia nad ranem

i jeszcze kilkoro oczekujących. Wreszcie do Ewy zadzwonił zaniepokojony brat.

– Czemu się nie odzywasz? Jesteście już razem? Miałaś zadzwonić.

– Czekam.

Ta krótka informacja podziałała na tyle mobilizująco, że mimo ważnych obowiązków mężczyzna kilka razy próbował połączyć się z konsulatem. Po jakimś czasie się udało. Wtedy usłyszał, że pasażer Tomasz Z. został, niestety, zatrzymany na lotnisku. Będzie odesłany do Polski najbliższym samolotem. Dostał kolację i ma gdzie spać. Powodem było odmówienie wjazdu do USA. Zaszło podejrzenie, że młody chłopak nie przyjechał do Ameryki w celach turystycznych. Przejrzano jego telefon, gdzie odnotowano kontakt z mężczyzną z Chicago. Zauważono niestosowne pytania o ewentualną pracę i zarobki. Konsul zapewnia, że mężczyzna bezpiecznie wróci do swojego kraju następnego dnia.

To wszystko brat przekazał Ewie przed piątą rano.

Nie płakała, ale to, co zobaczyła Jasia, wydawało się gorsze niż lament. Nie była w stanie sama wejść do toalety, więc poszły razem. Wymiotowała długo i głośno, jakby chciała wyrzucić z siebie to poczucie beznadziei, które gromadziło się w jej głowie przez lata, a tego dnia wezbrało z całą mocą. Natura pozwoliła jej przynajmniej na chwilę pozbyć się goryczy, bezsilności, bólu i rozpacz. Koleżanka pomogła jej umyć twarz i wyciągnęła niemal siłą na zewnątrz. Ewa wyglądała tak, jakby nie było w niej życia. Miała zimne ręce, ale wróciła do niej świadomość.

– Musimy stąd szybko jechać! Jak ty Józek jutro wstaniesz? – martwiła się.

Przyjaciele zaprowadzili ją do samochodu, zawieźli do domu i posadzili na kanapie w salonie. Jasia schowała buty i pizzę, ale Ewa nie zwróciła na to uwagi. Nie kładła się tego dnia spać. Nigdy o tym nie mówiła, ale na

pewno myślała o Tomku: czy nie jest głodny? Czy już śpi? Byli tak blisko siebie...

O szóstej zaczęła się szykować do pracy. Pojechała, jak zwykle, do Downtown.

– A co z synem? – zapytałam.

– Wrócił do Polski i nie wybiera się do Stanów. Dostał zakaz wjazdu, chyba już do końca życia. Przepraszał matkę za te SMS-y do znajomego, ale on tylko tak pisał z ciekawości, trochę dla szpanu przed kolegami.

– Myślisz, że Ewa nadal to przeżywa? Jest taka spokojna... No i troszczy się o innych bardziej niż ktokolwiek!

– Zawsze, odkąd pamiętam, taka była.

– Rozmawiacie czasem o tym pechowym dniu?

– Nie, bo nigdy do tego tematu nie wraca. To dowód, że bardzo przeżywa, ale i z tym kiedyś sobie poradzi. Pracuje, żeby nie myśleć. Dalej rozmawia z synem kilka razy w tygodniu. Tylko zdrowie jej szwankuje, bo pochyłona jest bardziej niż przed rokiem. Już drugi raz po Bożym Narodzeniu wykupiła sobie rehabilitację.

– Wraca do Polski?

– Mówi, że za rok. Ale tu wszyscy tak mówią...

27. Niezwykła kobieta

– Dzisiaj zaprowadzę cię do Rose, bardzo fajnej kobiety – obiecuje mój amerykański szef Zygi pewnego bardzo słonecznego dnia.

– Cieszę się – odpowiadam. I idę sprzątać.

Dom jest bardzo przeciętny, raczej z tych „biednych”, to znaczy takich, które mają średnio zamożni obywatele albo ci, którzy nie przywiązują wagi do rzeczy materialnych. Cztery sypialnie na parterze, przytulny kącik dla psa i kota (amerykański standard) oraz zaadoptowana na mieszkanie piwnica z ładnym kominkiem i bogatą płytoteką w głównym pomieszczeniu. W domu jest sporo książek. Większość zalega na cienkich półkach, które uginają się pod ich ciężarem, inne panoszą się w łazience i toalecie, na kuchennym stole, na podłodze, koło kominka, na barku z alkoholem.

– Proszę je tak zostawić – informuje na wstępie właścicielka, sympatyczna starsza pani, chyba już na emeryturze. Na czas sprzątanía postanowiła zostawić mnie samą, ale wcześniej pyta:

– Jakiej muzyki lubisz słuchać?

Zaskoczona milczę przez chwilę, więc zaczyna wymieniać, by pomóc mi w wyborze. Następnie włącza to, o co poprosiłam, i żegnamy się na kilka godzin.

– Jeśli będziesz miała problem, zadzwoń.

Zostawia numer telefonu.

Jest to dom z mnóstwem bibelotów, pamiątek z różnych stron świata, których kupowanie chyba nieco wymknęło się spod kontroli. Eleganckie afrykańskie statuetki wojowników i szamanów stoją obok porcelanowych filiżanek, rokokowych figurek, buteleczek z kolorowymi miksturami lub bez zawartości. Na ścianach wiszą karnawałowe maski, akwarele i zdjęcia, których spora liczba, oprawiona w ramki, rozmieszczona została również na stolikach wśród drobnych bibelotów, jarmarcznych świecidełek, a nawet plastikowych owoców. Cały ten bałagan ma swój wyjątkowy klimat i od początku wiem, że jest to dom z charakterem. Utwierdza mnie w tym przekonaniu widok z salonu, za którym rozpościera się las. Nie wątpię, że dzikie zwierzęta nieraz wpadają z wizytą do uroczej gospodyni, zachęczone ciszą lub zwabione czymś jeszcze... Z jadalni można wyjść wprost na taras z drewnianą podłogą i barierką, która tylko pozornie wyznacza jakieś granice.

Nie przyszłam tu z wizytą, więc po chwili zabieram się do pracy. Dom nie jest zaniedbany. Widać, że właścicielka regularnie korzysta z serwisu. Moja praca polega głównie na odkurzaniu, co nie stanowi żadnego problemu po ponadmiesięcznej praktyce. Delikatnie dotykam przedmiotów, które być może przejechały kawał świata, zanim się tu znalazły. Niektóre prawdopodobnie zostały wykonane ręcznie: oryginalnie zdobiona hebanowa ława, półka na afrykańskie trofea, stół. Może ten sam artysta wyrzeźbił dwa drewniane stołki do kompletu, które w tym domu służyły za podstawki do nocnych lampek z szerokimi abażurami.

Ze zdjęć wynika, że ich autorka lubi fotografować i zwiedziła już spory kawałek świata; zdjęcia są z różnych kontynentów, jakieś wyprawy statkiem, roześmiane dzieci na plaży, piramidy, a w tle zachód słońca.

Po paru godzinach pracy dom staje się piękniejszy. Dzięki głośnikom wszędzie słychać muzykę.

Nie zostało mi wiele do zrobienia, nie muszę się spieszyć.

Gdy Rose wraca z zakupami, oznajmia, że wybiera się na spacer z psem, a ja mogę zjeść lunch, który czeka na mnie w kuchni. Jeszcze przed wyjściem bardzo uprzejmie dziękuje za wyczyszczenie kratki wentylacyjnej. Okazuje się, że nie musiałam wykonywać tej pracy, a za zrobienie tego otrzymuję dodatkową zapłatę: czterdzieści dolarów. Zmieszana, szepczę tylko „dziękuję”, zamiast okazać radość w sposób bardziej widowiskowy, po amerykańsku. Nie protestuję, bo na pewno byłoby to źle odebrane, mogłabym sprawić przykrość, a tego bardzo nie chcę. Ponieważ pracy nie ma wiele, kończę ją przed czasem, licząc trochę na to, że będę mogła się zrewanżować za tak hojny napiwek. Widocznie dane mi jest dziwić się tego dnia wielokrotnie. Właścicielka nie zamierza zlecać mi już jakichkolwiek zajęć. Wręcza mi za to zimny napój i zachęca do konsumpcji w wygodnym fotelu. Z kolei ona zaczyna się krzątać. Najpierw przesuwa ciężkie donice z żywymi kwiatami, by stworzyć wokół kominka nową aranżację. Układa na stolikach serwetki i kolorowe narzuty na kanapach. Na stołach ustawia bukiety. Jedną książkę po krótkim namyśle zdejmuję z półki i kładzie na małym stoliku przy fotelu. Nastawia pranie. Kiedy po raz kolejny przechodzi koło mnie z całym naręczem ubrań, słyszę:

– Ty się już napracowałeś, teraz czas na mnie.

Uśmiecham się tylko...

Ta niecodzienna sytuacja trwa co najmniej pół godziny. W końcu przyjeżdża po mnie Zygi. Żegnamy się serdecznie i wtedy czuję żal, że już nigdy nie zobaczę Rose.

– Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś. – Uśmiecham się do szefa. – Dużo znasz jeszcze takich kobiet?

– Nie, tylko tę jedną – odpowiada.

28. Nocny klub

– Byłaś kiedyś w amerykańskim nocnym klubie? – Zbyszek zakakuje mnie tym pytaniem w drodze do pracy.

– Jasne – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Kilka razy.

– No, no... – Kręci głową z niedowierzaniem, ale na szczęście nie pyta o szczegóły, tylko oznajmia: – Dziś też pojedziesz do nocnego klubu, sprzątać razem z Hanką.

Widzę, że moje koleżanki oddychają z ulgą, słysząc te słowa. Nawet z daleka nie chcą patrzeć na ten niechrześcijański przybytek. Tylko jedna góralka z Poronina się zgodziła i od ponad roku czyści niestrudzenie te same brudy. Często pomaga jej szef, ale dziś musi coś załatwić i ja mam go zastąpić.

Wysiadamy na dużym parkingu. W jego centrum znajduje się niski, bardzo pospolity budynek przypominający bardziej barak niż restaurację. Jego przeznaczenia trudno byłoby się domyślić, gdyby nie krzykliwa reklama, umieszczona na dwóch wielkich słupach. Doskonale widać ją z drogi. Różowy kolor i błyszczące napisy rażą w oczy i zdecydowanie nie pasują do szaroburej okolicy. Jest jedenasta. Dla właścicieli tego przybytku, w którym zabawa trwa do szóstej rano, to środek nocy, ale jakiś stróż otwiera nam drzwi, bo musimy posprzątać przed kolejną imprezą. Szyld

zachęca do odwiedzin klubu codziennie, a porządki robi się co dwa tygodnie.

Z moich wcześniejszych wizyt w nocnych klubach zapamiętałam kolorowy, błyszczący świat z lustrzanymi żyrandolami i głośną muzyką, z tańcem przy rurze i dużym wyborem drinków. Relaksując się wygodnie przy małych stolikach, gawędząc o tym i owym ze znajomymi, obserwowaliśmy (lub nie) kobiety i mężczyzn w ich „częściach artystycznych”. Potem próbowaliśmy szczęścia w kasynie i tak beztrudnie bawiliśmy się do rana.

To, co widzę teraz, w niczym nie przypomina wspomnień, ale już od progu wiem, że tę wizytę zapamiętam na długo. Znajduję się w nędznej, odrażająco brudnej i cuchnącej ruderze. W olbrzymiej sali wszystko na pierwszy rzut oka jest stare i zniszczone: stoliki, podłoga, dywany, ściany, hektary lustrzanych tafli. Niedaleko wejścia znajduje się podest z rurami (tu są dwie), które lepią się od brudu. Podłoga na podwyższeniu jest tak wytarta, że nikt nie zdołałby określić jej pierwotnego koloru. Olbrzymie tremo na ścianie otacza sznur żarówek niczym lampki choinkowe, ale część z nich pozsuwała się nieposłusznie z ramy. Z tyłu i po bokach też widać mnóstwo stolików, tylko bardzo wysokich, barowych, jak wszystko wokół nieźle już sfatygowanych. Od progu rzuca się w oczy dobrze zaopatrzony bar z czarnym, błyszczącym blatem imitującym marmur. Ilość trunków jest imponująca. Dostrzegam jeszcze jedno pomieszczenie w głównej hali, dla konferansjera. To przepierzenie, do którego wchodzi się po trzech schodkach, oddzielone od reszty pomieszczenia sporym kawałkiem szyby. Na stole, wśród śmieci stoi komputer, z którego wieczorem popłynie muzyka. Patrząc z niedowierzaniem na to „stanowisko pracy” – nie było tu gruntownych porządków od kilku lat.

– Wygląda, jakby ktoś kochał brud z wzajemnością!

– Tutaj sprząta się tylko pobieżnie. Goście nie interesują się tym, w jakich warunkach pracuje pan za konsoletą.

– Czyli to właściciel oszczędza na porządkach w kąciek didżeja?

– Nie tylko. Podobnie wyglądają wszystkie sale, do których nie zaglądnają klienci – uświadamia mnie Hania. Niebawem przekonuję się, że ma rację.

Przy jednej ze ścian stoją automaty do gier, wokół nich leżą papierosy, w popielniczkach i na podłodze, papiery i puste butelki. Koszy na śmieci nawet nie ma, widocznie nikt ich nie używa. Wszystko, co widzę w pierwszej sali, napawa mnie wstrętem, ale przed rozpoczęciem pracy muszę się jeszcze rozejrzeć, by sprawdzić, jak wygląda całość. Hania informuje mnie, że do niej należy robienie porządków w toaletach (to cudownie – oddycham z ulgą) oraz czyszczenie sali bilardowej, której rozmiar, owszem, robi wrażenie, ale wystrój może imponować co najwyżej miłośnikom horrorów.

– Widzę, że w tej części lokalu nie ma klimatyzacji. Dasz sobie radę?

– Przyzwyczyłam się. Zacznę od pawilonu, póki nie zagłnada tu słońce i nie pada deszcz; dach mocno przecieka. Za to później same przyjemności, czyli mycie barku i toalet! – Hania ma dziś dobry humor. Przed rozejściem się do swoich zadań jeszcze ustalamy, że na końcu obie spotkamy się w głównej sali.

– Zostaw siły na to miejsce, od wyglądu głównego pomieszczenia zależy pierwsze wrażenie – słyszę.

Nie jestem czarodziejką – myślę, ale głośno nie komentuję. Zaczynam pracę. Najpierw trzeba umyć lustrzane ściany. Na szczęście mam do tego odpowiedni sprzęt i zostałam wcześniej przeszkolona przez szefa. Dzięki temu oszczędzam dużo czasu i oglądam nocny klub od kuchni; tuż za barem są dwie bardzo kameralne garsoniery, oddzielone od głównej sali

kotarami. W każdej z nich taniec przy rurze odbywa się dla wąskiego grona zainteresowanych. Najwięcej miejsca zajmuje wygodna kanapa, na której można się lepiej zrelaksować niż na drewnianym krześle w poprzedniej sali. Drugi pokój jest taki sam, a więc dwie tancerki mogą bawić gości równocześnie na zapleczu. Tylko podłoga nie jest tu lustrzana; sufit, ściany i małe stoliki przy sofach owszem.

Widzę, że mojej pracy przygląda się od jakiegoś czasu ciemnoskóry dozorca, więc pytam:

– Czyste jest to lustro?

– Jest tak piękne jak ty – słyszę. Nie wygląda na poetę, a tu, proszę. Uznaję, że to był komplement, i zostawiam lustro w spokoju.

Następne pomieszczenie jest o wiele mniej romantyczne, choć myląca może okazać się ława z fotelami i gotową do zapalenia świeczką znajdującą się naprzeciw wejścia. Poza tym jest sześć miejsc oddzielonych od siebie czarnymi, metalowymi parawanami. Jedno przy drugim, w każdym dwa identyczne czarne foteliki. Wszędzie posadzka. Nie ma natomiast drzwi. Dozorca z zagadkowym uśmiechem zbiera z podłogi białe, papierowe ręczniki, cuchnące płatną miłością, i bez pośpiechu wynosi na zaplecze, zapełniając worki na śmieci, których jest tu zatrzęsienie. Najwięcej z pustymi butelkami i puszkami. Myjąc podłogę, zastanawiam się, czy zgrzeszę, jeśli będę się bardzo starać, żeby tu było czysto.

W czasie przerwy Hania rozmawia ze swoją córką, która mieszka w Szaflarach z mężem i trzyletnim synkiem. Parę dni wcześniej opowiadała im o niezwykłym samochodzie strażackim, który widziała w amerykańskim sklepie, a dziś okazuje się, że taki sam można kupić w Krakowie albo prościej, przez internet. Tylko że jest bardzo drogi – córka zrobiła już wywiad. Babcia nie ma innego wyjścia: obiecuje, że pieniądze wyśle już dziś, po pracy. Hania jest wysoką, postawną kobietą o dość surowej twarzy.

Bywa też czasem szorstka w obejściu i ma tak zwany niewyparzony język, szczególnie wtedy, gdy wdaje się w dyskusje z Jasią. Ale gdy mówi o swoim wnuczku Bartusiu, pokazuje jego zdjęcia czy rozmawia z dzieckiem przez Skype'a, obserwuję ją ze zdumieniem i niedowierzaniem, myśląc, że to nie może być ta sama osoba!

Hania przygotowała na dzisiejszy lunch trzy duże kanapki z kotлетem schabowym i jak zwykle śmieje się z moich płatków owsianych.

– Umarłabym od takiego jedzenia. W domu mam jeszcze gołąbki i kapuśniak, a ty co, dalej płatki?

Nie odpowiadam, żeby jej nie drażnić. Różnimy się bardzo, nie tylko w kwestii jedzenia, a mimo to lubię spędzać czas z Hanią i mam wrażenie, że ona też mnie toleruje: służy radą i jest opiekuńcza. Dziś możemy pić bez ograniczeń napoje z baru, więc delektujemy się amerykańskim tonikiem. Mocne trunki też są na wyciągnięcie ręki, ale przecież jesteśmy w pracy.

Po przerwie sprzątam miejsce, gdzie przebierają się i przygotowują do występów tancerki. Jest tu nie tylko brudno, ale i bardzo nędznie. Odrapana łazienka, połamany prysznic, niedomykające się drzwi, pusta, zbyt duża półka na kosmetyki przy tanim lustrze, które zajmuje całą ścianę. W kącie stos butów, krzykliwych i tandetnych, na niebotycznych obcasach. Gdy patrzę na to, najzwyczajniej szkoda mi dziewczyn, które w takich warunkach przygotowują się do bycia gwiazdami na wieczornej imprezie. Niewiele mogę zmienić ten odrażający ką. Na koniec spotykamy się z Hanią w głównej sali i robimy, co do nas należy: zbieramy śmieci, a potem odkurzamy i myjemy tak długo, aż woda w olbrzymim wiadrze na kółkach przestaje być gęsta od brudu.

To dzięki naszej pracy ta speluna zmienia się w schludny lokal, a wyraźnie zadowolony stróż zaczyna włączać neony i inne magiczne światła. Nagle przestają być widoczne stare meble i poplamiony dywan.

Kolorowe, migające iluminacje odbijają się w lustrach i od razu świat staje się inny. Stróż włącza muzykę i uruchamia automaty do gry, aby spotęgować efekt niezwykłości. Sama jestem oczarowana tą przemianą. Gdyby nie to, co widziałam wcześniej, mogłabym ulec złudzeniu, że jestem w bajecznie kolorowym, ekscytującym, amerykańskim klubie! A co dopiero, gdy zapadnie zmrok, który jeszcze bardziej przykryje wszelkie niedoskonałości, zabrzmie głośna muzyka i pojawią się ludzie?

Aż chce się krzyknąć „wow!” i robią to za mnie dziewczyny, które w towarzystwie wytatuowanego właściciela, Rosjanina, pojawiły się właśnie w pracy. Rzeczywiście, teraz, kiedy wszystko błyszczy i mieni się kolorowymi światłami, sala zupełnie nie przypomina mordowni ani rudery. Po krótkiej chwili ze zdumieniem spostrzegam, że striptizerki są już prawie kompletnie rozebrane. Paradują wokół baru w samych stringach, co robi wrażenie tylko na mojej siedemdziesięcioletniej koleżance i na mnie. W obecności szefa stróż rusza się znacznie szybciej niż do tej pory, jednak właściciel zdaje się tego nie doceniać, bo nieustannie gdzieś dzwoni, a potem spieszy się do wyjścia. Przedtem wręcza mi zapłatę i napiwek, mówiąc, że „jest bardzo wdzięczny za tak niezwykłą odmianę”. Na szczęście na Zbyszka nie musimy długo czekać. Z ulgą wsiadamy do samochodu, bo impreza w lokalu lada chwila zacznie się rozkręcać, a my nagle przestałyśmy pasować do otoczenia. Za dwadzieścia cztery godziny będzie tu znowu pobojuwisko, ale to już nas nie interesuje. My sprzątamy tam dopiero za dwa tygodnie.

29. Reklamówka

To zadziwiające, jak ludzie z całego świata garną się do Ameryki, by udowodnić swoją siłę i pokazać charakter, a przy okazji pomnażania stanu konta stracić zdrowie. Zazwyczaj dopiero siedemdziesięciolatki zaczynają odczuwać efekty wieloletniej pracy ponad siły i snują się po ulicach z krzywymi kręgosłupami, powłócząc nogami w drodze do ortopedy, internisty lub innego cudotwórcy. Dlatego na imprezie urodzinowej u Jasi jedna z młodszych koleżanek radzi zapobiegawczo:

– Pora pomyśleć o sobie. Jak będziesz w Polsce, natychmiast wykup zabiegi w sanatorium.

– Wykupię – obiecuje Jasia tonem, który nas nie przekonuje, a ja zaczynam mieć wątpliwości, czy planowany od roku wyjazd w ogóle dojdzie do skutku. Nie chcę psuć humoru jubilatce, więc zostawiam niewygodne tematy na inną okazję.

– Najważniejsze, że astma przestała ci dokuczać, i oby tak dalej – mówię.

– Nie dokucza, bo się jej nie boję – odpowiada hardo Jasia i chyba jest w tym dużo racji.

– To czego teraz potrzebujesz do szczęścia? Jaki toast wznosimy?

– Wszystko mam! Życzę szczęścia innym!

Wracając do domu, myślę o zdaniu wypowiedzianym przez Jasię i o tym, że jako jedyna z czworga rodzeństwa nie ma domu, samochodu ani oszczędności. Ciężko pracuje, ale sama prawie nie korzysta z tych pieniędzy, częściej niż pozostali odwiedza lekarzy. Może tajemnica jej szczęścia tkwi w tym, że ma inne niż przeciętny człowiek problemy?

Brak drogiej rzeczy nie psuje Jasi humoru. Nieco inny jest jej stosunek do pozornie bezwartościowych rupieci, śmieci i kłopotów.

Tak było z pewną reklamówką, którą moja koleżanka zostawiła przed jedną z amerykańskich posesji. Na trawniku i w cieniu pięknych drzew czekałyśmy na naszego kierowcę po tym, jak posprzątałyśmy sąsiadujący z tą rezydencją, równie okazały budynek. Pamiętam, jak podziwialiśmy pomysłowo zaaranżowany przydomowy ogródek, siedząc na niewysokim murku. Gdzieś tam musiała zostać reklamówka. Były w niej zniszczone ubrania, których Jasia używała w pracy. Ta strata popsowała jej humor na kilka dni, więc gdy za tydzień przyjechałyśmy do pracy w to samo miejsce, Jasia bezzwłocznie udała się w stronę ogródka sąsiadów, przekonana, że reklamówka będzie na nią czekać jak gdyby nigdy nic. Niestety, po zgubie nie został nawet ślad.

– Może sąsiad się domyślił, że to rzeczy z domu obok, i przyniósł je tutaj? – powiedziała z nadzieją w głosie, gdy weszłyśmy do znanego mi już mieszkania.

Niestety, właściciele, którzy mogliby coś na ten temat wiedzieć, nie było w domu. Znając godzinę naszego przyjścia, zostawili po prostu otwarte drzwi. Bardzo gruntowne porządki nie pomogły w odzyskaniu zielonej torby ze spodniami do kolan (trochę zużytymi, ale z dużą liczbą kieszeni), różową bluzką (rozmiar trzydzieści dwa, tak jak spodnie) i „prawie” nowymi kłapkami. Jasia była z tego powodu niepokieszona, ale nie

zamierzała się poddawać, dlatego, tak jak przed tygodniem, po skończonej pracy ruszyliśmy pospiesznie w stronę rabaty sąsiada.

– Może zobaczą nas i przyniosą tę reklamówkę. – Mówiąc to, spojrzała z nadzieją na drzwi, w których lada chwila mógłby się pojawić ktoś z jej skarbem w ręce. Czekałyśmy ponad piętnaście minut i nic. Na szczęście się nie nudziłyśmy, bo u sąsiada od samego rana panował spory ruch. Przed domem ustawiono używane meble, a kontenery ze śmieciami wypełniono po brzegi sprzętem kuchennym. Obok stały worki z ubraniami, przy których utracony majątek Jasi wypadał bardzo niekorzystnie. Jakieś małżeństwo najwyraźniej zainteresowało się kolorowym domem dla lalek, tak wielkim, że spokojnie mógłby w nim przenocować bezdomny.

– Podeszłabym do tego kosza, może tam wrzucili – usłyszałam nagle. – Ale za dużo ludzi. Jeszcze pomyślą, że potrzebne mi ich stare rzeczy.

– Ale one są do zabrania, mogłabyś sobie coś wybrać.

– Czy ja nie mam swoich? – oburzyła się Jasia. – Widziałaś moją szafę. Zresztą, na mnie mało co pasuje.

No tak. Nie znam nikogo tak chudego.

– Co innego tamte rzeczy. W reklamówce. Tak dobrze mi się w nich sprzątało... Ale trudno.

Reklamówka przepadła, na szczęście Jasia w końcu pogodziła się ze stratą.

30. „Salon” fryzjerski

Dzień zaczyna się dla mnie pechowo, bo nieoczekiwanie lokal, którym miałam się zająć, jest zamknięty, a telefon właścicieli uparcie milczy. Koleżanki z serwisu nie mogą mnie przygarnąć, bo wysiadły do pracy wcześniej, więc nie ma innego wyjścia, jak tylko wracać do domu. Podróżuję w busie już od dwóch godzin i perspektywa powrotu nie jest niczym przyjemnym. Nieoczekiwanie pomaga mi dziewczyna, którą ledwie znam, bo tylko raz na jakiś czas pan Zbyszek podwoził ją na osiedla, dokąd bała się sama jechać samochodem.

– Dorota może iść ze mną. To się nawet dobrze składa, dziś chciałabym wcześniej skończyć.

I tak nieoczekiwanie sprzątam z Magdą salon fryzjerski w meksykańskiej dzielnicy. Magda świetnie zna angielski, bo mieszka w USA kilkanaście lat. Dzięki niej jestem dobrze zorientowana i wiem, o czym mówią inni.

Wysiadamy na dużym parkingu, na którym mógłby zaparkować nawet kierowca ciężarówki, gdyby nagle przyszło mu do głowy odwiedzić fryzjera. Plac jest prawie pusty.

– Zdarza się, że dzień taki jak dziś, czyli środek tygodnia przed południem, upływa tu równie sennie jak w małym polskim mieście – mówi Magda. – Dwie panie (właścicielka i zatrudniona dziewczyna) robią wtedy

zakupy w niedalekim Walgreens, załatwiają drobne urzędowe sprawy albo kupują popularne zdrapki na pobliskiej stacji benzynowej i szukają ukrytego pod warstwą ścieralnej farby szczęścia. Gdy nie ma dużej wilgoci, po prostu siedzą na schodach i się opalają. Ponieważ znane są okolicznym mieszkańcom, niejeden ucina sobie z nimi pogawędkę. Czasem nawet robotnik z pobliskiej budowy daje się w ten sposób namówić w czasie lunchu na nową fryzurę.

– A ja zrozumiałam, że nie chcesz tu przyjeżdżać samochodem, bo jest zbyt niebezpiecznie.

– Parę ulic stąd rzeczywiście tak jest, więc lepiej tam nie zabłądzić. Tu na razie ludzie się znają, przynajmniej od roku nie zauważyłam, by zmieniali miejsce zamieszkania. Tak jest zawsze, gdy czują się zagrożeni.

Wchodzimy do środka, a Magda wita się z właścicielką jak ze starą znajomą. Potem idę w ślad za koleżanką na zaplecze, gdzie włożymy robocze ubranie. Po drodze ogarniam wzrokiem sporą przestrzeń przeznaczoną na salon; w głębi, za nieco rozsuniętymi drzwiami, są klienci. Ta część, która znajduje się bliżej wejścia, jest całkowicie pusta i to tu będziemy robić porządek. Patrzą i nie wierzę własnym oczom, bo nigdy nie widziałam takiego bałaganu i brudu w zakładzie usługowym... Magda uśmiecha się znacząco.

– Wiedziałam, że będziesz się dziwić.

– W Polsce taki „salon” zostałby na pewno zamknięty, a właściciel ukarany grzywną! – Nie wytrzymuję.

– A w Ameryce można przyjść do bardzo brudnego salonu fryzjerskiego, jeśli ma się na to ochotę – śmieje się Magda. I widać, że niektórzy tę ochotę mają: w zakładzie siedzą właśnie trzy klientki. Możemy się im dokładnie przyjrzeć, bo zaczęłyśmy porządki od mycia

przeszklonych, rozsuwanych drzwi, które dzielą pomieszczenie na dwie równe części.

– Jedną z nich zapamiętałam – mówi Magda teatralnym szeptem. Nie musi się bardzo starać. Kobiety i tak nic sobie nie robią z naszej obecności. – To ta pośrodku, w zielonej pelerynie. Często tu zagląda, chyba jest samotna.

Gdy to mówi, w salonie pojawiają się kolejni klienci: niska, korpulentna kobieta z trzy, może czteroletnim synem, który ma włosy długie jak dziewczynka.

– Trzeba czekać. – Szefowa w poplamionym fartuchu chyba przeprosza za opóźnienie, bo bezradnie rozkłada ręce.

– Długo?

– Trochę.

– To jest najczęstsza w tym lokalu odpowiedź na pytanie o czas – zauważa Magda.

– Chcesz czekać? – Tym razem pytanie skierowane jest do synka, który zdecydowanie potakuje. Ma duże, okrągłe, jakby zdziwione oczy i lekko otwarte usta. Kiedy razem z mamą pojawia się w progu salonu, pracuję w takim miejscu, że widzę to samo, co chłopiec. Siedząca naprzeciw niego kobieta ma właśnie mytą głowę, więc dziecko widzi szeroko rozstawione nogi i spory tułów, okryty folią i jednorazowym ręcznikiem. Znad okolicy, gdzie kończy się szyja słychać co jakiś czas podniesiony głos, informujący z coraz większą irytacją, że woda jest ciągle zbyt gorąca.

Z żalem przenoszę się w inne miejsce. Obserwowanie chłopca zaczynało mi się podobać.

Razem z Magdą sprzątamy cztery równie brudne i zabałaganione stanowiska pracy. Na stolikach i wózkach fryzjerskich widok jak po przejściu huraganu. Lakiery, pianki i żele, nożyczki, metalowe klipsy,

wsuwki, gumki, siatki na włosy, prostownice i suszarki, wszystko to leży nie na swoim miejscu. Robimy porządek, a przy okazji myjemy pędzle do nakładania farb i zaschnięte od brudu miseczki. Grzebienie i kolorowe wałki do trwałej będą dezynfekowane w specjalnej maszynie.

– Czy one tego nie robią na bieżąco? – Pytając o to, jestem naprawdę przerażona.

– Tajemnica zakładu. – Magda uśmiecha się zagadkowo. Chyba nic nie jest w stanie jej zirytować.

Liczne szuflady przedstawiają równie opłakany widok. Wiele z nich z powodu bałaganu po prostu się nie domyka. Wystają z nich kolorowe pasma syntetycznych włosów, jakieś menzurki, spryskiwacze, czepki i peruki. Zawartość niedomkniętych tubek i słoiczków panoszy się wszędzie wokół. Chowamy to przed światem, używając różnych sposobów, najczęściej siły. Wewnątrz nie musimy nic układać. Czyścimy lustra, starannie myjemy obracane fotele. Poprawiam wiszące na ścianie przekrzywione zdjęcia. Uśmiechają się na nich piękne Meksykanki w oryginalnych fryzurach. Zupełnie inne od tych, które widzę na żywo. Magda opowiada, dlaczego starsza pani (przez chwilę widzę ją za uchylonymi drzwiami) tak zapadła jej w pamięć.

– Kiedyś po prostu bardzo hałaśliwie zareagowała na widok dawno niewidzianej koleżanki: „Myślałam, że już nie żyjesz, a tu taka niespodzianka!”. Ta druga wcale się nie obraziła, więc było głośno i wesoło przez dłuższy czas. Starsza pani przysłała podciąć tylko końcówki, ale została, by dotrzymać towarzystwa znajomej, a potem obie pojechały na obiad. Zanim wyszły, usłyszałam, gdzie można dobrze i tanio zjeść, jak zrobić sałatkę z kaktusa i jakie było kazanie na mszy po hiszpańsku.

– Dlaczego nie rozmawiały w tym języku, skoro to Meksykanki?

– Pewnie dlatego, że dobrze znają angielski, już kilkadziesiąt lat mieszkają w Chicago. Chcą też podkreślić, że są Amerykankami z USA!

– Prawdziwa Amerykanka nie weszłaby do takiego pseudosalonu – mówię z przekonaniem.

– Jeśli ma obywatelstwo, jest Amerykanką bez względu na to, gdzie się czesze i czy w ogóle chodzi uczesana! – odpowiada Magda.

Powoli przesuwamy się w kierunku drzwi, za którymi doszło już do zmiany klientów. Tylko starsza pani najwyraźniej ociąga się z wyjściem. Chyba znowu podcięła końcówki: nie widać wyraźnej zmiany, ale ona jest w siódmym niebie. Daje napiwek, po którym fryzjerce też poprawia się humor. Drzwi od dłuższego czasu są rozsunięte, bo klienci korzystają z „części kuchennej” salonu. Są tu dwa ekspresy, duży wybór kapsułek z kawą, wody, ciasteczka i inne przekąski.

– Herbaty nie ma i nikt o nią nie pyta – uświadamia mnie znowu Magda.

Po uprzątnięciu salonu możemy zająć się porządkowaniem kuchni. Tu, na szczęście, nie mamy wiele pracy. Już się nie dziwię, że na kuchennym blacie leżą metalowe klipsy i srebrna folia, taka sama jak na włosach jednej z kobiet. Nie komentuję też, że ściana przy umywalce jest bardzo brudna. Za to z zainteresowaniem obserwuję chłopca. Siedzi prawie nieruchomo, zajęty widokiem manekinów w oknie, reklamujących peruki i akcesoria fryzjerskie. Wszystkie głowy ozdobione są neonowymi, świecącymi włosami. Malec co chwilę odwraca się też w drugą stronę, jakby z obawy, że ominie go coś równie niezwykłego. Nie wygląda na zainteresowanego tym, o czym mówią kobiety. Patrzy.

Energiczna pani z wyraźną nadwagą jest interesująca, więc przez chwilę udaje jej się skupiać na sobie uwagę wszystkich wokół. Opowiada o remoncie w nowym domu i o tym, jak nie można wierzyć sprzedawcom

z popularnego Home Depot! Kupiła modne płytki, zapłaciła za pierwszy gatunek, a przy układaniu okazało się, że są wybrakowane!

– Stanowczo będę odradzać ten sklep wszystkim, których spotkam – mówi poirytowana, podczas gdy fryzjerka maluje małe pasemka jej włosów i starannie zawija cienkie kosmyki w oddzielne sreberka. Kobieta robi się czerwona na twarzy z emocji, próbuje gestykulować, a gdy wreszcie siada na kanapie z głową jak u kosmitki, chłopiec na dobre zapomina o trzech manekinach z okna.

W miejscu, do którego przesiadła się „Energiczna”, trwa dyskusja na temat słodczy:

– Najlepsze ciasto jest domowe, ze świeżych jajek od amiszów – mówi mama chłopca.

– To prawda, ale od jakiegoś czasu nie piekę, szkoda wysiłku – odpowiada inna, z bardzo długimi, różowymi paznokciami.

– Też tak myślę – włącza się do rozmowy pani od remontu. I dodaje z żalem w głosie: – Poza tym wystarczy, że zjem mały kawałek, a brzuch rośnie, jakbym była w ciąży.

Widać zrozumienie w oczach pozostałych kobiet.

Tymczasem pani z nadwagą, miłośniczka ciasteczek, uprzejmie zwraca się do dziecka:

– Jak masz na imię?

Szeroko otwarte oczy i lekko rozchylone usta patrzą w jej kierunku, ale dziecko uparcie milczy. Od dłuższego czasu obserwuje srebrno-złote aluminiowe folie i trudno powiedzieć, co sobie myśli. Wracam do swoich zajęć, ale gdy po jakimś czasie podchodzę do drzwi, już trzy panie z zachwytem komplementują chłopca. Ta, która miała przed chwilą mytą głowę, siedzi teraz rozczochrana, z włosami ledwie wysuszonymi

ręcznikiem. Znalazła cukierki w torebce i wyciąga do malca rękę z długimi, różowymi paznokciami i kuszącą zawartością.

– Ale jesteś grzeczny! Tak cierpliwie czekasz! Inny chłopiec nie wytrzymałby spokojnie pięciu minut. Poczęstuj się w nagrodę!

Zero reakcji.

Prawie kończymy pracę, gdy chłopiec wreszcie siada na fotelu i posłusznie wykonuje polecenia. Chyba nawet na chwilę zamyka zdziwione usta, gdy musi pochylić głowę. Po kilkunastu minutach ma naprawdę fajną fryzurę z ciekawym zygzakiem, wyciętym na prośbę mamy maszynką nad lewym uchem. Przez chwilę z zaciekawieniem reaguje na swój nowy wygląd, ale równie interesujący jest widok kobiety z głową schowaną pod dużą suszarką. Jej odbicie też widać w lustrze.

Kiedy przyjeżdża po nas pan Zbyszek, salon fryzjerski w niczym nie przypomina pobożowiska sprzed kilku godzin. Szefowa kręci głową z podziwem i uznaniem – podobno tak jest za każdym razem. Syzyfowa praca trwa od kilku lat. Dostajemy czeki i się żegnamy. Mały chłopiec też już stoi przy drzwiach. Zbierając się do wyjścia, słyszę jeszcze, jak jego mama zwierza się klientkom salonu:

– Co się z nim dziś dzieje? On jest w domu zawsze taki niegrzeczny, chwilę nie usiedzi spokojnie, nie można z nim wytrzymać. A tu, proszę, jaka zmiana!

31. Żona pastora

Drzwi otwiera nam kobieta, która wygląda zupełnie zwyczajnie, nie jak Amerykanka. To znaczy nie rzuca się w oczy. Jest w średnim wieku, ani gruba, ani chuda, niebrzydka, nieekstrawagancka, bez długich, kolorowych, sztucznych paznokci. Mówi cicho i delikatnie. Na wstępie ma prośbę: wskazując na wysoką drabinę, mówi, że chce, bym weszła na samą górę i zdjęła pajęczynę z okna, które jest usytuowane niemal pod sufitem, kilka metrów ponad ziemią, tuż nad drzwiami wejściowymi. W jej głosie wyczuwa się takie przejęcie, jakby brała udział w przygotowaniach do wspinaczki na strome zbocze.

– Bardzo uważaj, bądź ostrożna, powoli – usłyszałam kilka razy, zanim znalazłam się na szczycie drabiny.

Teraz, kiedy spoglądam w dół, widzę, jak pełna napięcia wpatruje się we mnie. Obie ręce trzyma na rozłożonych szczeblach, jakby chciała mnie zabezpieczyć albo sama szukała oparcia, bo jest jej słabo z wrażenia. Po około pięciu minutach operacja „Pajęczyna i okolice” kończy się sukcesem, a gospodyni nie ukrywa, że jest pod wielkim wrażeniem mojego poświęcenia i nie lada odwagi. Swój entuzjazm okazuje w momencie, gdy jestem już całkiem bezpieczna, ściskając mnie wylewnie i wręczając dwadzieścia dolarów niczym medal za bohaterstwo. Natychmiast dzielę się

tą kwotą z Jasią, która ze względu na wiek i stan zdrowia mogła mi tylko kibicować.

Idziemy się przebrać, a potem rozpoczyna się rutynowe sprzątanie, jak w każdym bogatym i zadbanym domu: poprawianie poduszek na eleganckich kanapach w salonie, odkurzanie mięciutkich dywanów, zbieranie drobnych pyłków z fortepianu, przecieranie zdjęć na kominku, froterowanie drogiej, lśniącej lakierem podłogi. W tej willi jest też cały pokój poświęcony motoryzacji: miniaturowe modele samochodów w przeszklonych szafach, plakaty, książki, gadżety, a w centrum solidne biurko do pracy i wygodny fotel właściciela tej kolekcji. Żona z kolei może się pochwalić zbiorem porcelanowych figurek (w tym całkiem sporych lalek), znajdującym się w romantycznej sypialni.

– Czy jest tu jakieś specjalne miejsce do modlitwy? – pytam Jasię, która nie jest w domu pierwszy raz i zdążyła mnie poinformować, że to mieszkanie pastora.

– Nie, jest zwyczajnie, jak u innych katolików.

– Czyli ten jeden krzyż w sypialni i Biblia przy łóżku?

– Nie widziałam niczego więcej. Pastora też nigdy nie miałam okazji spotkać. Myślę, że żona bierze na siebie obowiązki domowe. Zawsze się czymś zajmuje, gdy przychodzi do niej serwis.

Rzeczywiście. Sympatyczna pani jakiś czas temu przestała nam towarzyszyć, ale można się było zorientować, że robi pranie i przy okazji małą rewolucję w sporej garderobie. Na chwilę zatrzymuję się przy zdjęciu rodziny: elegancki, szpakowaty pan w białej koloratce stoi w otoczeniu żony i trzech dorosłych córek, które zapewne już opuściły rodzinny dom.

Jasia akurat zbiera okruchy rozrzucone wokół klatki z papugą, gdy dzwoni do niej poirytowany syn. Chyba spodziewała się tego telefonu, bo nosi aparat przy sobie, a od rana jest wyraźnie spięta i rozkojarzona. Stara

się być delikatna, by nie spłoszyć ptaka, który najwyraźniej nie lubi zamieszania, więc dyskretnie wychodzi do łazienki, gdzie planuje dokończyć rozmowę. Niechcący usłyszałam jej początek.

– Jak mogłaś być tak bezmyślna? – mówił podniesionym głosem Michał. – Kto mi teraz wypłaci pieniądze?

– Zapomniałam okularów i już nie było czasu, żeby wracać do domu. Spieszyłam się do pracy. Najgorsze, że nie mam przy sobie pokwitowania. Ale poczekaj, tam było chyba sześć na końcu, a ja podałam ci, że osiem. Może spróbuj zamienić? – Jasi trzęsie się głos ze zdenerwowania, gdy wychodzi z pokoju. Po chwili wraca z niewyraźną miną, a mimo to zbieram się na odwagę i pytam:

– Stało się coś?

– Wysyłałam wczoraj pieniądze dla syna. Wiesz, on ma ciężko w Polsce. No i przekazałam mu zły numer transferu, nie może ich wybrać. Prosiłam, by wpisał inny numer, ale rzucił słuchawką ze złością.

Mojej przyjaciółce jest bardzo smutno, bo boi się, że straci pięćset dolarów, no i przede wszystkim nie chciała rozgniewać syna.

– Nie martw się – pocieszam ją. – Wrócisz do domu i sprawdzisz numer na spokojnie. Pieniądze tak łatwo nie przepadają.

– Od tylu lat wysyłam co tydzień i pierwszy raz mi się to zdarzyło – usprawiedliwia się. – A Michał będzie musiał jeszcze raz przyjechać do banku...

– Przecież nie pracuje.

– No tak, ale są terminy płatności i dlatego tak się zdenerwował...

– Nie może sobie poszukać stałej pracy? Przecież skończył już szkołę?

Nie słyszę odpowiedzi, bo syn dzwoni jeszcze raz. Udało się wybrać pieniądze – co za ulga! Jasia przyrzeka sobie, że na przyszłość będzie rozważniejsza, i wyraźnie odprężona wraca do pracy.

O dwunastej gospodyni proponuje nam lunch: czekają na nas w kuchni kawa i ciastka. Cieszę się, że możemy usiąść przy stole; nie w każdym domu tak się traktuje sprzątaczkę. Z salonu słychać przyjemną muzykę, więc robi się nastrojowo. Do momentu, gdy rozbrzmiewa dzwonek u drzwi. Za nimi stoi elegancki mężczyzna z aktówką. Widać, że był oczekiwany. Najwyraźniej w planach jest przebudowa tarasu, bo są tam przeprowadzane różne pomiary. Pan coś pisze i liczy na kalkulatorze. Kilka razy woła gospodynię i pokazuje jej próbki materiałów. Oboje oglądają jeszcze salon i o czymś dyskutują. Na koniec podpisują papiery. Mężczyzna już prawie wychodzi, ale jeszcze sobie o czymś przypomina i wraca do salonu, by obejrzeć kominek. Po chwili wychodzi już naprawdę, a my z Jasią patrzymy z przerażeniem na bałagan, jaki po sobie zostawił: papiery na podłodze, poprzesuwane meble, nie mówiąc o dywanie: był już w idealnym stanie, z pięknymi wzorkami zrobionymi przeze mnie odkurzaczem (odbyłam specjalne przeszkolenie w pierwszych dniach pracy), a teraz są tam tylko ślady butów!

– Nie przejmujcie się, pozbierajcie tylko papiery – słyszymy. – Za dużo dzieje się naraz – dodaje żona pastora swoim spokojnym głosem. Ten ton nas przekonuje, więc spokojnie udajemy się na górę.

– Zapomniałam ci powiedzieć – słyszę od Jasi, która powoli dochodzi do siebie po incydencie z synem. – Łazienka na górze to oczko w głowie pani, musi być idealnie czysto. Nie mamy dużo czasu, a tam trzeba spędzić godzinę.

Skoro tak, na resztę pomieszczeń również pozostaje nam godzina. Pracujemy zgodnie z planem, ale i tak patrzymy co chwilę na zegarek. Udało się. Mamy godzinę na łazienkę. Dwie sprytnie kobiety poradzą sobie, jeśli pracują w dobrym tempie. Dzielimy się obowiązkami: Jasia czyści wszystko do wysokości około metra, ja to, co jest wyżej, czyli lustra,

kafelki, umywalki, szafki i najbardziej niezwykły łazienkowy blat, jaki widziałam. To biały marmur z kompletem kilkuset butelek, buteleczek, flakoników, słoiczków i pachnących drobiazgów. Niestety, nie mam czasu ich wąchać, ale robię kilka wyjątków, gdyż nie mogę się powstrzymać. Kryształowe lustro już lśnią, podobnie jak marmurowe umywalki. Do efektu „wow” pozostaje dokładne przetarcie każdego flakonika, usunięcie śladów pasty i kurzu z zakamarków oryginalnych opakowań, fikuśnych kwiatków przy zakrętkach i z misternych ozdób. Nie do końca się to udaje. Gospodyni tym razem nie ma dla nas litości: co robią resztki mydła na miedzianym dozowniku? Dlaczego na folii oryginalnie zapakowanych perfum Steve'a Maddena są zaschnięte krople wody? Co robi wyraźnie widoczny pod światło kurz na atomizerze? Nie mam wytłumaczenia, więc sprzątam jeszcze raz.

– Kto by się spodziewał – mówię do Jasi, która na kolanach doczyszczcza niewidzialny brud na białych płytkach.

– Ja się spodziewałam, tylko zapomniałam cię uprzedzić – przeprasza po raz kolejny. – Najwyżej szef poczeka na nas chwilę, już nieraz tak było w tym domu.

Poprawiam swoją pracę bez przekonania. Każdy flakonik biorę do ręki i dokładnie wycieram, jednak przy takiej ilości drobiazgów łatwo o niedopatrzenie.

– A jeśli będzie sprawdzać pod mikroskopem?

– Trzy razy nikt nie będzie poprawiał. – Pewność Jasi trochę mnie uspokaja. Tym bardziej że łazienka, po włączeniu światła, przypomina tę z *Dynastii*. Co najmniej.

Mamy piętnaście minut spóźnienia, więc przebieramy się w pośpiechu. Na widok zbliżającej się do nas żony pastora na chwilę zamiera mi serce,

ale szybko oddycham z ulgą. Kobieta jest uśmiechnięta i ściska nas serdecznie.

– Bardzo doceniam to, co robicie, i jestem wam niezwykle wdzięczna. A to ratunek dla spracowanych rąk. – Każdej z nas wręcza torebkę z kosmetykami. Znow jest taka, jak na początku: dobra, wrażliwa i zatroskana.

– Dostałam już kilka takich kompletów – mówi Jasia, gdy zostajemy same. – Ona zawsze na koniec wręcza nam kremy do rąk. Zapomniałam ci powiedzieć.

32. Danka

Pewnego dnia dołączyła do nas jeszcze jedna sprzątaczką. Powiedziała tylko, że ma na imię Danka i na długo zamilkła. Nie zaprzyjaźniła się ze Stasią, która przez pierwsze dni opiekowała się „nową”, a przy okazji dyskretnie ją obserwowała.

– Jest jakaś dziwna – powiedziała potem nasza koleżanka, wzruszając ramionami. To była cała charakterystyka. Słyszałam, jak kobiety rozmawiały między sobą:

– Widziałyście? W ogóle się z nami nie modliła po pracy. Nawet się nie przeżegnała, tylko patrzyła przez okno.

Kolejne dni odsłaniały nowe mankamenty Danki, z których najpoważniejsze wydawały się dwa: była leniwa i nieuprzejma!

Mimo to pani Basia zdecydowała, że zostanie na dłużej, bo „wakacyjne” sprzątaczkę (wśród nich ja) wkrótce miały wracać do domu.

Przed odjazdem zdążyłam przepracować z Danką tylko jeden dzień, za to w bardzo nietypowych miejscach.

Pierwszym z nich był chiński kościół w Chicago. Budynek, znajdujący się pośród olbrzymich wieżowców niedaleko Michigan Avenue, z zewnątrz przypominał sporą halę. Ze względu na lokalizację nie miał parkingu, tylko parę miejsc za zamkniętą bramą. W recepcji przy wejściu otrzymałyśmy

klucze i wtedy, jeszcze w holu, zorientowałam się, że tylko część hangaru należy do kościoła; reszta to zwykłe biura, na dodatek wcale nie chińskie.

Pierwsze pomieszczenie, w którym się znalazłam po otwarciu zwykłych drzwi, jest dużą salą modlitewną bez ołtarza, za to z krzyżem na ścianie, mównicą i rzędami wygodnych ławek. Boczne wejścia prowadzą do innych sal. Są tam: pokój zabaw dla dzieci, trzy niewielkie szkolne klasy, stołówka i toalety. Nie dostrzegam wielu oznak świętości. Zamiast obrazów na ścianie – dużo reklam i ulotek. Zamiast palących się świec – halogeny. Danka, nie czekając na nikogo, zajęła się porządkowaniem zaplecza, a trzy pozostałe panie, łącznie ze mną, pracują obok siebie. Wszystkie pomieszczenia są zadbane, więc nie musimy się specjalnie wysilać, by już po godzinie móc oglądać z zadowoleniem efekt naszej pracy.

– Tylko nie waż się jej pomagać – mówi kategorycznie Krysia, gdy skończyłyśmy swoje zadanie i zamierzałam zajrzeć na zaplecze. – Niech się nauczy żyć z nami w zgodzie.

Trzeba przyznać, że jest w tych słowach trochę racji, ale też doświadczone kobiety z serwisu wcale nie ułatwiają nowej koleżance życia. Ona konsekwentnie reaguje obojętnością i arogancją.

Czekając na Zygiego, chwilę opalamy się w słońcu: trzy panie obok siebie i jedna w bezpiecznej odległości od pozostałych. Trwa to dobre piętnaście minut.

W dalszej części dnia musimy się rozdzielić i dzięki temu zostaję tylko z Danką. Po półgodzinnej podróży docieramy do niedużej wsi. Kiedy nasz szef zatrzymuje się na rynku, przed małym pasażem z rzędem mieszkań na piętrze, żadnej z nas nie przychodzi do głowy, że nie będzie to zwykłe sprzątanie.

Zaczynamy porządki nietypowo, bo od piętra. Nie ma tu nic szczególnego; przeciętne mieszkanie starszych ludzi. Staroświeckie meble,

wzorzyste perskie dywany, dużo zdjęć i bibelotów. Skrzętna gospodyni sama dba o porządek i zostawiła nam do zrobienia tylko to, na co z racji wieku nie ma już siły. Danka konsekwentnie trzyma się na uboczu, więc całe piętro sprzątamy oddzielnie: dwie sypialnie, salon i kuchnię, w której, o dziwo, pachnie domowym obiadem. Wiemy, że czekają nas jeszcze porządki w drugiej części lokalu, na parterze, więc po godzinie posłusznie udajemy się w kierunku wskazanym przez starszego pana. Trochę zdziwił mnie fakt, że do pomieszczeń piętro niżej nie wchodzi się bezpośrednio z korytarza, tylko trzeba znaleźć się na zewnątrz budynku, ale szybko zrozumiałam dlaczego. Mężczyzna otworzył nam drzwi... wprost do zakładu pogrzebowego!

Wejście jest solidne, szerokie, a hol przestronny i z ciemną posadzką. Na wprost znajduje się duża sala, a w jej centrum katafalk, na szczęście pusty. Przy nim ustawiono gotowe do użycia świece, sztuczne kwiaty, krzesła i fotele.

Robi mi się zimno, bo klimatyzacja chłodzi tu o wiele bardziej niż na górze. Danka odwraca się w moją stronę i patrzy wymownie, ale na razie nie mówimy nic, słuchamy poleceń. Starszy pan pokazuje nam kuchnię.

– Trzeba umyć lodówkę, ekspres do kawy i mikrofalówkę oraz poustawiać na półkach umyte naczynia.

Widzimy, że jest też kilka toalet i mały pokój, gdzie można posiedzieć w fotelu, a nawet położyć się na kanapie.

– Proszę odkurzyć i przetrzeć wszystkie podłogi.

Właściciel chce koniecznie wiedzieć, ile czasu zajmie nam sprzątanie, więc Danka szybko zapewnia, że „nie dłużej niż godzinę”, po czym zostajemy same. Natychmiast zadaję pytanie:

– Pracowałaś kiedyś w zakładzie pogrzebowym?

– Nie, chociaż jestem w USA już trzy lata.

Danka nie ma tym razem ochoty na pracę w samotności, więc zgodnie zaprowadzamy ład, dodając sobie otuchy rozmową:

– A tu, za ścianą, jest jakiś zakład usługowy, chyba pralnia.

– Dobrze, że nie sklep mięsny. Ale ciekawe, że ludziom na górze nie przeszkadza takie sąsiedztwo!

– Dziwny jest ten lokal. Nie taki, jak domy pogrzebowe w Chicago. Tamte z zewnątrz przypominają restauracje albo eleganckie hotele.

– Zgadza się, chociaż nie wszystkie są takie. Do niektórych wchodzi się wprost z ulicy, ale nigdy nie przypuszczałam, że w tym samym budynku są wynajmowane mieszkania.

Danka jest dzisiaj rozmowna jak nigdy, a do tego robota pali jej się w rękach, więc nie chcę być gorsza.

– Widzę, że masz wprawę – mówię. – Pracowałaś w innych serwisach?

– Jasne, odkąd tu jestem, pracuję.

– I jesteś zadowolona, że przyszłaś teraz do pani Basi?

Danka wzrusza obojętnie ramionami, dając znak, że nie ma o czym mówić.

Najdłużej zatrzymujemy się w kuchni. Żałobnicy mogą tam pić kawę, korzystać z cateringu, podgrzać sobie coś w mikrofalówce. Wszystko w tym miejscu jest funkcjonalne i użyteczne: zimne napoje w lodówce, kawa, nawet słodczy. Tym razem koleżanka zaczyna rozmowę:

– Niedługo wracasz do Polski? – To znak, że jednak docierają do niej nasze dialogi w busie.

– Tak, wracam do pracy.

– Ja też zamierzam już pakować walizki – słyszę, ale nauczona doświadczeniem, nie reaguję. Tu wszyscy tak mówią. Wolę zmienić temat.

– Widzę, że nie czujesz się zbyt dobrze w tym serwisie.

– Nie, całkiem normalnie, jest tak samo jak w innych.

– Nie przeszkadza ci takie bycie na dystans?

– Z dystansu lepiej wszystko widać. Wystarczyło parę dni i wiem, kogo unikać, a przyjaźnić się nie mam zamiaru. Nie przejmuję się tym, co do mnie mówią, bo gdybym od razu dała sobie wejść na głowę, nie miałabym później życia. Takich „Krysi” jak ta u was jest dużo, w każdym miejscu!

W drodze powrotnej do domu Danka jest trochę bardziej rozmowna niż zwykle. Konsekwentnie nie bierze udziału we wspólnym odmawianiu koronki, zainicjowanej przez Krysię, ale w pewnym momencie odwraca się do mnie i mówi:

– Za chwilę będziemy jechać obok bardzo pięknego cmentarza. Zwróć uwagę, bo jest po naszej stronie.

Rzeczywiście. Na niewielkim, ale dość stromym pagórku widzę nieduży las, a może park z olbrzymimi, starymi drzewami. Wyrastają z ziemi zgodnie z planem znanym tylko sobie. Niektóre konary łączy się, tworząc naturalny parasol od deszczu i słońca, inne pną się prosto do góry, jakby były na wyścigach. W tym lesie nie ma krzewów ani krzaków, nic nie zasłania brązoszarych, grubych pni, pomiędzy którymi widać wolną przestrzeń, nieskrytą za niczym dal. Ktoś systematycznie dba o park-las, bo gęsta trawa jest równo przystrzyżona. Jedyne niewysokie, kamienne płyty, rozsiane nierówno wśród drzew, zdradzają, dla kogo tutaj przez cały dzień i całą noc śpiewają ptaki.

– Piękny – szepczę z podziwem. I żałuję, że nie zdążę już bliżej poznać Danki.

33. Ostatni dzień

Nie lubię się żegnać, więc dziś, ostatniego dnia w pracy, czuję się nieswojo. Po dwóch miesiącach wakacji wracam do Polski. Z Jasią, co prawda, pozostawałam w stałym kontakcie już od roku, ale pozostałe kobiety będę widzieć po raz ostatni. Bardzo to przeżywam, podobnie jak fakt, że najpewniej nie spotkam więcej właścicielki serwisu, pani Basi – kobiety, która zdążyła mi zaimponować. Jasia, zanim zaczęłam pracę, mówiła:

– To bardzo mądra i religijna osoba, każdego dnia rano ma czas na mszę, choćby się waliło i paliło.

Po dwóch miesiącach znajomości mogę dodać, że rzeczywiście jest to godne podziwu. Podobnie jak fakt, że ponad siedemdziesięcioletnia kobieta przemierza codziennie kilkadziesiąt kilometrów, wykonuje dziesiątki telefonów do amerykańskich klientów i planuje pracę tak, by wszystko chodziło jak w zegarku. Taka witalność mobilizowała mnie do wysiłku, ale też spowodowała, że pod koniec dwumiesięcznej praktyki jestem zmęczona. Ostatniego dnia marzę, by jak najszybciej zakończyć pracę. Postanowiłam się pożegnać już z samego rana, więc wręczam wszystkim upominki z Polski, wprawiając ich tym samym w osłupienie, a chwilę potem wywołując radość, która i mnie się udziela. Tylko Zygi, przyjmując prezent w imieniu swoim i żony, kręci głową.

– No nie wiem, czy na koniec dnia będziesz tak samo zadowolona. Może to trochę za wcześnie?

Traktuję te słowa jak żart.

Pracuję dziś z Hanią, starszą, ale silną i doświadczoną góralką, która wcześniej, przy każdej okazji, zasypywała mnie najdziwniejszymi pytaniami.

– Czy nadal tak dużo ludzi jeździ do Częstochowy? Kiedy ostatnio byłaś w górach? Zbierasz grzyby jesienią?

Interesowały ją też inne kwestie, dotyczące codziennego życia. W końcu dotarło do mnie, że Hania do Polski nie może wrócić, chyba że już na zawsze. Dlatego tęskni. Dziś też jest jej smutno, że jadę, więc obiecałam następnym razem przywieźć jej coś z Zakopanego. Żadna z nas nie chce głośno przyznać, że już się nie zobaczymy.

Pan Zbyszek zwykle nie informował, jak będzie wyglądał nasz dzień pracy. Miał na to wytłumaczenie: wszystko może się zmienić w ostatniej chwili. Tak jest i teraz; każde kolejne zajęcie stanowi dla nas zagadkę, którą rozwiązujemy, będąc na miejscu. W ten sposób posprzątałyśmy wspólnie trzy budynki i kiedy już szykowałyśmy się do odpoczynku, okazało się, że mamy do ogarnięcia jeszcze po jednym domu. Każda oddzielnie!

Tego już nawet Hania ma dość.

– Czy boss dzisiaj nie przesadza? Dawno nie było tyle pracy!

Zbyszek, wyraźnie połączony określeniem, które wcale do niego nie pasuje, nie daje za wygraną.

– Wiesz, że w piątki jest najwięcej zamówień. Ciesz się, że możesz zarobić...

– A pryncypał razem ze mną – odcina się zgryźliwie Hania i dodaje już tylko do mnie, tak by Zbyszek nie słyszał: – Musieli cię wykorzystać, ile się

da. Potrafią liczyć. Dobrze, że nie kazali ci przyjść do pracy jutro. Samolot odlatuje przecież późnym wieczorem, prawda?

– Szczerze mówiąc, była taka propozycja, ale myślałam, że to żart...

Po drodze przesiadaliśmy się do samochodu pani Basi, która wzruszona, dziękuje mi za wdzięczność i pamięć.

– Jesteś wyjątkowa i bardzo się cieszę, że cię poznałam. Gdybyś kiedykolwiek miała ochotę dorobić w czasie wakacji, daj znać.

W odpowiedzi jedynie się uśmiecham.

– Możesz wybierać, dokąd pójdziesz – proponuje z kolei Hania. – Ale w obu posiadłościach będzie co robić. – Mówiąc to, bezradnie rozkłada ręce.

Kiedy weszłam do olbrzymiego domu z mnóstwem łazienek (później policzyłam, było dziesięć) i sypialni, z pościelą do zmiany w każdej z nich, gdy zobaczyłam nieopisany bałagan i pełen nadziei wzrok właścicielki, że ujarzmię to wszystko do wieczora, by rodzina mogła przyjemnie spędzić weekend, trudno jednym słowem określić, co wtedy czułam: przerażenie, załamanie, niedowierzenie, złość, rezygnację, rozczarowanie? Wszystko to odbijać się odbijać na mojej twarzy, bo pani Basia, która przyprowadziła mnie do tego domu, zaproponowała:

– Postaram się przysłać kogoś do pomocy, jeśli po dwóch godzinach stwierdzisz, że nie dasz rady.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc milczałam. Odpowiedziałam tylko: „Do widzenia”, a potem zostałam sama.

Nie tak wyobrażałam sobie nasze pożegnanie. Byłam, szczerze mówiąc, rozczarowana, bo liczyłam na ulgowe potraktowanie ostatniego dnia. A tu, nie dość, że nie wrócę około szesnastej, to jeszcze będę musiała zostać po godzinach!

Dawno nie czułam się taka bezradna, więc po chwili namysłu zamykam oczy i biorę kilka głębokich oddechów. To mnie trochę uspokaja. Mogę działać. Na pierwszy ogień idzie największa łazienka. Trzeba by ją czyścić dwie godziny, ale nie ma na to czasu. Pracuję jak automat, po kolei: lustro, prysznic, umywalki i podłoga. Nie przejmuję się szczegółami. Po dwudziestu minutach wyścigu z czasem różnica jest widoczna gołym okiem, a zdaje się, że o to chodziło. Zrobiłam, co mogłam, więc jest mi wszystko jedno, co powie właścicielka. Na szczęście nie każe niczego poprawiać. Sprzątam po kolei, olbrzymią sypialnię i cztery mniejsze z łazienkami. Zmieniam pościel, porządkuję porozrzucone części garderoby i przedmioty. Czyszczę olbrzymie schody wyłożone jasnym dywanem. Kiedy poleruję kuchenne blaty, orientuję się, że połowę pracy mam już za sobą. Boli mnie kręgosłup i czuję pragnienie. Od zaciskania zębów zeszytniała mi szczęka. Właśnie wtedy kobieta uprzejmie proponuje kawę.

– Nie, dziękuję – odmawiam, za ostro, niegrzecznie i nieprofesjonalnie. Mam jednak nadzieję, że tego nie zauważyła. Staram się nie myśleć, jak mogłabym spędzić to popołudnie z Anią i Jackiem, którzy tego dnia zadeklarowali wcześniejszy powrót do domu. Brat dzwoni do mnie co chwilę.

– Dużo ci jeszcze zostało? Końca nie widać? To ja też jeszcze chwilę popracuję...

Kiedy froteruję podłogę na parterze, obliczam na oko, że jest to powierzchnia przypominająca wielkością spory kościół. Zaczynam powoli być z siebie dumna, choć na razie nie mam sił, by się tym napawać. Na dodatek właścicielka przestała chodzić za mną krok w krok. Powoli zbliża się wieczór. Widać, że w domu będą celebrować weekend. Miły, starszy mężczyzna spojrzął na mnie z uznaniem, gdy wchodził do czystego

gabinetu. Dorosłe dzieci zajęły odświeżone sypialnie. Ktoś położył się z jedzeniem na łóżku i ogląda telewizję, ktoś inny wziął do ręki wyczyszczony laptop, by za chwilę zostawić na nim ślady ciastek. Kobieta nuci coś przyjemnie pod nosem, a ja ciągle sprzątam. Gdy schodzę do bejsmentu, ona stawia kwiaty na stole w salonie, dyskretnie sprawdzając, czy pod serwetą nie ma kurzu. Na szczęście suterena jest praktycznie nieużywana i przypuszczam, że nikomu nie przyjdzie do głowy, by mi towarzyszyć. Czuję się pewniej, lecz nie na tyle, by przestać być ostrożna na życiowe niespodzianki. Tego nauczył mnie dzisiejszy dzień. Zatraskana pani Basia dzwoni zgodnie z obietnicą, ale stanowczo rezygnuję z pomocy. Nie potrafię rozmawiać z nią już tak ufnie i szczerze jak kiedyś. Z goryczą myślę o tym, co powiedziała mi dzisiaj doświadczona Hania.

Jestem ostatnią osobą, którą Zbyszek zabiera z pracy. Czuję na sobie jego wzrok i dostrzegam napięte oczekiwanie kobiet w busie. Co powiem? Jak się zachowam? Doskonale znają to miejsce.

– Jak było? – pyta po raz ostatni boss. Nie kryje ciekawości. Poznałam już te kobiety i wiem, że na moim miejscu wiele z nich nie przebierałoby w słowach.

– Poradziłam sobie – mówię krótko i twardo. Chyba zabrzmiało to przekonująco, bo nie odzywa się więcej.

Moje „Do widzenia” na koniec jest tylko formalnością.

34. Postscriptum

– Cha, cha, cha – reaguje co chwilę Jacek, gdy po powrocie do domu relacjonuję swój ostatni dzień w pracy. – Twoja sytuacja wcale nie jest wyjątkowa.

I bardzo uprzejmie wyjaśnia mi powód swojego rozbawienia.

W jego firmie pewien Słowak pracował kilka lat. W końcu zatęsknił za krajem i postanowił wrócić, ale ciężko mu było rozstawać się z ludźmi, z którymi zdążył się zżyć. Wiedział, że już nigdy się nie zobaczą, więc zorganizował poczęstunek. Zaprosił też właściciela, z którym chciał się przyzwoicie pożegnać. Nie było mowy o śmieciowym jedzeniu. Żona Słowaka przygotowała dla około dwudziestu mężczyzn gołąbki i schabowego z kością, na smalcu. Upiekła ciasto z jabłkami. Wszyscy zaproszeni przyszli na pożegnanie. Musieli jednak szybko korzystać z poczęstunku, bo nie mógł on trwać dłużej niż dwadzieścia minut, czyli tyle, ile trwa przerwa na obiad, która się pracownikom należy. Boss przyszedł i pilnował, by pożegnanie nie przedłużyło się nawet o pięć minut.

– Choć po minucie za każdy rok pracy! – zaproponował głupio ktoś odważny.

Właściciel, owszem, uścisnął rękę pracownika na pożegnanie i życzył nawet szczęśliwej drogi, ale po lunchu dał mu dodatkowo tyle pracy, że nieszczęśnik odchodził, złorzecząc i przeklinając.

Jeszcze inaczej pożegnał się pewien Amerykanin, który zmienił pracę po dwudziestu latach. Wcześniej poinformował szefa i kolegów o swojej decyzji, więc zainteresowani wiedzieli, że to „ten dzień”. Tymczasem ów człowiek w zaplanowanym wcześniej dniu przyszedł do pracy jakby nigdy nic, a po robocie nikomu nie powiedział nawet „do widzenia”. Po prostu umył się, przebrał, zgarnął brudne rzeczy do torby, którą wrzucił do bagażnika, i nie oglądając się za siebie, odjechał. Tego nie mógł pojąć nawet Jacek.

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

1. Początki

2. Pierwszy dzień w pracy

3. Lekcja sprzątania

4. Piękny dom

5. Amerykańska nastolatka

6. Dziwna kobieta

7. Para staruszków

8. Basia

9. Korona miss

10. Kredens

11. Dom, w którym rosło drzewo

12. Dziecięcy pokój

13. Kontraktorka

14. Incydent

15. Pani Profesor

16. Krysia

17. Policja

18. Pewna Czeszka

19. Dzień bez pracy

20. Opowiadanie Jacka

21. Dom bez kobiet

22. Czapka

23. Ambicja

24. Jasia

25. Pierwsza historia

opowiedziana przez Jasię

26. Druga historia

opowiedziana przez Jasię

27. Niezwykła kobieta

28. Nocny klub

29. Reklamówka

30. „Salon” fryzjerski

31. Żona pastora

32. Danka

33. Ostatni dzień

34. Postscriptum

Karta redakcyjna

Bрудna Ameryka

ISBN: 978-83-8313-119-1

© Dorota Krzowska-Ważna i Wydawnictwo Novae Res 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Dominik Leszczyński

Korekta: MAQ PROJECTS

Okładka: Paulina Piorun



Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej Zacztyani.

Zacztyani sp. z o.o. sp. k.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zacztyani.pl.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek